ATENEVM

V

1903

TREŚĆ.

			Str.
I. RABINOWA NOC . . .	przez	*Tadeusza Micińskiego*	1
II. MYŚL	„	*Andrejewa tłom. R. F.*	15
III. PRZEMIANY	„	*Maryana Zbrowskiego*	34
IV. ŚWIATŁO	„	*Jadwigę Marcinowską*	43
V. LINIE HOFERA	„	*Jana Zarycza*	68
VI. PRÓCHNO	„	*Adolfa Neuwerta-Nowaczyńskiego*	78
VII. KRYTYKA:			
Kazimierz Przerwa Tetmajer na skalnem Podhalu	„	*J. Mar*	92
Leopold Staff. Dzień duszy	„	*Wł. Sterlinga*	93
Wiktorya Przeradzka. Fragment	„	*L. Chor.*	95
Ellen Key. Kobieta. Z cyklu „Szkice". Przekład Ady Silbi .	„	*L. Chor.*	95
Stanisław Przybyszewski. Studyum literackie napisał W. Presser.	„	*L. Chor.*	96
Sewer. Michał Kopeć. W lesie. Z Krakowa do Medyolanu . . .	„	*L. Chor.*	97
VIII. KRONIKA SZTUKI:			
1. „Protesilars i Laodamia" Stanisława Przybyszewskiego na scenie krakowskiej	„	*Konrada Rakowskiego*	99
2. Samson i Dalila opera w III-ch aktach. Libretto F. Lemanéa; muzyka Saint-Saënsa . .	„	*H. Opieńskiego*	103
3. Teka towarzystwa Grafików. Ciągliński. Pankiewicz. Szymanowski . .	„	*Feliksa Jabłczyńskiego*	106
4. Nikisch. Orkiestra cygańska. Leoncavallo. Śliwiński . .	„	*Feliksa Jabłczyńskiego*	110
IX. PRZEGLĄD MIESIĘCZNY:			
1. Posiedzenie Akademii Umiejętności w Krakowie			114
2. Sztuka stosowana a rozwój gospodarczy	przez	*S. Ernstena*	116
X. MISCELLANEA:			
1. Ruja i porubstwo w świetle historyi			121
XI. BIBLIOGRAFIA			125

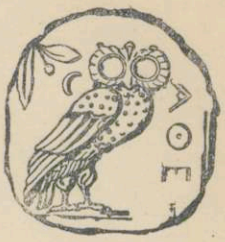

ATENEUM.

WARSZAWA. ZESZYT V. MAJ 1903.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 12 Апрѣля 1903 г.

Rabinowa noc

II.

. . . . . .

. . . . . .

Kłębią się białe bagnisk opary – do nadbłotnych brzóz przytulone purpurowe liście rosiczek, paprocie, kopytnik, czarcie ziele. Między taflami czarnych torfowisk – kościół opuszczony, zwiotszały, starodawny, z modrzewia – jeden z tych, które na Litwie odmykane są raz do roku.

Po chwili przebłyskują światła – wchodzi orszak ślubny, służba świeci kagańcami, by ustrzedz przed grzęzawiskiem.

PAN 1.

Coś kardynał się opóźnia,

PAN 2.

Ta noc była pełna grozy.

PAN 3.

Umysł się jak pas rozluźnia –
w błyskawicach drżą wąwozy –
cały zamek leciał w chmurze
i nadmiar elektryczności,
jak win musujących kruże,
pośród omyłek miłości
budził Centaura w naturze.

(Xiążę rozmawia z teściem zażywnym, tęgim, z bogatymi pierścieniami, ciągnącym z litewska).

TEŚĆ.

Milion trzykroć nowych długów?

XIĄŻĘ.

Lecz dobra me pod Smoleńskiem—

TEŚĆ.

w subhastacyi! bez koni, bez pługów,
a z inwentarzem żeńskim.

XIĄŻĘ.

Wypraszam sobie kuratel!

TEŚĆ.

Jam nie graf—no obywatel!

XIĄŻĘ.

Spóźnia się stryj mój kardynał,
bo ma on rzymski zegarek.
Racz pan teść za kontuarek
wziąć ten notes, który zginał
niejednego już bankiera.

TEŚĆ.

Rewersik w cztery miliony?

XIĄŻĘ.

Żebraczką nie uczynię żony.
Chociaż miłość we mnie szczera,
musiałbym wyrzec się kroku,
co połączone z skandalem.
Toż stryj kardynał mój z żalem,
z różą chrześciańską w widoku
dla mojej przyszłej teściowej.

TEŚĆ *(podchodząc do córki)*.

Słysz mię, Hanna, ten grobowy
otłożym na później ślub.

HANNA.

Jak chcesz, ojcze—
(do siebie) przez mój trup!

W dal ciemną płynie Oresa —
może się ona zlituje?

TEŚĆ.

Cóż do biesa,
mów jak człowiek.

HANNA.

Nie pogrążę Cię
w nurt mej winy.

XIĄŻĘ (*zdala się przysłuchując*).

Nom de chien!

TEŚĆ.

Upadłem ja z rusztowania.
Tak ty musisz? no, serce! Hania,
przed ojcem nie miej tajemnic.

XIĄŻĘ (*wychyla się*).

A więc słowo? bo słyszę kardynał —

TEŚĆ (*do siebie*).

Ot tobie: Paryż i Chemnic!
ot tobie kniaziowską koronę.
Bór zrąbiem — cóż robić? choć z jękiem,
ściągniemy ten kielich z ołtarza —
dziad w grobie będzie przeklinał —
ojczizna —

XIĄŻĘ.

Waćpan mię znieważa!

TEŚĆ.

Zapłacić Xiążęciu za żonę?
o, ta hańba jest godna zapłaty!
szabli nie mam — no stangret ma baty — won!

(*Xiążę dobywa parę pistoletów*).

XIĄŻĘ.

Przewidziałem.
(*wołając*) Comte Josephe i sir John —
załatwimy się z szlachciurą,

co oszukał, jak nasz szlagon
tylko umie!

(*Muzyka fletów, łkania i śpiewy. Bogunki wnoszą na jodłowych gałęziach złotogłowiem okryte ciało śniącego Poety. Płanetnica siada na wschodach kościelnych, które się rozbłyskują jak tron z alabastru i emalii*).

GŁOS I.

Czy widzisz? tę ponurą
postać? jakby Mór!

GŁOS II.

Ta ambona! jakby Dagon
swą otworzył paszczę! — a ten chór!

GŁOS III.

Czy anieli zabłąkali się na ziemi?

GŁOS IV.

I ten śpiew — dziewic z twarzami trupiemi.

XIĄŻĘ (*zapatrzony w Płanetnicę*).

Alboż warto od skąpych teściów wyłudzać miliony, kiedy są takie cuda mówiące oczom: spójrzcie — i zakryjcie się na wieki.

Pani!

przeraża mnie jej milczenie — i ten lodowy chłód jej oczu, jak bizantyjskiego anioła w mauzoleum.

BARON.

Słuchaj, mon cher — nie będę ci sekundował.

Osławiłeś pannę, o której Bóg wie co gadają.

Gdyś był w Monaco — tęskniłeś za wyżłem, serdeczną żoną i choćby jednym folwarkiem.

Pomogę ci długi spłacić, a te parękroć, coś mi przegrał w karty, to mniejsza.

XIĄŻĘ.

Baronie — długi spłacam ja, ale nieproszonych dobrodziejów — za drzwiami.

BARON.

Nie będę sam, bo Xiążę się już tam dawno znajdujesz. (*odchodzi*).

XIĄŻĘ (*do Płanetnicy*).

Bóstwo moje — nim słońce wzejdzie, kula przeszyje tę pierś, którą miałem zawsze za umarłą.

Ale płoną w niej wulkany niegasnących i nieziemnych tęsknot.

Zrujnowane majątki, honor, pomięte jak łachman życie ceną są zbyt niską na to obłędne, wymierzyć się nie dające, jak otchłań pod gwiazdami — szczęście.

Modlę się do Ciebie po raz jedyny w mem życiu — tą chwilą, która już przeszła horyzont i stała się wiecznym posągiem w świątyni cudu.

Odwróć oczy Twe zapatrzone w pustynie — przeszyj mnie błyskiem, który się wświeci, jak promień księżyca, w czarną toń mojej melancholii.

(Płanetnica zwolna odwraca swą twarz — ujmując głowę Xięcia — przechyla ją — wpatruje się w jego oczy — jakby one były na dnie otchłani).

XIĄŻĘ.

Zielone, zimne głębie, niby fale rzek wiosennych, niosących szyby lodów.

Włosy mające połysk wodospadu.

Ręce świecące iskrami, a w dotknięciu jak marmur.

Twarz jej sina — oczy rozwarte szeroko widzieć się zdają zatopione miasta w jeziornej głębinie.

Ach, i mnie serce stygnie, oczy się mącą.

(wzdryga i staje się nieruchomy. Słychać daleki wystrzał).*

Bogunki otaczają Xięcia, kopią grób, składają ciało, usypują mogiłę i nakrywają darnią.

Trwa to jeden moment, acz zwolna to czynią i bez pośpiechu).

GŁOSY.

Przeklęte mroki! fagasy — świateł! gdzie jest Xiążę? Baronie — to ty? słyszałeś wystrzał?

PAN 1.

Zajrzała do mych oczu — i rzekła: jutro o tej porze ujrzysz mię przed zgonem.

PAN 2.

Dotknęła mi serca i zagrała dzwonem.

PAN 3.

Mnie rozkryła głąb grzechu i piekła.

(Hanna wchodzi blada z rozwartemi szeroko oczyma i drży. Bogunki ją otaczają, kładną welon).

---

*) Tyle tylko słyszą inni ludzie z całej ogromnej Miserere samobójstwa.

BOGUNKA.

Miłość prowadzi, miłość ogrzewa,
na słońcu żyje, w mrokach śpiewa.
Jeden twój czarny utonął wianek,
na łożu z kwiatów śni kochanek.

(zdejmują złotogłów—obcinają śniącemu Poecie kędziory, z twarzy i stroju czynią go podobnym do Xięcia).

POETA (*budząc się*).

Prastary to kościół—nad ołtarzem wiszą łańcuchy i narzędzia tortur.

Czemuż ja w stroju czarnym? czemu te rękawiczki na ręku? i kwiaty ślubne?

Czy śniąc w trumnie, zapalać mam życie?

BOGUNKA.

Kościół podźwignij w śniącej naturze,
krew Twą przemienią gromy i burze.
Dla duchów gwiazdy—ziemia dla ludzi—
żądza pogrąża—ofiara budzi.
Pokłoń się ojcu—proś przebaczenia—
za winy cudze—weźmij cierpienia.

(Poeta jak w śnie magnetycznym—czując tchnienie zamogilne Xięcia—zbliża się do Teścia, który siedzi na obalonym dębie z załamanemi rękoma).

POETA.

Jeślim zawinił—do nóg się chylę—
życie poznałem—stojąc w mogile.
Ach, jaki miałbym raj na ziemi,
gdybym zmył grzech mój łzami rzewnemi.

TEŚĆ.

Obudziła się w tobie krew hetmanów, — to dzielnie, mój chłopcze! ona Cię wielbi duszą całą, ona Cię chciała mieć bohatera. Lecz wystarczy, jeśli będziesz ją kochał i wysoko nosił sztandar, za który ginęli nasi ojcowie.

ROPUCHA.

I mnie się musisz pokłonić!

POETA XIĄŻĘ.

Kto jesteś, zjadliwe zwierzę? jad lśni na twoim grzbiecie, oko twe nieruchome z zimnym połyskiem, który udręcza jak zmora.

ROPUCHA.

Całowałeś córkę moją — jestem chuć.

POETA XIĄŻĘ.

Kłaniam się tobie, bo jest chwila pokory, kiedy trzeba wszystko uczcić.

ROPUCHA.

Można was kupić hołyszów za tani pieniądz. Moja córka nie ma nic. Idź, zerwij ślub.

POETA XIĄŻĘ.

W jakiejże jestem zasadzce? hańba otacza mię, a jednak serce me czystsze od rosy — i bardziej pełne płaczu od ponurych wilgotnych grot, które nigdy słońce nie oświeca. To jest życie? o śmierci, pobłogosław mię na zerwanie łańcuchów — przez które żyję.

(do Hanny) Zmieniłaś się, Pani moja, odkąd widziałem Cię na balkonie wśród kwitnących magnolii.

HANNA.

Tak Xiążę — wiesz czemu.

POETA XIĄŻĘ.

Twarz nawet poryła Ci się smugami.

HANNA.

Jeśli zechcesz — nie będę płakała.

POETA XIĄŻĘ.

Miłość twa żyje niezmienna? i tylko dla mnie? rozpustnika — hulaki i karciarza?

HANNA.

Kochałam w Tobie płomień bohatera.

POETA XIĄŻĘ.

Lecz zapewne pamiętasz poetę — który Cię ubóstwił — i może zdołał skłonić, abyś w wulkan jego czyśćcowej męki rzuciła blady chłodny kwiat współczucia?

HANNA.

Oh, nigdy — Tobie zawsze wierna, nie miałam oczu na inne widoki — żyłam na dnie wieży, wpatrzona w księżyc Twojej zimnej miłości.

POETA XIĄŻĘ.

Lecz proszę Cię — wiem, że w tej mogile biedny leży człowiek — po-

sadź gałązkę jodły, niechaj mu szumi, niech śni w grobie, że Ty jego duszy nie zadeptałaś wzgardą.

HANNA (*obojętnie zrywa i sadzi na grób jodełkę*).

Kocham dzisiaj świat cały—ale ten świat—to Ty jesteś.

POETA.

Powiedz—gdybym trwając w dawnem zapomnieniu—Ciebie opuścił wraz z maleństwem, które już drga pod Twojem bijącem sercem — —

HANNA.

Chciałam umrzeć i teraz lękam się życia—lecz nie z hańbą, mój Boże—nie z hańbą dla moich siwych rodziców.

POETA.

I wybaczasz mi? żem Cię całował i wkradał się nocami do Twojej komnaty? rozpalając w Tobie żądze i zmuszając do brudnych uściśnień?

HANNA.

Nigdy nie czułam się zbrudzoną—nigdy—prócz tej chwili, gdyś mówił z mym ojcem — niedawno — ach, nie — przed wiecznością — lub raczej nigdy.

POETA.

Chodźmy — czeka nas Xiądz.

(*rozwierają się drzwi kościoła—rzęsisty blask—widać Xiędza w białej dalmatyce—na głowie ma wieniec z paproci—tłum w podziwie ukazuje go sobie palcami*)

XIĄDZ.

W imię słońca — księżyca — gwiazd — gór — oceanów — lasów — i wszystkiego co ma duszę —

ziemio słuchaj.

Zawieszona nad próżnią—jesteś zbiorem atomów—tem, czego niema. Bezliczne słońca nad tobą — pyłem są w otchłani przerażenia i niemożebności, którą jest Bóg — Ten jedynie upragniony — jedynie święty — z wolą swobodną i twórczą — Ten, który nas oślepia cudami w swem niewysłowienie tajemniczem łonie.

GŁOSY.

Oszalał — mais c'est drôle — staruszek upadł na głowę.

XIĄDZ.

Bolesną a przedziwną ironią obaliły się we mnie zmurszałe wieżyczki Summy teologicznej świętego Tomasza, która była pisana w dusznej

celi przy kopciu lampki — runęły — mówię — od jednego spojrzenia na gwiazdy, od zapachu tych kwiatów, których miłość niepokalana a bezwstydna zabłysnęła cichem błogosławieństwem nad więziennym dachem mojej Inkwizycyi.

. . . . . .

Patrzcie — a nową świątynię buduje we mnie ten sabat, gdzie widzę wszystko, co znieważa mój rozum, podkopuje moją wiarę i na wieki strąca w otchłań różowego głupca — zadowolenie.

TEŚĆ.

U mnie rozum prosty szlachecki: ziemia jest, gwiazdki świecą no daleko. Bór ten wyrosnął, kiedy nas nie było — i, wierę, będzie, gdy z nas wysypią się otręby.

Pan Bóg milczy, bo cierpliwy, jednakoż śledzionka moja krzyczy gwałtu! wracajmy prędzeńko go dworu, dadzą nam fagasy żubrówki, łosiny, bigosu, kołdunków i co jeszeze.

Potem zajrzę do świrnia i ekonomii, obejdę buhajka, ciołki, pługi paszące nową pasiekę.

Tak żywiąc, przekażę zdrowie synkowi i spodziewam się wnukom od mojej tu przytomnej a najukochańszej latorośli.

Tobie doradzam takoż, mój Dobrodzieju, mocno się trzymaj tego kościołka, który Tobie dał chleb, spokój duszy i ludzkie szanowanie.

XIĄDZ.

Pomrzemy w zgrzybiałości serca — rzucą się na nas i poszarpią stada rozwścieklonej trzody chlewnej, że nie umieliśmy stanąć w potędze czerwonego morza krwi wylanej, w którem potonęli nasi ojcowie.

Poszarpią nas, jak truchlawe karcze nie dające przejść pługowi Nieśmiertelnego Anioła.

Prorokował nam Skarga, teraz ja, naigrawając się nad lichą nędzą naszego serca — rzucam ostatnie memento mori.

GŁOSY.

Zeszedł z rozumu! zatruwacz studzien! odstąpmy go! (*uchodzą prócz Hanny i Poety*).

XIĄDZ.

Was błogosławię, moje dzieci, na żywot męki, gryzących duszę wspomnień, łamiących się jak trzęsawiska wiar — idźcie, aż do grobu — nie sprzymierzając się z głupotą dobrodusznej gawiedzi — z fałszem przełożonych, pamiętając na miliony i miliony tych pokoleń, z których popiołu my jesteśmy tlejącą się żagwią.

A trzeba ją rozżarzyć w światłość wiekuistą. Amen. (*schodzi i znika w borze*).

POETA (*do Planetnicy*).

Czemuż nie rzuciłaś mię, gwiazdo moja, w głąb czarnego księżycowego krateru, bym leżał przykuty do skały, a lawa sączyła się po mem sercu! (*Planetnica głową mu potakuje*).

Włożyłem dłoń do chrzcielnicy, wyjąłem rewolwer. O nie, za lichy to ogień na nieśmiertelne ołtarze mojej męki (*rzuca broń. Do Hanny*).

Pani, czy modlisz się?

HANNA.

Za ciebie, serce moje.

POETA.

I cóż ci powiada Twój Anioł?

HANNA.

Że cię nie opuści — i powiedzie przez most nad czarną głębiną w którą lecą gwiazdy.

POETA.

Dziękuję ci, najmilsza moja. Muszę Cię odejść — nie czekaj.

HANNA.

Co mówisz? ach!

(*postrzega widmo księcia, który się przesuwa blady i zgarbiony, ze skroni leją się niteczki krwawe*).

POETA.

To mój sobotwór. Zjawia się on, gdy mam iść do nowego życia.

HANNA.

Ja z Tobą, ukochany. Jakiż tam cudny zamek!

POETA.

Lecz każde wstąpi przez inną bramę. (*chyli się i całuje jej stopy*).

HANNA.

Ach, nie jestem warta.

POETA.

To już ostatni pokłon przed bólem.

(do bogunek) — Weźcie ją, siostry, nocami nie prowadźcie nigdy przez bory.

Niech syna jej wykarmi Pan cichy i przemożny — Słońce.

(*Bogunki zawiązują oczy Hannie i uprowadzają*).

POETA.

Ból mię łamie — ból mię łamie — ten wicher nosi złowróżbne zarzewia.

Widzę postacie obce — ręce togów duszących nagle wszelki krzyk. Dzwon jakiś gra podemną i wstrząsa bramą mego serca.

Na pomoc? kto mnie woła?

(*Bogunki wbiegają strwożone*).

BOGUNKI.

Zbierz moc! idzie ten potwór, odrzuciwszy dobroduszną postać Hapuna.

Idzie On.

Po dywanie skrwawionych ciał—po duszach podłych i bezwolnych.

Niejeden zarzucił na szyję powróz — niejeden już, uchodząc przed mściwemi rękoma, w obłędzie wstąpił na głuche moczary.

POETA.

Każą mi spełnić czyn.

Wśpiewują mi zemstę i gniew.

Każą mi porwać topór i z nim ledz.

Lecz wzbroniona jest broń synom słońca.

Gdzie Płanetnica?

BOGUNKI.

Między gwiazdami się błąka — gniewna, że innych szukałeś świątyń, niż te, któremi włada fatum.

POETA.

Dajcie mi słowo tworzące!

BOGUNKI.

W kurhanie tarcze zabitych witeziów — przekuj je sobie na mosiądz strun.

POETA.

Zabitych tarcze — nie będą nas bronić.

BOGUNKI.

Mogę uprosić u podziemnych law, aby wulkany zalały ten kraj.

POETA.

Mścić się na życiu? ja chcę tworzyć życie, ogromne jak sen.

BOGUNKI.

Uśpię wam dusze szemrzącym ruczajem wśród niezabudek i złotego jaskru.

POETA.

Śnić chcę — snem orła w błękitach nad światem.

BOGUNKI.

Na oceanie jest wyspa — pełna palm i grot i łkań morza.

POETA.

Nie żądam waszej pomocy — siebie uzbroję ja sam.

(Ryk — świst — huk łamiących się drzew — warczenie kół i dudnienie kopyt. Bogunki w trwodze się rozpierzchają.

Na potwornym łbie Mamuta z czterema nogami — stoi czerwony upiór.

Oczodoły rozżarzone fosforycznym migotem. Ponury złoty blask. Maszkary stłoczone w walce śmiertelnej i lubieżnych uściskach — wydzierają sobie dary Hapuna, który jest bożyszczem o mnóstwie wymion i rąk.

Lecz dwie prawdziwe ręce Hapuna, zaciśnięte w pięści, smalą po oplutych twarzach, wiążą łańcuchem).

HAPUN.

Z krwi i złota ukułem złote blaszki — naści wam — którzy gnębicie, którzy się nadymacie pychą, którzy pieścicie sprzedajne kobiety o przegniłych trzewiach.

Tryumf mój — tryumf błotnego najpodlejszego z szatanów.

Ty, niemy harfiarzu! uniosły cię bogunki — skryły przed pieszczotą, napoiły męką — i sądzisz się już dość możnym, aby wznieść niebiosa na bagnie.

POETA.

Kto żywy — do mnie!

HAPUN.

Gardziele, ściśnięte strachem, nie wydadzą krzyku. Wsłuchaj się w bulgot drgających pod wodą — oplątanych wężami —

oni się pożerają, gnębią, szkalują — nakryci gęstym błotem — spróbuj ich wydobyć — im dobrze.

POETA.

Widzę gromady widm umierających nad bagnem — te wynędzniałe mary sąż dawnym ludem kapłanów i wojowników? mętne wyziewy jedynem ich pożywieniem —

nie znają błękitu ani gwiazd ani borów żywicznych.

Tam widzę mych braci, mych przyjaciół, mego ojca — tam widzę skrzydła moje zdeptane w kałuży — mokre i bez lotu.

HAPUN.

Stamtąd wyszedłeś — tam wrócisz.

POETA.

Ach, duszę mą związę łańcuchem gwiazd — i rzucę się w ten ciemny tłusty ił — i będę ogniem żarzył — leniwe zbłocone anioły.

Jestem nieśmiertelny! jestem w Bogu! przenikam bramy niepodobieństwa! do mnie!

(słychać krzyk i szamotanie się — Xiądz wybiega ze śliskich objęć zbirów Hapuna pokrwawiony i zwalany błotem).

XIĄDZ.

Usłyszałem Twój głos — inni słyszą, lecz szum ich ogłusza — od przelewających się błotnych wirów, które oni nazywają zwątpieniem. Paprocie mi jedną chwilę błysnęły błękitnym płomieniem. Lecz znów słaby jestem, nędzny i grzeszny — urągam tej pysze, która się chciała oprzeć na marzeniu.

POETA.

Mówiłeś o gwiazdach które są uśmiechem otchłani, mówiłeś o Bogu którym jest mrok napełniony ogniami. Znowuż Cię słyszę apostołem smutku?

XIĄDZ.

Przywiążę się do krzyża i z nim będę płynął wśród wezbranej powodzi i piorunów.

POETA.

Przeżegnaj mnie — pójdę po cud zwycięstwa, który jest słońcem.

XIĄDZ.

Ono wzejdzie — módlmy się.

POETA.

Trzeba je udźwignąć. Ach, każdy świt, każde południe, każdy zachód — mocą jest okupiony bohaterów, których imiona przysypuje swym piaskiem pustynia.

(*Rozwierają się przed nim podziemia — on strząsa szaty i w zbroi czarnej schodzi w głąb, która się zakrywa*).

HAPUN.

Już zniknął — myśli, że tak łatwo wyjść z podziemi, jak wstąpić Ten jeden był mi groźny.

Modlących się nie lękam, bo są leniwi.

Lecz on porywał iskrę nieba i niósł na ziemię.

Żywych się nie lękam — bo zrobiłem z nich błotne maszyny.

Przed umarłymi drżę — lecz oni nie powracają. (*do zbirów*).

Tego klechę wziąć z lazurową skorupą razem i utopić na dnie hierarchii, niech po nim depcą wyperfumowani prałaci, niech go sadzą do ciemnych cel klasztornych na pokutę, niech mu wytną język nakazem milczenia — i niech mu obłąka umysł bezmocna litość dla wszystkiego, co pogrąża się wpatrzone w tęcze gnijących wód.

Niech grają Magoty tryumf pałaców, świątyń, królestw i kunsztów na błocie.

Gardzę wami, gardzę sobą, gardzę wszystkiem, co było i nigdy nie wróci.

(*W tryumfalnym marszu wjeżdżają do Bagna, które występuje z brzegów i zalewa paprocie. Po chwili milczenia wysuwa się widmo Xięcia*).

XIĄŻĘ.

Już jest najgłębszy mrok.

Zagasły błyskawice.

Gwiazd niema, lecz mrowią się ulice — i tylko śmierć — jakby indyjski tog zarzuca pętlicę —

sza!

(*Zapada czarna zasłona*).

. . . . . .

(d. n.) *Tadeusz Miciński.*

Myśl.

ARKUSZ PIĄTY.

Po drugim ataku zaczęto się mnie obawiać. W wielu domach nie przyjmowano mnie, a gdy wypadkowo spotykałem znajomych, witany byłem nieszczerym uśmiechem i znaczącem pytaniem o stan zdrowia.

Położenie moje było takie, że mógłbym popełnić bezprawie, nie tracąc szacunku mego otoczenia. Patrzyłem się na ludzi i myślałem: gdy zechcę, to zabiję tego, lub owego, i kara mnie za to nie spotka. A to, czego doznawałem przy tej myśli, było czemś nowem, przyjemnem, choć trochę przerażającem. Obronna tarcza, która czyniła człowieka nietykalnym, znikła: jakaś łuska spadła z niego, był on dla mnie nagim, a zabicie go wydawało mi się czynem łatwym i bezkarnym. Strach — niby mur nieprzebyty chronił mnie przed ciekawemi spojrzeniami, a rzeczy same tak się ułożyły, że trzeci, uplanowany już atak okazał się zbytecznym. Odstąpiłem zatem od nakreślonego planu, ale w tem leży właśnie siła talentu, że nie zamyka się w ciasnych ramkach prawideł, tylko, wraz ze zmieniającymi się warunkami, zmienia plan bitwy. Trzeba jeszcze było tylko otrzymać oficyalne przebaczenie grzechów przeszłości i pozwolenie na grzechy przyszłości: naukowo-lekarskie potwierdzenie mojej choroby.

Doczekałem się takiego zbiegu okoliczności, który najzupełniej usprawiedliwił moje zwrócenie się do psychiatry. Posłali mię do niego Tatjana i jej mąż.

— Wybierz się do doktora, Antku drogi — powiedziała Tatjana.

Nigdy przedtem nie nazywała mnie „drogim," i potrzebną była mi dopiero sława waryata, żebym dostąpił tej marnej łaski.

— Dobrze, kochana Tatjano, pójdę — odpowiedziałem.

We troje — Aleksy, Ona i ja—siedzieliśmy w gabinecie, w którym w niedalekiej przyszłości miał się rozegrać dramat.

— Tak, Antoni, musisz iść koniecznie — potwierdzająco odezwał się Aleksy. Bo inaczej, mógłbyś popełnić coś tak ekscentrycznego...

— A cóż ja takiego mógłbym popełnić? — szybko podchwyciłem.

— Co się wszystko zdarzyć może! Łeb możesz komuś roztrzaskać...

Ująłem ciężki, żelazny przycisk i, obracając go w rękach, patrzałem kolejno to na Aleksego, to na trzymany przedmiot, powtarzając: Łeb roztrzaskać! Łeb — mówisz — roztrzaskać!...

Zaczynało to być interesujące. *Właśnie tym przyciskiem i właśnie roztrzaskać głowę zamierzałem temu, czyja głowa przewidywała, jak to będzie.*

Mówi o tem i swobodnie się uśmiecha. A są ludzie, co wierzą w przeczucia, wierzą, że śmierć przysyła zawczasu jakichś tam zwiastunów — co za niedorzeczność!

— Ale, czy można zrobić cośkolwiek taką rzeczą? — powiedziałem. Za lekka jest.

— Co też ty mówisz: lekka! powsiadł na mnie Aleksy, wyrwał mi z ręki przycisk i ująwszy za rączkę, kilka razy machnął nim w powietrzu. Spróbuj!

— Przecież ja wiem...

— Nie, weź tak, to się przekonasz.

Od niechcenia, uśmiechając się, podniosłem ciężki przycisk, ale Tatjana wtrąciła się do nas. Blada, z trzęsącemi się ustami, powiedziała, a właściwie wykrzyknęła:

— Aleksy, przestań! Aleksy, przestań!

— Cóż to Taniu? Co się z Tobą dzieje? zdziwił się.

— Przestań, wiesz, że ja nie lubię takich żartów.

Roześmieliśmy się, i przycisk znalazł się znowu na stole.

Wizyta moja u profesora T. przeszła tak, jak się tego spodziewałem. Profesor był bardzo powściągliwy w pytaniach i niezwykle poważny. Pytał się, czy mam krewnych, których opiece mógłbym się powierzyć, radził nie wychodzić z domu, odpocząć i uspokoić się. Opierając się na prawie lekarza, wyraziłem zdanie przeciwne jego zdaniu, i jeżeli dotychczas miał jakiekolwiek wątpliwości co do mojej choroby,

opozycya moja usunęła je najzupełniej. Dyagnoza była postawiona: Waryat. Tak, panowie eksperci, nie zastanawiajcie się zbyt poważnie nad tym niewinnym żartem z jednego z naszych spółbraci. Jako uczony, profesor T. bez zaprzeczenia godzien jest poważania i szacunku.

Dni następne były najszczęśliwszymi dniami mojego życia. Żałowano mnie jako chorego, odwiedzano mnie, mówiono ze mną jakimś urywanym, zagadkowym językiem, a ja jeden tylko wiedziałem, że jestem zdrów, jak może nikt z nich, i napawałem się jasną, potężną pracą mojego mózgu. Ze wszystkiego, co tylko nadzwyczajnego, nieuchwytnego daje życie, najbardziej nieuchwytną, najcudowniejszą jest — myśl. W niej jest potęga boska, ona jest nieśmiertelna, jest wszechpotężną siłą, nie znającą przeszkód ni hamulca. Ludzie wpadają w zachwyt, gdy oglądają śnieżne wierzchołki gór, gdyby wniknęli w samych siebie, to ponad góry, ponad wszystkie cuda i piękności natury podziwialiby umiejętność myślenia. Najprostsza, najzwyczajniejsza myśl robotnika, która mu wskazuje najpraktyczniejszy sposób ułożenia cegiełek — oto największy cud i najgłębsza tajemnica.

Rozkoszowałem się swoją myślą. Niewinna w swojej piękności, oddawała mi się jak kochanka, służyła mi jak niewolnica i podtrzymywała mię jak przyjaciel. Nie sądźcie, że cały czas, jaki przepędziłem samotnie w czterech ścianach mojego pokoju, poświęciłem jedynie moim planom. Nie! myśli moje obejmowały wtedy wszechrzeczy.

Ja i myśl moja — igraliśmy z życiem i śmiercią i hen wysoko wznosiliśmy się ponad życie i ponad śmierć!

Oprócz tego, w dniach owych rozwiązałem dwa interesujące szachowe zadania, nad których rozwiązaniem bezowocnie pracowałem oddawna. Wiecie zapewne, że trzy lata temu brałem udział w konkursie szachistów i zająłem wtedy drugie miejsce po Laskierze. Gdybym nie był wrogiem wszelkiego rozgłosu — Laskier musiałby mi ustąpić pierwszeństwa.

I od chwili, kiedy życie Aleksego złożonem zostało w moje ręce, uczułem się w dziwnym do niego stosunku. Przyjemną była mi świadomość, że on żyje, je, pije, raduje się, dzięki temu, *że ja na to pozwalam*. Uczucie — podobne do uczucia ojca względem syna. A co mnie trwożyło — to możliwość jego choroby. Przy całej wątłości swojego organizmu, jest on nieostrożnym aż do lekkomyślności: podczas najzdradniejszej, wilgotnej pogody wychodzi bez kaloszy. Uspokoiła mnie pod tym względem Tatjana. Odwiedziła mnie i zapewniła, że Aleksy jest kompletnie zdrów i dobrze sypia, co mu się nieczęsto zdarza. Urado-

wany temi wiadomościami, poprosiłem Tatjanę, żeby wręczyła Aleksemu książkę — rzadki egzemplarz, który mi wypadkowo wpadł w ręce — książkę tę Aleksy oddawna pragnął przeczytać.

Być może, że z punktu widzenia mojego planu, podarunek ten był krokiem fałszywym — ale miałem taką nieprzepartą chęć sprawienia Aleksemu przyjemności, że zdecydowałem się zaryzykować. Lekceważyłem nawet tę okoliczność, że w stosunku do artyzmu całej mojej gry, podarunek ten był rozdźwiękiem.

Moje zachowanie się wobec Tatjany tym razem było ujmujące i szczere, i zrobiłem na niej jaknajlepsze wrażenie. Ani ona, ani Aleksy nie byli świadkami moich ataków, i trudno im było, naturalnie, wyobrazić sobie mnie — pozbawionym zmysłów.

— Odwiedź nas — prosiła Tatjana na odchodnem.

— Nie można — uśmiechnąłem się — doktór zabronił.

— Głupstwo. Do nas możesz przyjść — to tak samo, jakbyś był u siebie w domu. Aleksy tęskni za tobą.

Przyrzekłem i — nigdy jeszcze przyrzeczenie nie było dane z taką wiarą, że będzie spełnione, jak to właśnie. Czy nie będzie się wam zdawało, panowie eksperci, gdy się dowiecie o wszystkich tych sprzyjających okolicznościach, — czy nie będzie się wam zdawało, że Aleksy nietylko przezemnie był na śmierć skazany?

Żelazny przycisk leżał na swojem miejscu, gdy 11 Grudnia o 5-ej wieczorem zjawiłem się w gabinecie Aleksego. O tej porze, przed obiadem — obiadują o godzinie 7 — Aleksy i Tatjana odpoczywają. Powitali mię radośnie.

Dziękuję Ci, mój drogi, za książkę — przemówił Aleksy, ściskając mi serdecznie rękę. Wybierałem się do ciebie, ale Tatjana mówiła, żeś już wyzdrowiał. Może się zabierzesz z nami do teatru?

Rozpoczęła się rozmowa. Postanowiłem nie być tego dnia obłudnym — ale w tem wyrzeczeniu się obłudy była wyrafinowana obłuda — i będąc pod wrażeniem przetrawionej myśli, mówiłem dużo i żywo. Gdybyż wielbiciele talentu Sawiełowa wiedzieli, ile to lepszych od „jego“ myśli powstało w głowie nieznanego nikomu doktora Kierżencewa!

Mówiłem jasno, ściśle, misternie rzeźbiąc słowa i jednocześnie spoglądałem na wskazówkę zegara i myślałem, że gdy wskaże godzinę 6-ą, ja stanę się zabójcą. Opowiadałem coś humorystycznego — śmieli się. Starałem się zapamiętać uczucie człowieka, który nie jest mordercą, lecz nim zostanie za chwilę. Już nie abstrakcyjnie, ale zupełnie konkretnie odczuwałem wyobraźnią życie Aleksego, bicie jego serca, krążenie krwi

w jego żyłach, wibracyę jego mózgu — i stan jego, gdy się ten proces urwie; gdy serce przestanie bić i mózg — działać.

Co będzie jego ostatnią myślą?

Nigdy dotąd jasność mojej samowiedzy nie dosięgła takiej potęgi, nigdy jeszcze samopoczucie mojego „ja“ nie było tak skończone, ani bogactwo myśli i uczuć tak wielkie. Ja — Bóg, nie patrząc się — widziałem; nie słuchając — słyszałem, nie myśląc — rozumiałem. Pozostało mi zaledwie 7 minut czasu, kiedy Aleksy leniwie przeciągnął się, powstał i wyszedł z pokoju, mówiąc: „za chwilę wrócę“. Nie chciałem patrzyć na Tatjanę, podszedłem do okna, odchyliłem firankę i stanąłem. Tatjana pośpiesznie przeszła przez pokój i stanęła przy mnie. Czułem jej oddech, wiedziałem, że się patrzy nie w okno, tylko na mnie i — milczałem.

— Jak ślicznie śnieg się iskrzy — przemówiła. Nie odpowiedziałem. Poczułem przyśpieszony jej oddech, a po chwili jakby oddychać przestała.

— Panie Antoni — powiedziała i zamilkła.

Ja — milczałem.

— Panie Antoni — powtórzyła wahająco, a gdy w tej samej chwili spojrzałem na nią, szybko się cofnęła, ledwie że nie upadła, jakby pod wpływem siły mojego wzroku — sił jej zabrakło. Żachnęła się i rzuciła się prawie ku wchodzącemu mężowi. Aleksy, bełkotała, Aleksy, on...

— No, i cóż on?

Bez uśmiechu, ale głosem zaznaczając żart, odezwałem się:

— Ona myśli, że ja chcę cię zabić tem oto: i zupełnie spokojnie ująłem przycisk, podniosłem go i zbliżyłem się do Aleksego. Ten bez zmrużenia powiek spoglądał na mnie swojemi blademi oczami i powtarzał:

— Ona myśli...

— Tak, ona myśli...

Powoli, ostrożnie, podnosiłem rękę w górę, a Aleksy również powoli podnosił swoją, nie spuszczając ze mnie oczów.

— Zaczekaj! — ostro krzyknąłem.

Ręka Aleksego opadła, ale oczy były wciąż jeszcze zwrócone na mnie. Uśmiechnął się kątem ust, jakimś bladym, niedowierzającym uśmiechem.

Tatjana krzyknęła przeraźliwie, ale już było zapóźno. Uderzyłem ostrym końcem przycisku w skroń, bliżej ciemienia, niż oka. A gdy Aleksy padł, schyliłem się nad nim i jeszcze dwa razy go uderzyłem.

Sędzia śledczy orzekł, że czaszka zmarłego była zupełnie zgruchotana skutkiem wielkiej ilości uderzeń. Ale to nieprawda. Uderzyłem

go tylko trzy razy: raz, gdy jeszcze stał, a dwa razy, gdy leżał na ziemi. Prawda, że uderzenia były bardzo silne, ale było ich wszystkiego trzy. Pamiętam to doskonale. Trzy uderzenia.

ARKUSZ SZÓSTY.

Nie starajcie się analizować przekreślonych słów w końcu czwartego arkusza i wogólności nie uważajcie tego za objaw rozstroju mózgowego. W dziwnem swem położeniu muszę być niezwykle ostrożnym, czego nie taję, i co chyba doskonale rozumiecie.

Mrok nocny zawsze źle oddziaływa na zmęczony system nerwowy, i wskutek tego tak często w nocy napadają ponure myśli. A tej nocy, pierwszej po zabójstwie, nerwy moje znajdowały się, naturalnie, w stanie silnego naprężenia. Pomimo całej władzy nad sobą — zabić człowieka to nie żart. Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, zmieniłem garderobę, obmyłem paznokcie i na herbatę wezwałem Maryę. Marya — to moja gospodyni i poniekąd żona. Ma ona, zdaje się, i drugiego kochanka, ale że jest kobieta ładna, cicha i nie zbyt namiętna, pogodziłem się więc z tą ewentualnością, nieuniknioną w położeniu człowieka, kupującego sobie miłość za pieniądze. I oto głupia ta kobieta pierwsza uświadomiła mi nieszczęście.

— Pocałuj mnie — powiedziałem.

Głupkowato uśmiechnęła się i przystanęła.

— No!

Wzdrygnęła się, zaczerwieniła i, wystraszonemi oczami spoglądając na mnie, przechyliła się po przez stół i błagalnie przemówiła:

— Antoni, kochanie, idź do doktora!

— Co za myśl? — wybuchnąłem.

— Oh! nie krzycz, ja się boję! Ja się ciebie boję, kochanie!

A ona przecież nie wiedziała ani o moich atakach, ani o zabójstwie, i byłem z nią zawsze łagodny i spokojny. Widocznie — jest we mnie coś takiego, czego niema w innych ludziach, coś, co straszy — taka myśl mi błysnęła i zaraz znikła, zostawiwszy szczególne uczucie chłodu w nogach i kręgosłupie.

Zrozumiałem, że Marya dowiedziała się o czemś z boku, od służących, albo natrafiła na zrzuconą przezemnie odzież — tem tłomaczyłem sobie jej przestrach.

— Wynoś się — rozkazałem.

Położyłem się na kanapie w bibliotece. Nie chciało mi się czytać, w całem ciele czułem znużenie, i stan wogóle był taki, w jakim bywa aktor po świetnie odegranej roli. Przyjemnie mi było patrzyć na książki i miło było myśleć, że kiedyś będę je czytał. Podobało mi się całe moje mieszkanie i kanapa, na której leżałem, i Marya... Majaczyły mi w głowie urywki zdań mojej roli, uprzytomniały się ruchy, jakie wykonywałem, a chwilami znów leniwie wynurzały się myśli krytyczne: „a może lepiej było powiedzieć tak i tak, lub zrobić tak i tak".

Ale ze swojego zaimprowizowanego „zaczekaj" byłem bardzo zadowolony. Rzeczywiście, był to rzadki i dla tych, co sami tego nie doświadczyli, nieprawdopodobny wzór siły natchnienia. „Zaczekaj" — powtarzałem — zamknąwszy oczy i uśmiechając się. Powieki zaczęły mi ciężyć i senność mię ogarniała, gdy oto pomału, zwyczajnie, jak wiele innych, wślizgnęła się do głowy nowa myśl, która jasnością, ścisłością i prostotą, pokonała wszystkie moje dotychczasowe myśli.

Leniwie weszła do głowy i tam utkwiła. Oto jak się przedstawia dosłownie, jak gdyby ktoś trzeci o mnie mówił:

„*Przecież to możliwe, że doktór Kierżencew jest naprawdę obłąkany. Myślał, że symuluje, a jest naprawdę obłąkany. I w tej chwili jest obłąkany*".

Trzy, cztery razy myśl ta powtarzała się, a ja się wciąż jeszcze uśmiechałem, nie rozumiejąc jej. „*Myślał, że symuluje, a jest naprawdę obłąkany*". Za to, gdy zrozumiałem...

W pierwszej chwili myślałem, że zdanie to wypowiedziała Marya, bo jakbym słyszał głos czyjś, i głos ten był głosem jej.

Potem pomyślałem, że to Aleksy powiedział. Tak, Aleksy, ten zabity. Potem zrozumiałem, że sam to pomyślałem — i to było straszne. Nagle znalazłem się na środku pokoju. „Tak—krzyczałem — teraz wszystko skończone. Stało się to, czego się obawiałem. Przekroczyłem granicę i mam przed sobą — obłąkanie".

Kiedy przyszli aresztować mnie, ukazałem się ich oczom, jak mówili, w okropnym stanie — w porwanem, poszarpanem ubraniu, blady, i straszny! Ach! Boże! Czy przeżyć taką noc i nie stracić przytomności nie dowodzi to posiadania mózgu żelaznego? A ja jedynie podarłem ubranie i potłukłem lustra. A propos: pozwólcie służyć sobie jedną radą. Jeżeli komu z was zdarzy się być w podobnem położeniu, zasłońcie lustra w pokoju, w którym będziecie się znajdowali. Zasłońcie je tak, jak się je zasłania, gdy w domu leży nieboszczyk.

Zasłońcie!

Strach mnie ogarnia! Boję się tego, cobym powinien wspominać i powiedzieć. Dłużej jednak odkładać tego nie można, i być może, że półsłówka potęgują jeszcze strach.

Ach ten wieczór!

Wyobraźcie sobie pijaną żmiję, tak, tak, właśnie, pijaną żmiję. Zachowała ona całą swoją wściekłość, zręczność jej i bystrość jeszcze się wzmogły, zęby również pozostały ostre i jadowite. A ona pijana, a ona zamknięta w pokoju, gdzie dużo drżących ze strachu ludzi. Z zimnem okrucieństwem pełza pośród nich, obwija się około nóg, kąsa w samą twarz, usta, zwija się w kłębek i wpija się we własne ciało. I zdaje się, że nie ona jedna, lecz tysiące żmij wije się, kąsa, pożerając jedna drugą. Podobną do takiej żmii była myśl moja. Ta sama, w którą wierzyłem, a w ostrych i jadowitych zębach której widziałem swoje zbawienie i punkt honoru. Jedna myśl rozdrobniła się na tysiące myśli, a każda z nich była silna, a wszystkie były złowróżbne. Kręciły się w dzikim tańcu przy muzyce dziwnego jakiegoś głosu, coś jakby odgłosu trąby, wydobywającego się z nieznanej mi głębi. *To była myśl biegająca, najstraszniejsza ze żmij, bo się ukrywała w ciemnościach.*

Z głowy, gdzie ją mocno trzymałem, uciekła w zakątki ciała w czarną i niezmierzoną głębinę. I ztamtąd krzyczała, jak zbiegły niewolnik, śmiały i hardy w świadomości swojego bezpieczeństwa. *Myślałeś, że symulujesz, a byłeś obłąkanym. Marny, zły, głupi, doktorze Kierżencew! Jaki tam z ciebie doktór, obłąkany doktór Kierżencew!*

Tak właśnie krzyczała, a jam nie wiedział, skąd ten dziwny głos pochodzi. Nie wiem nawet, kto to był, nazywam to „myślą“, ale może to wcale nie była myśl. Myśli — jak gołębie podczas pożaru, krążyły po głowie, a głos ten wydobywał się zkądś z dołu, z zewnątrz, z boków, i nie mogłem go dostrzedz ani zrozumieć.

I najstraszniejsze, czego doświadczyłem, to było uświadomienie sobie, że nie znam siebie i nigdy siebie nie znałem. Dopóki moje „ja“ znajdowało się w mojej rzęsiście oświetlonej „głowie,“ gdzie wszystko porusza się i żyje podług ustanowionego ładu, rozumiałem siebie i znałem, rozumiałem swój charakter, swój plan i byłem, jak mi się zdawało, panem siebie. Teraz przekonałem się, że nie jestem władcą, tylko nędznym, spętanym niewolnikiem. Wyobraźcie sobie, że mieszkaliście w domu, składającym się z wielu pokojów, a zajmowaliście tylko jeden z nich, czując się jednakże panami całego domu. I nagle dowiadujecie się, że w tamtych pokojach mieszkają. *Tak, mieszkają.* Mieszkają jakieś zagadkowe istoty, może ludzie, a może inne jakieś stworzenia, i dom ten

do nich należy. Chcecie się dowiedzieć, co to za jedni, a tu drzwi zamknięte, a za niemi nie słychać ani głosu, ani dźwięku. I właśnie w tym samym czasie dowiadujecie się, że tam, za temi milczącemi drzwiami rozstrzyga się wasz los.

Podszedłem do lustra... Zasłońcie lustra! Zasłońcie!

Straciłem pamięć tego, co zaszło potem, aż do chwili przybycia władz sądowych i policyi. Spytałem, która godzina — odpowiedziano mi, że dziewiąta. I długo nie mogłem pojąć, że od czasu mojego powrotu do domu upłynęły tylko dwie godziny, a od zabicia Aleksego około 3-ch.

Wybaczcie, panowie eksperci, jeżeli nie dosyć zrozumiale do was przemawiam. Ale to jest wszystko, co pamiętam, i co mogę opisać zwykłym, ludzkim językiem. Nie potrafię np. opisać tego śmiertelnego strachu, jaki przez cały czas wtedy czułem. Prócz tego, nie mogę twierdzić z niezachwianą pewnością, że wszystko, co opowiadam, miało w rzeczywistości miejsce. Może tego nie było, a może było co innego... Jedno tylko dokładnie pamiętam, to myśl, albo głos, albo jeszcze co innego: *Doktór Kierżencew myślał, że symuluje, a był naprawdę obłąkanym.*

Przeliczyłem przed chwilą puls — 180. I to w tej chwili, na samo wspomnienie!

ARKUSZ SIÓDMY.

Przeszłym razem napisałem tyle niepotrzebnych i godnych pożałowania bzdurstw, które, ku mojemu zmartwieniu, otrzymaliście już pewnie i przeczytali. Obawiam się, że to wam da fałszywe wyobrażenie o mojem ja, oraz o stanie moich władz umysłowych. Poza tem, wierzę w waszą znajomość rzeczy i w światły wasz rozum, panowie eksperci.

Pojmujecie, że tylko poważne przyczyny mogły skłonić mnie, d-ra Kierżencewa, do wyznania całej prawdy, tyczącej się zabójstwa Sawiełowa. Z łatwością zrozumiecie je i ocenicie, gdy powiem, że i teraz nie wiem, czy udawałem obłąkanego, żeby bezkarnie zabić, czy zabiłem dla tego, że byłem obłąkany; i na wieki zostanie to dla mnie tajemnicą. Majaki tamtego wieczoru znikły, ale zostawiły po sobie ognisty ślad. Niema głupich strachów, ale jest okropny stan człowieka, co wszystko stracił; jest chłodna samowiedza upadku, zguby, złudzeń i czegoś nieodgadnionego.

Wy, uczeni, będziecie się o mnie spierali. Jedni z was powiedzą,

żem obłąkany, drudzy będą dowodzili, żem zdrów, z pewnemi tylko zastrzeżeniami na rzecz zwyrodnienia. Przy całej waszej uczoności nie wykażecie tak dobitnie, ani żem obłąkany, ani żem chory, jak ja sam tego dokażę. Myśl moja zwróciła się ku mnie samemu, i przekonacie się, że nie podobna jej będzie odmówić ani logiki, ani bystrości.

Przepiękna, pełna energii myśl — przecież i wrogom należy oddać sprawiedliwość.

Jestem obłąkany. Nie łaska wysłuchać — dlaczego?

Przedewszystkiem, przemawia za tem dziedziczność, ta sama dziedziczność, którą się tak cieszyłem, obmyślając swój plan. Ataki, które miewałem w latach dziecinnych. Przepraszam was, panowie. Chciałem ukryć przed wami ten drobny szczegół i pisałem dawniej, że byłem dzieckiem zdrowem. Nie dowodzi to bynajmniej, żebym w fakcie istnienia jakichś tam głupich, krótkotrwałych ataków widział jakiekolwiek niebezpieczeństwo dla siebie. Poprostu nie chciałem rozpychać opowiadania drobiazgami bez znaczenia. Teraz — ten szczegół potrzebny mi był do ścisłej logicznej konstrukcyi i, jak widzicie, nie krępując się, podaję go.

Tak tedy dziedziczność i ataki świadczą o mojem usposobieniu do choroby psychicznej. Poczęła się też ona niepostrzeżenie dla mnie samego znacznie wcześniej, niż powziąłem plan zabójstwa. Lecz obdarzony, jak wszyscy *umysłowo chorzy*, bezwiedną przebiegłością i zdolnością naginania nierozumnych czynów do prawideł rozumnego myślenia, jąłem oszukiwać, lecz nie innych, jak sądziłem, tylko — siebie. Pchany przez obcą jakąś siłę, miałem minę, jakobym szedł z własnej woli. Z pozostałych dowodów można lepić, jak z wosku. Nieprawdaż?

Bez trudu dowieść można, żem Tatjany nie kochał, że prawdziwej pobudki zabójstwa nie było, a była tylko urojona. W dziwaczności mojego planu, w zimnej krwi, z jaką-m go wykonał, w całej masie drobiazgów, bardzo łatwo dopatrzyć się tej samej bezrozumnej woli. Nawet zaostrzony dowcip i wzmożona myśl przed spełnieniem zbrodni świadczą o mojej nienormalności.

Tak, ranny śmiertelnie, na cyrku arenie
Jam śmierć gladyatora udawał

Najdrobniejszego szczegółu z mego życia nie zostawiłem bez analizy. Przebadałem całe swoje życie. Przykładałem miarkę szaleństwa do każdego swego kroku, do każdej myśli, do każdego słowa i pasowała do każdego słowa, do każdej myśli.

Okazało się, co najdziwniejsze, że jeszcze przed ową nocą przemknęła mi myśl: czym nie obłąkany naprawdę? Ale jakoś udawało mi się pozbyć się tej myśli; zapominałem o niej.

I oto teraz gdym dowiódł, że jestem obłąkany, wiecie, co widzę? *Że nie jestem obłąkanym* — oto, com spostrzegł. Raczcie wysłuchać.

Najważniejsze z poszlak to dziedziczność i ataki, a więc zwyrodnienie. Jestem zwyrodniały, jeden z wielu i jakiego możnaby, poszukawszy dobrze, znaleźć nawet wśród was, panowie eksperci. Macie tu doskonały klucz do całej reszty. Moje zasady moralne możecie poczytywać nie za świadomy wytwór inteligencyi, lecz za zwyrodnienie. Rzeczywiście, instynkty moralne tkwią tak głęboko, że całkowicie wyzbyć się ich można tylko po odchyleniu się od typu normalnego. Nauka, zawsze jeszcze zbyt hazardowna w swoich uogólnieniach, wszystkie takie odchylenia kładzie na karb zwyrodnienia, choćby człowiek fizycznie zbudowany był, jak Apollo, a zdrowy, jak ostatni idyota. Ale niechaj i tak będzie. Nie mam nic przeciwko zwyrodnieniu — wprowadza mnie ono do świetnego towarzystwa.

Nie będę bronił pobudek swojej zbrodni. Szczerze wam mówię, że Tatjana rzeczywiście obraziła mię swoim śmiechem, a obraza wpiła się głęboko, jak zwykle u takich skrytych, samotność lubiących natur, jak moja. Niech jednak będzie, że to nieprawda. Niech będzie, że nawet miłości we mnie nie było. Czyż tedy nie można przypuścić, że zabijając Aleksego chciałem poprostu doświadczyć swych sił? Wszak uznajecie śmiałków, którzy z narażeniem życia wdzierają się na niedostępne szczyty, jedynie dlatego że są niedostępne. I nie nazywacie ich warjatami? Nie poważycie się nazwać waryatem Nansena, jednego z największych ludzi kończącego się stulecia... I w życiu moralnem są bieguny, a jam się pokusił dotrzeć do jednego z nich.

Wprawia was w kłopot brak motywu zazdrości, zemsty, zysku lub innych bezsensownych przyczyn, któreście przywykli uważać za jedynie naturalne i zdrowe. Lecz w takim razie wy, ludzie nauki, musicie potępić i Nansena, jak go potępiają ci głupcy, co i jego przedsięwzięcie nazywają szaleństwem.

Mój plan... Jest on niezwykły, oryginalny, śmiały aż do bezczelności, ale czy nie jest rozumny z punktu widzenia mojego celu? I właśnie ta moja skłonność do udawania, zupełnie rozsądnie wam wyjaśniona, mogła mi była podsunąć tę myśl. Potęga myśli — ale czy geniusz jest naprawdę obłąkaniem? Zimna krew — dlaczego jednak zabójca powinien koniecznie drżeć, blednąć i wahać się. Tchórze zawsze

drżą, nawet wtedy, gdy obejmują swoje pokojówki, a odwaga — musi być szaleństwem? A jak łatwo tłomaczą się moje własne wątpliwości co do tego, że byłem zdrowym! Jako prawdziwy artysta, zabardzo przejąłem się rolą; chwilowo zjednoczyłem się z odtwarzaną postacią i na chwilę straciłem zdolność samowiedzy. Powiecie może, że wśród rzeczywistych, codziennie zmieniających role aktorów, niema takich, którzy, grając Otella, czują naprawdę potrzebę zabicia? Dosyć przekonywające, nieprawda, pp. uczeni? Czy nie odczuwacie jednej szczególnej rzeczy: kiedy wam oto dowodzę, że jestem obłąkany, wam się zdaje, że jestem zdrowy, a kiedy dowodzę, że jestem zdrowy — jakbyście słyszeli obłąkanego. Tak. Dzieje się to dlatego, że nie wierzycie mi. Ale i ja sobie nie wierzę, bo *komu* w sobie mam wierzyć? Podłej, marnej myśli, okłamującemu niewolnikowi, który służy jednako wszystkim? Godzien on jest buty czyścić, a ja z niego zrobiłem przyjaciela, Boga. Precz z tronu, litości godna, bezsilna myśli! Kto jestem, pp. eksperci, obłąkany, czy nie? Maryo, sympatyczna niewiasto, ty wiesz coś takiego, czego ja nie wiem. Powiedz mi, czyjej pomocy wezwać? Przewiduję twoją odpowiedź, Maryo. *Nie, to nie to.* Jesteś dobrą i zacną kobietą, ale obcą ci jest i fizyka i chemia, ani razu nie byłaś w teatrze i nawet nie podejrzywasz, że ta sztuka, w której żyjesz, przynosząc, podając, zabierając, kręci się. A ona się kręci, Maryo, kręci się i z nią razem my się kręcimy. Ty, Maryo, jesteś dzieckiem, tępem stworzeniem, prawie rośliną, i ja ci zazdroszczę, prawie tak, jak pogardzam tobą.

Nie Maryo, nie ty mi na to odpowiesz. I ty nic nie wiesz, to nieprawda. W jednej z ciemnych komórek twojego niesubtelnie zbudowanego domu, mieszka ktoś taki, bardzo ci użyteczny, ale u mnie ten pokój jest pusty. Dawno on umarł, ten, kto tam mieszkał, a na mogile jego postawiłem piękny pomnik. *On umarł, Maryo, umarł i nie wskrześnie.*

Kto jestem, pp. eksperci, obłąkany, czy nie?

Wybaczcie natarczywość, z jaką zwracam się do was z tem pytaniem, ale jesteście przecież „ludźmi nauki", jak was nazywał mój ojciec, gdy chciał się wam przypochlebić, macie książki i władacie jasną, ścisłą i nie błądzącą myślą. Naturalnie, jedna połowa z was pozostanie przy jednem zdaniu, a druga — przy drugiem; a ja wam uwierzę, pp. uczeni, i jednym uwierzę, i drugim uwierzę. Powiedzcie... pomogę waszemu światłemu rozumowi przytoczeniem bardzo interesującego łakciku. Pewnego spokojnego, cichego wieczoru, przepędzonego wśród tych białych ścian, na twarzy Maryi zauważyłem wyraz przerażenia, roztargnienia, uległości czemuś silnemu i strasznemu. Potem odeszła, a ja dalej my-

ślałem o tem, co mi się zachciało. A zachciało mi się dziwnych rzeczy: Mnie, doktorowi Kierżencowowi, zachciało się wyć. Nie krzyczeć, lecz właśnie wyć, jak tamten oto. Zachciało mi się szarpać na sobie ubranie i rozdrapywać się paznokciami. Ująć koszulę u kołnierza, z początku nieduży kawał, wcale nieduży, pociągnąć, a potem raz! i do samego dołu rozerwać. Zachciało się mnie, d-rowi Kierżencowowi, stanąć na czworakach i czołgać się. A dokoła było cicho, śnieg padał i gdzieś tam, niedaleko, bezdźwięcznie modliła się Marya. I długo, z rozmysłem wybierałem, co mam zrobić. Jeżeli wyć, to będzie hałas i zrobi się skandal. Jeżeli rozerwać koszulę, to jutro zauważą. I zupełnie rozsądnie wybrałem to trzecie: czołganie się. Nikt nie usłyszy, a jeśli zobaczą, to powiem, że mi się guzik oderwał i szukam go. I dopóki wybierałem i zastanawiałem się, wszystko było dobrze, a nawet przyjemnie, tak dalece, że, pamiętam, wymachiwałem swobodnie nogą. Wnet jednak pomyślałem:

— Dlaczego mam się czołgać? Czyżem naprawdę obłąkany? I lęk mię zdjął i odrazu napadła ochota i czołgania się i wycia i drapania. I rozzłościłem się.

— Chcesz się czołgać? pytałem. A ono milczało. Ono już nie chciało.

— No, przecie chcesz się czołgać? — nastawałem. A ono milczało.

— No, czołgaj się!

I, zawinąwszy rękawy, stanąłem na czworakach i poczołgnąłem się. I, kiedym obszedł w ten sposób pół pokoju, tak mi się komicznym wydał ten wybryk, że usiadłem na podłodze i śmiałem się, śmiałem, śmiałem!

Na zasadzie przyzwyczajenia i niewygasłej wiary, że można cośkolwiek wiedzieć, pomyślałem, że znalazłem źródło swoich nierozumnych pożądań. Najwidoczniej, chęć czołgania się i inne tym podobne zachcianki były wynikiem autosugestyi. Uporczywa myśl, że jestem obłąkanym, wzbudzała waryackie zachcianki, a gdy je spełniłem, okazało się, że już we mnie niema żadnych takich zachcianek i że nie jestem obłąkanym. Rozwiązanie, jak widzicie, zupełnie proste i logiczne. Ale... *Jednakże czołgałem się? ja się czołgałem? Kim więc jestem? usprawiedliwiającym się przed samym sobą waryatem, czy też zdrowym, pozbawiającym się sam rozumu?*

Dopomóżcie mi, wy, wielcy uczeni! Niechaj wasz autorytet przechyli nareszcie szalę na jedną, lub drugą stronę i rozwiąże to okropne, męczące pytanie. Czekam!

Napróżno czekam. O! moje miłe głowiny — czy nie jesteście tem samem, czem ja? Czy w waszych łysych głowach nie pracuje ta sama podła, wiecznie kłamiąca, zdradliwa, łudząca myśl, jak moja? Czem-że moja gorsza od waszej? Zaczniecie dowodzić, że jestem obłąkany, to wam dowiodę, żem zdrowy; zaczniecie dowodzić, że jestem zdrowy, — dowiodę wam, żem obłąkany. Powiecie, że nie wolno kraść, zabijać i oszukiwać, dlatego, że to niemoralnie, że to przestępstwo, a ja wam dowiodę, że wolno zabijać i ograbiać, że to jest bardzo moralne. I wy będziecie myśleli i mówili, i ja będę myślał i mówił, i wszyscy będziemy mieli racyę, i nikt z nas nie będzie miał racyi. Gdzież są sędziowie, którzy mogliby nas rozsądzić i znaleźć prawdę? Wy macie tę przewagę nademną: nie popełniliście żadnego przestępstwa, nie jesteście pod sądem, a tylko wezwani jesteście, aby za umówioną opłatą wybadać mój stan psychiczny. I ztąd wynika, że tym obłąkanym jestem ja. Gdyby jednak, panie Drzembicki, pana tu osadzili, i mnie kazali pana obserwować, to obłąkanym byłbyś pan, a ja byłbym tą ważną osobistością— ekspertem, kłamcą, który się wyróżnia od innych kłamców tem, że kłamie nie inaczej, jak pod przysięgą. Prawda, nikogo pan nie zabił, nie popełnił pan kradzieży dla samej kradzieży, a że targuje się pan z dorożkarzem o kopiejkę, świadczy to o pańskiem moralnem zdrowiu. Nie jesteś pan waryatem. Może się jednak zdarzyć rzecz całkiem nieoczekiwana.

Ni ztąd ni zowąd, jutro, dziś, w tej chwili, podczas czytania tych oto wierszy, przychodzi panu do głowy strasznie głupia i niebaczna myśl: „Czy nie jestem i ja obłąkany?“ Co z pana będzie wtedy, panie profesorze? Taka głupia, niedorzeczna myśl, czemu panu wpadła do głowy? Sprobuj pan wygnać ją. Piłeś pan mleko i sądziłeś, że jest zupełnie czyste, dopóki ktoś tam nie przekonał pana, że jest z wodą zmięszane. I naturalnie, niema odtąd czystego mleka. *Jesteś obłąkany.* Nie ma pan ochoty poczołgać się na czworakach? Naturalnie, że nie, gdyż który to zdrowy człowiek chce się czołgać? No, a jednakże? Nie zjawia się w panu taka słabiuchna zachcianka, całkiem słabiuchna, głupia, z której człowiek ma ochotę śmiać się — zsunąć się z krzesła i trochę, choćby troszkę się poczołgać. Naturalnie, że nie zjawia się, zkądże mogłaby się zjawić u zdrowego człowieka, który przed chwilą pił herbatę i rozmawiał z żoną. Czy jednak nie czujesz swoich nóg, choć ich przedtem nie czułeś, i czy nie zdaje ci się, że w kolanach doznajesz czegoś dziwnego: ciężkie odrętwienie walczy z chęcią zgięcia kolan, a potem..

I w samej rzeczy, panie Drzembicki, czy ktokolwiek będzie w stanie powstrzymać cię, jeżeli zechcesz odrobinę poczołgać się?

Nikt.

Ale poczekaj z tem jeszcze. Jesteś mi jeszcze potrzebny. Walka moja jeszcze nie skończona.

ARKUSZ ÓSMY.

Jeden z objawów ekscentryczności mojej natury: bardzo kocham dzieci, zupełnie maleńkie dzieci, kiedy zaczynają szczebiotać i są podobne do innych małych zwierzątek: szczeniaczków, kociąt i żmijek. Nawet żmijki młodziutkie są pociągające. I ubiegłej jesieni, w piękny słoneczny dzień, byłem świadkiem takiej sceny. Maleńka dziewczynka, w watowanym paltociku i kapturku, z pod którego były tylko widoczne różowe policzki i nosek, chciała podejść do maleńkiego psiaczka o cienkich nóżkach, śpiczastej mordce i tchórzliwie stulonym między nogami ogonie. W tem strach ją ogarnął, cofnęła się, i jak maleńki biały kłębuszek potoczyła się ku stojącej niańce i milcząc, bez łez, bez krzyku przytuliła twarzyczkę do jej kolan. A maleńki psiaczek pieszczotliwie merdał ogonkiem i trwożliwie kurczył go, a twarz niańki była taka dobra, prostoduszna.

— Nie bój się, mówiła i uśmiechała się do mnie, a twarz jej była taka dobra i prostoduszna.

Nie wiem dlaczego, ale często wspominałem tę dziewczynkę i na wolności, kiedy urzeczywistniałem plan zabicia Aleksego, i tutaj. Wtedy jeszcze, gdym obserwował tę miłą grupę, oświeconą jasnem, jesiennem słońcem odezwało się we mnie dziwne uczucie: jakby rozwiązanie czegoś. Uplanowane przezemnie zabójstwo wydawało mi się wtedy fałszywym dźwiękiem z jakiegoś obcego, zupełnie innego świata. I to, że oni oboje, i dziewczynka i piesek, byli tacy drobni i mili, i to, że tak komicznie bali się jedno drugiego, i to, że słońce tak jasno świeciło — wszystko to było tak naturalne i tak pełne prostej, głębokiej mądrości, jakby tu mianowicie, w tej grupie zawierała się zagadka bytu. Takiem było uczucie i powiedziałem sobie: „trzeba będzie o tem należycie pomyśleć“ — a jednak nie pomyślałem.

A teraz nie pamiętam, co to było takiego, i aż do zmęczenia staram się zrozumieć, ale nie mogę. Nie wiem nawet, po co wam opowiedziałem tę zabawną, niepotrzebną wam historyjkę, kiedy mam jeszcze

tak dużo ważnego i poważnego do powiedzenia. *Bezwarunkowo trzeba skończyć.*

Zostawmy w spokoju zmarłych. Aleksy zabity — trup jego już się zaczął rozkładać — jego niema — czort z nim! W sytuacyi nieboszczyków jest bądźcobądź coś przyjemnego. I o Tatjanie nie mówmy. Jest nieszczęśliwa. Chętnie przyłączam się do ogólnego głosu współczucia, ale czem jest to nieszczęście, wszystkie nieszczęścia na świecie w porównaniu z tem, które przechodzę teraz ja, doktór Kierżencew! Czyż mało żon na świecie traci ukochanych mężów i czy mało będzie ich traciło? Zostawmy je — niech płaczą!

Ale tutaj — w tej oto głowie...

Czy rozumiecie, panowie eksperci, ten okropny zbieg okoliczności. Nikogo na świecie nie kochałem, oprócz siebie, a w sobie kochałem nie to nędzne ciało, które kocha i każdy filister — kochałem swoją myśl, swoją swobodę. Nie znałem i nie znam nic wyższego nad myśl swoją, ubóstwiałem ją — i czy ona nie była tego warta? Czy nie walczyła jak Tytan z całym światem i jego błędami? Na wierzchołek wysokiej góry wzniosła mnie ona i ztamtąd patrzałem, jak głęboko wdole roili się ludziska, ze swojemi drobnemi, zwierzęcemi namiętnościami, ze swym wiecznym strachem przed życiem i śmiercią, ze swym kościołem, mszą i modlitwą. Czyż nie byłem wielkim, swobodnym i szczęśliwym? Jak średniowieczny magnat, osiadły jak gdyby w orlem gnieździe w swoim niedostępnym zamku, dumnie i wszechpotężnie spogląda na leżące u stóp jego doliny — tak niezwyciężony i dumny byłem w swoim zamku, pod temi czaszkowemi kościami. Władca samego siebie — byłem zarazem i władcą świata.

I zdradzili mnie. Podle, podstępnie, jak zdradzać tylko umieją kobiety, chamy i myśli. Mój pałac stał się mojem więzieniem. We własnym pałacu napadli mnie wrogowie — gdzie ratunek? W niedostępności pałacu, w grubości jego ścian — moja zguba. Głos nie wychodzi na zewnątrz — kto silny wybawi mię? Nikt. Nikogo silniejszego niema nademnie, a ja właśnie, ja sam jestem jedynym wrogiem swojego „ja". Podła myśl zdradziła mnie, tego, co tak w nią wierzył i tak ją kochał. Nie stała się słabszą: taka sama bystra, jasna, giętka, jak rapir, tylko rękojeść jego już nie w mojej ręce. I mnie, swego stwórcę, swego pana, zabija ona z taką samą tępą obojętnością, jak ja nią zabijałem innych. Nadchodzi noc, i ogarnia mię piekielny strach. Byłem na ziemi niewzruszony i mocno na niej stałem, a teraz, wtrącony-m w pustą bezdenną otchłań. Jak wielka i okropna jest samotność, kiedy i ztyłu,

i zprzodu, i zewsząd dokoła spoziera ziejąca pustka. Straszliwe sieroctwo, kiedy ten, co żyje, czuje, myśli, co jest sobie tak drogim i jedynym, kiedy ten sam jest jednocześnie taki mały, nędzny i słaby i w każdej chwili gotów zgasnąć.

Złowieszcza samotność, kiedy się jest ledwie marną cząstką samego siebie, kiedy we własnem wnętrzu jest się otoczonym i gnębionym przez ponuro-milczących, tajemnych wrogów. Dokądkolwiek idę, wszędzie oni za mną; samotny, w pustce wszechświata, w samym sobie nie mam przyjaciela. Bezrozumna samotność, kiedy nawet nie wiem, kim jestem, samotny, a mojemi ustami, moją myślą, moim głosem rządzą niewiadomi „oni".

Tak żyć nie można. A świat spokojnie śpi, i mężowie całują żony, i uczeni mają wykłady, i żebrak cieszy się rzuconym mu groszem. Bezrozumny, szczęśliwy w swojej bezmyślności świecie, okropne będzie twoje przebudzenie!

Jaki siłacz poda mi rękę pomocną? Nikt. Nikt. Gdzie znajdę to wiekuiste, do którego mógłbym przylgnąć swojem litości godnem bezsilnem, do okrucieństwa samotnem „ja". Nigdzie. Nigdzie. O! miła, miła dziewuszko, ku tobie wyciągam teraz swoje krwią splamione ręce—przecież i tyś człowiek i takżeś marna i bezsilna i podlegającą śmierci. Czy mi ciebie żal, czy chcę, żebyś mię żałowała? Tarczą by dla mnie było twoje niewinne, bezsilne ciałko przeciwko beznadziejnej pustce czasu i przestrzeni.

Nie, nie, wszystko to jest kłamstwem.

O wielką, ogromną przysługę, poproszę was, pp. eksperci, a jeśli macie w sobie choć odrobinę ludzkości, nie odmówicie mi jej. Spodziewam się, żeśmy się wzajemnie dostatecznie poznali, dostatecznie, żeby nie wierzyć jeden drugiemu. A jeżeli was poproszę o opinię, że jestem człowiekiem zdrowym, to najmniej ze wszystkich uwierzę w nią — ja. Dla siebie możecie rozstrzygać, lecz mnie nikt nie rozstrzygnie tego pytania:

Czy udawałem obłąkanego, żeby zabić, czy zabiłem, bo byłem obłąkany.

Ale sędziowie uwierzą wam i dadzą mi to, czego pragnę: ciężkie roboty. Proszę nie tłomaczyć sobie fałszywie mojego życzenia. Nie żałuję, że zabiłem Sawiełowa, nie szukam w karze pokuty i, niechby dla dowiedzenia, że jestem zdrowy, spodobało się wam, abym zabił kogokolwiek dla ograbienia go — z przyjemnością zabiję i ograbię. Ale w katordze szukam czego innego, czegoś, sam jeszcze nie wiem czego.

Ciągnie mnie do tych ludzi jakaś mglista nadzieja, że wśród nich, co obeszli wasze prawa, śród zabójców, złodziei, odnajdę nieznane mi

źródła życia i znowuż się stanę swoim przyjacielem. Niechaj to będzie nieprawdą, niech mię nadzieja zawiedzie, chcę jednakże być z nimi. O! znam was! Tchórze i obłudnicy, nadewszystko kochacie spokój, i z radością schowalibyście w domu waryatów każdego złodzieja, który ściągnął bułkę, — chętniej uznalibyście za waryatów cały świat, nie wyłączając siebie, niżbyście się odważyli pójść wbrew szematowi. Znam was. Zbrodnia i zbrodniarz — oto wieczny wasz alarm, to głos groźny dochodzący z niedościgłej bezdni, to nieubłagany wyrok potępienia na całe wasze życie rozumne i etyczne, i jakkolwiek byście szczelnie zatykali watą uszy, on przenika, przenika. I ja chcę być z nimi. Ja, doktór Kierżencew, stanę w rzędzie tej strasznej dla was armii, jako wieczysty wyrzut, jako ten, co pyta i czeka odpowiedzi.

Nie proszę was uniżenie, lecz żądam: powiedzcie, że jestem zdrów. Skłamcie, jeżeli temu nie wierzycie. Lecz jeśli małodusznie umyjecie od tego wasze uczone ręce i zamknięcie mnie w domu waryatów, albo wypuścicie na wolność, to po przyjacielsku uprzedzam: was narobię wam dużych nieprzyjemności.

Dla mnie nie istnieją prawa, nie istnieje sąd, nie istnieje zakazane. Czy możecie sobie wyobrazić świat, w którym niema prawa przyciągania, niema góry, niema dołu, w którym wszystko podlega jedynie żądzy i wypadkowi? Ja, doktór Kierżencew, jestem tym nowym światem. Wszystko wolno. A ja, doktór Kierżencew, dowiodę wam tego. Udam zdrowego i *odzyskam wolność*. I całe dalsze życie poświęcę nauce. Otoczę się waszemi książkami, wezmę od was całą potęgę waszej wiedzy, którą się chełpicie, i wynajdę rzecz, której bezwzględna potrzeba dawno już dojrzała. *Będzie to materyał wybuchowy*. Taki silny, jakiego dotąd jeszcze ludzie nie widzieli: silniejszy od dynamitu, silniejszy od nitrogliceryny, silniejszy od samej myśli o nim. Jestem utalentowany, uparty i wynajdę go. *A gdy go wynajdę, wysadzę w powietrze waszą przeklętą ziemię, na której tak dużo bogów, a niema jedynego, wiekuistego Boga.*

W sądzie dr. Kierżencew zachowywał się spokojnie i przez cały czas posiedzenia pozostawał w tej samej, nic nie mówiącej pozie. Na pytania odpowiadał obojętnie i bez zainteresowania, pozwalając czasem dwukrotnie je sobie powtarzać. Pewnego dnia zabawił zebraną publiczność, napełniającą w ogromnej ilości salę. Przewodniczący zwrócił się

z jakiemś poleceniem do komisarza sądowego, a podsądny, widocznie roztargniony, powstał i głośno zapytał:

— Co? Mam wyjść?

— Dokąd wyjść? zdziwił się przewodniczący.

— Nie wiem. Powiedział pan coś.

Publiczność roześmiała się, a przewodniczący powiadomił Kierżencewa, o co idzie.

Ekspertów psychiatrów wezwanych było czterech, i zdania ich podzieliły się w równej ilości. Po przemowie prokuratora sędzia zwrócił się ku podsądnemu, który zrzekł się obrońcy.

— Podsądny, czy masz pan co do powiedzenia na swoją obronę?

Doktór Kierżencew wstał. Wyblakłemi, prawie niewidzącemi oczami powoli objął sędziów, a potem spojrzał na publiczność. I ci, na których padł ten niewidzący wzrok, doświadczyli dziwnego i męczącego uczucia: jakby z pustych orbit czaszki wyjrzała na nich sama śmierć obojętna, niema.

— Nic — odpowiedział podsądny.

I jeszcze raz obrzucił spojrzenie mludzi, którzy się zebrali, żeby sądzić go, i powtórzył:

— Nic.

Przysięgli udali się do pokoju narad.

Leonidas Andrejew.

Przemiany.

I.

ZMIERZCH.

Myślcie, żem umarł. Teraz na was patrzę
Przez pola, smutkiem jesieni osnute.
Stąd życia morze wydaje się gładsze,
Tu myśli z wszelkiej małości wyzute,
Stają u źródeł swych. Od trudu bladsze
Duchy przychodzą tu nie na pokutę,
Ale na ciszę. Dość mnie jędze żarły...
Teraz odpocznę — żyw, lecz jak umarły.

Miłość, nienawiść — moje psy zażarte,
Co wiecznie z wrzawą gryzą się, przyległy
I śpią; a pamięć źrenice otwarte,
Jako dwie gwiazdy, co uroczysk strzegły,
Kładzie na serce moje. Snom wydarte
Powstają widma dni, co wstecz odbiegły;
I dawne kształty zrywają się w mroku
W płomieniach dawnej krwi, jak błysk w obłoku.

Cicho... Pod złotem brzozy siedząc drzewem,
Czuję, że obok jakieś widmo stoi.
Wiatr mnie oblata smętnych szeptów śpiewem;
Serce, jak bursztyn pęknięty się dwoi...
O ciszo! — Złoty liść, wiatru powiewem
Strącony, pada, jak łza u podwoi
Grobu po młodym nieznanym tułaczu.
Jest coś ludzkiego w mrącej brzozy płaczu.

Słyszę i czuję, niby snem ujęty,
Tylko na cień ów obejrzeć się boję,
Duch milczy: w ręku trzyma kwiat zamknięty
— Wszystko najlepsze i najdroższe znoje —
Kwiat życia, wcześnie łodydze odcięty
Niegdyś był bujny, wonny... Przyszły zmoje, —
Słońce, — zły upiór — dotąd nad nim stało,
Aż zczerniał, aż mu wnętrze w proch zetlało.

I odtąd tylko pół duszy jest we mnie,
A i to pełne gniewu i rozpaczy.
Więc takie czasem na mnie idą ciemnie,
Takie upiory, taki lęk prostaczy
Przed życiem, które — wiem — ma przejść daremnie,
Że jeśli kiedy chyża myśl zahaczy
O coś, co dawną przypomina duszę,
Wnet ją, jak ostrze, co mnie rani, kruszę.

Próżno miecz toczyć i kulbaczyć konie,
Gdy pierś radością boju się nie wzdyma.
Kto wsiadł do łodzi z próchnem w dnie — utonie.
Los serce wróbla ma — ramię olbrzyma.
Więc tylko maską chłodu się osłonię,
Że mnie nie woła nic i nic nie trzyma,
A choć mnie łamie ból w takiej skorupie,
Okropne dumy zwycięztwo zań kupię.

Zwycięztwo!... Głos ten syczy, jak gadzina,
I serca, które dla mnie biją, kąsa:
A moje skurczem bolesnym zacina.
Próżno o szczęściu myśleć, gdy się dąsa
Fatum. Już myślę, że jest jakaś wina
W grobach ukryta, którą ktoś roztrząsa
I zemstę rzuca na żywych. — Naprożno
Chleb życia w sakwę nakładać podróżną.

Nie znajdzie, ktoby szukał pokrzepienia
W mej duszy, żagwią zniszczenia dotkniętej.
Anioł mój w złego ducha się zamienia,
Gdy chce nieść spokój, moc... W walce zaciętej
Między geniuszem życia i marzenia
Serce mi wyschło. Na ledwie poczętej
Myśli cień widzę kłamstwa i nicości.
Czynię, lecz z dumy czynię, — nie z miłości.

A kiedy szatan ów skrzydła płomienne
Z ramion mi zdejmie, gdy omdlała ręka
Opadnie, — czuję, żem trup, i bezsenne
Oczy rozszerzam na przyszłość i męka
Szarpie mnie dzika; a widmo niezmienne
Pogardy staje przedemną i nęka.
Choć mi wróżono krótką życia drogę,
Chciałbym przyspieszyć wróżbę — i nie mogę.

A przecież — gorzka jest życia igraszka —
Kładły się dusze przede mną, jak kłosy,
Błagając: „ratuj.“ — Pękała mi czaszka
Z szaleństwa, żem bezsilny; darłem włosy,
A nikt nie wiedział, bom się śmiał — „to fraszka“
Chociaż nędzniejszy byłem, niż ten bosy
Żebrak, co ludziom ciepłej zajrzy strawy.
Oto jest dramat naszych dni niekrwawy.

I dziwną duch nasz dręczy się zagadką:
Chcemy panować i korzyć się razem.
Choć żądza władzy wszystkich prac jest matką,
Przecież za błogim tęsknimy obrazem
Pokory, ciszy. Rzeczą nam nierzadką
Czuć, żeśmy ziarnem, a świat — młyńskim głazem,
Więc chcielibyśmy iść pod rękę cudzą,
Ufać i śnić w spokoju. Lecz sny łudzą.

Ach, są to cudne chwile wniebowzięcia,
Gdy człowiek dzieckiem znów się staje małem
I wierzy w ducha anielskie zaklęcia,
I bierze rozbrat z dymem życia, z szałem,
Z zimną rachubą dnia; gdy mu objęcia
Otwiera dobry duch o czole białem.
Błogosławione te chwile, gdy w ciszy
Serce znękane śpiew zbawienia słyszy.

Miałem ja taki sen i przez spokojne
Słoneczne pola szedłem pełen śpiewu —
Piersi me były mężne, choć nie zbrojne:
Za mną podobny szumiącemu drzewu
Chór duchów dobrych harfy trącał strojne,
Zdala, jak z rzeki szalonej rozlewu,
Szedł huk i borów wywracanych stęki.
Lecz geniusz dobry nie puszczał mej ręki.

Wiódł mnie oczyma, jako dwie krynice
Lśniącemi błogo. I szedłem bez trwogi,
Wierząc, że jeśli są jakie strażnice
Groźne przedemną, jeśli jakie progi
Do nieba bronią strome, jak iglice,
Przejdę i strach mi nie zatrzęsie nogi.
Czułem że jedna myśl mnie tylko ziębi
Aby nie stracić nic z tych źrenic głębi.

Ale... To „ale“ jest rafą podwodną,
Przez którą ducha łódź dziewiczość traci.
Na sercach naszych rękę kładzie chłodną
Jakiś duch ciemny zgrzybiałej postaci
I żywych zmienia w rzeszę trumien godną,
W żałosne bractwo „niedołężnych braci,“
Że struna życia, głosząca nadzieję,
Nie pęka w nas, szarpnięta, lecz próchnieje.

Młodości, gdzież to puhar twój złocony,
Nieokiełzanych myśli pełen wina?
Gdzie miecz twój, bojów nierównych spragniony?
Gdzie koń twój, który kopytem się wspina
Nad ciemną rzeką lasów — koń szalony? —
Przypełzła głucho cudów twych godzina,
A pustka mówi: niema! — Krótkie słowo...
Krótkie, jak wyrok śmierci — Żyjesz głową.

I oto staliśmy się tak rozumni,
Że rozumiemy nawet głupstwo swoje.
Wiemy, gdzie burzy aniołowie szumni;
Wiemy, gdzie mocy buchające zdroje;
Wiemy, co zrodzi miłość, co ją wtrumni,
Wiemy, jak słodkie płodnej pracy znoje;
Wiemy, lecz tylko wiemy. — Tak rzezaniec
„Wie“ rozkosz, patrząc na hurysek taniec.

Lecz dość szyderstwa i wstrętu. — Młodości,
Twe imię smutnym stało się symbolem.
Przyjdzie czas... Kiedyś białe nasze kości
Usieją ziemię, a nad śmierci polem
Anioł, wygnany z królestwa wieczności,
Stanie, szlochając, — i skrzydłem sokolem
Nie dźwignie, ale, jak trumny krawędzie,
Na dół je puści — Nasz to anioł będzie.

Jak smutno... Czemu uciekasz przede mną
Ptaku dni jasnych? — Czemu mi na usta
Kładzie ktoś słowa bolące i ciemną
Wróżbę przyszłości? — Czemu zła i pusta
Zda mi się droga moja? — Niech się zdrzemną
Złe duchy — Z oczu mych żałobna chusta
Niech spadnie — Własnej wyobraźni tworów
Lękam się — ciemnych poeta kolorów.

Jak smutno!... Mówią, że jest żywa woda,
Która śmiertelne nawet rany goi...
Wierzę... Chcę wierzyć... Lecz kto drogę poda
Do źródła? — Rzeszę kto chorą napoi? —
Jako w pustyni zabłąkana trzoda,
Co, liżąc piasek, zgagi nie ukoi,
Tak my... Śmiertelny dreszcz potrząsa nami
I oczy płaczą żywą krwią, jak łzami.

Niekiedy jednak, gdy się duch umęczy
Rozpamiętywań szarpiących wysiłkiem,
Inne kolory kładą mi się w tęczy
I szatan z serca wymyka się chyłkiem.
I widzę wtedy, jak przed Bogiem klęczy
Rzesza; jak nikłym pragnie stać się pyłkiem.
Przestworze wielką napełnia się ciszą:
Słychać, jak serca drżą, jak usta dyszą.

Pieśń się podnosi — Błagalną modlitwą
Niesie powietrze na błękitnej fali.
„Otośmy długą odbyli gonitwę
I trzewia nasze płomień głodu pali.
Dwusieczną losu chwytaliśmy brzytwę,
A ręce nasze nie były ze stali;
Przez rzeki żądzy brnęliśmy ogniste.
I umęczeni jesteśmy, o Chryste!“ —

„Choć ciała nasze są z poziomej gliny,
Lecz nie nakarmia nas ziemia do syta.
Przychodzą na nas sieroctwa godziny,
Kiedy się dusza o rodzica pyta,
Aby mu wszystkie wyspowiadać winy,
Wszystką swą nędzę i ból... Lecz rozbita
Jest łódź, co brzegi zbliżała ojczyste.
I umęczeni jesteśmy, o Chryste!“

„Jak stado mrących łabędzi żałosne,
Oto pod nogi przypadamy Twoje
I nie wołamy: „wróć nam dawną wiosnę,“
Lecz serca gorzkie otwieramy zdroje
I płacz nas dławi — O, będą radosne
Te łzy, gdy z niemi spłyną niepokoje —
I gdy ujrzymy tylko śród zamroczy
Twe boskie, o nas zadumane oczy.“

Wszystko to było... było... Lecz w tej chwili
Serce śni we mnie ciche, jako złoty
Liść klonu, gdy dzień jesienny się chyli
W lilije wieczoru... Górne kołowroty
Lekko pokręca noc i drogę myli
Słońcu, a ono, chmur różowiąc groty,
Staje i długie rozczesane włosy
Kładzie na runie, na okwitłe wrzosy.

I na mnie promień jeden błogi pada
I wskroś mnie idzie, żem już duch, nie ciało;
Że zapominam, jakie były drogi
Owe, na których we mnie tchu nie stało;
Że tam... gdzieś... jest dom, pełen skarg i trwogi
O dziś, o jutro; — że to „nic“, co łkało
Dzwonem bolesnym w braciach mych i we mnie,
Jest falą, o brzeg bijącą daremnie.

Już idziesz — spływasz, wielka niepamięci,
Która jednoczysz z bóstwem ziemi twory —
Pijemy z ust twych: ten las, co się smęci
W złocie uwiędłych koron, i przestwory
Niebios patrzących, i w sosnach zaklęci
Duchowie wiatrów, głosy i kolory,
Ziemia i wody... i ja. — Lecz daremnie
Dzielić: nie jestem... i wszystko jest we mnie.

Przygasam w zorzach, jak ognie pastusze,
Na wietrznych gęślach pogrywam pieśń cienia
I brzóz kołyszę złote pióropusze.
Serce me, pełne przeczuć i natchnienia,
Drży w łonie ziemi i podziemne dusze
Źródeł obudza ze szklanego śnienia,
Aż poczynają z mokrych gniazd się zrywać
I przez ciemności głuche nawoływać.

Wieszcza twarz nocy schyla się nade mną
I pocałunek oczom moim daje,
Aby ujrzały rzecz, jak myśl tajemną.
Westchnęły ziemi zamglone rozstaje
I oto, drogą wywiedziony ciemną,
Z czarnego sosen wieńca złoty wstaje
Duch. Wielkie czoło podniósł, na zwieszoną
Chmurę obrócił oczy — mroki płoną.

Lecz coraz wyżej bezszelestnym lotem
Płynie i bielszy w obłokach się waży —
Cisza zalega taka, że się o tem
Zamyśla każdy liść. — Na szklanej twarzy
Wód czucia grają srebrzystym migotem;
Noc pod drzewami kładzie się i marzy
O wielkich gwiazdach, o mórz ciemnej toni
I słychać prawie, jak powietrze dzwoni.

Twoja to dusza, ziemio — moja dusza
Wszelakiej żądzy próżna, — ukojona,
Wyszła, by jaśnieć. Każda się rozkrusza
Myśl w niej, jak srebrny pył, co mży z jej łona,
Każde się czucie w niej, jak fala wzrusza
I jako fala mdleje rozelśniona
A czego dotknie — czyste jest i żywe...
...Tak idzie dusza...

Maryan Zbrowski.

Światło.

Pudencya.

Chryste! gdzież wichry, aby precz odwiały
echo słów grzesznych, plamę zgubnych słów?

Eubulus.

Wymaż z pamięci, odnów umysł cały!
Sam do nas mów!

Rea-Maximia.

Ja, noc, chcę obudzenia,
ja, dzień, chcę spełnej chwały!
Ja, piasek ziemie, pragnę, by się stały
kurze dróg moich jako żar płomienia.

. . . . . .

Chór.

Nie bacząc, głowie swej przyzywa klęski,
nie wie, co Boży gniew!

Rea-Maximia.

Rozrywa trzewia moje śmiech zwycięzki!

. . . . . .

Na własnej mocy zew
chcę okazować, czem w potędze stoję!

. . . . . .

Piastunko, przywiedź tu wkrąg dzieci moje!

(Piastunka stara w głąb idzie, a po chwili z poza tłumu wywodzi zwolna gromadkę przepięknych dzieci).

Piastunka.

Wiodę je k'tobie na chwałę!
Patrz: jako główki podnoszą,
jak wdzięcznie główki znów chylą!
Przywodzęć to stadko całe,
ptaszęcą wabne rozkoszą,
ślicznością zdobne motylą!
Stój! one macierz okrążą,
wieniec ku sławie biódr związą!

Rea-Maximia.

Zaprawdę, wiedziesz na chwałę!
mym biodrom wieniec i cześć!
Oto dziś tryumf na me piersi białe,
oto moc, której niema jako zgnieść!

. . . . . .

Rodzajność łona;
wszystkie ku słońcu rozbłyski i wawrzyny!
a tej twórczości odwiecznej jest korona:
moje — ludzkie, rozumne i czujące syny!

. . . . . .

Pudencya.

Śliczna dzieciątek gromada:
białe gołąbki — rączęta,
różane dziobki — ich twarze,
szmer, głosik śmiechem wciąż gada!
Westchnęło serce! — na własne swe pamięta!
Niech nad dzieciątkiem mojem Pan okaże
słodycz swej łaski i skuteczność broni!

Tryfena.

Stoją: każde główkę kłoni
cudną w jasnych włosków zorzy!
Macierz ręce im położy

na te pukle wyzłacane,
na te oczki, na te skronie.

. . . . . .

A ja, Panie, czyż osłonię
swe rodzone i kochane?

Tryfosa.

Moje: już wzięte na tę — krwi ofiarę...
Płacz mię potrącił... Owo, rany stare,
a niezgojone! źrenicami dwiema
płacze wieczyście Rachel, że — ich niema!

Rea-Maximia.

Poruszona jest prawda rodzących waszych trzew.

Piotr apostoł.

Nie zginą-ć syny, dla których obietnica.

Pudencya.

Jaki zimny, smutny wiew!
kędyś z oddali, a owiał znagła lica!

Chór niewiast.

Ojcze! ciężar na skrzydła,
brzemię się kładzie na szyję!
z uciskiem serce nam bije
myśl ociężała i zbrzydła!

Rea-Maximia.

Nad mowę wszelką swoje prawo rości,
stworzony żywot i świadczy, a nie kłamie!
skarżący świadek! zapłaczą wam wnętrzności,
poznacie znamię!

Chór niewiast.

Zapłakały wnętrzności
rozkrwawione, matczyne,
powraca ciężar ciał!
Za rodzącą przewinę,
Adamowej krzyk kości,
zagasa lot, co gnał!

Już od jasnych przestworzy
my, ciężkością strącone,
opadamy w tę stronę,
gdzie się proch z nas położy.
Osunęło w dół brzemię,
gaśnie oczom zaranie,
powracamy w płakanie
bólu matki — na ziemię!

Rea-Maximia.

Przecz-że mi światło, co nie zejdzie we mnie?
Przecz-że mi żywot, który — nad żywotem?
a ten ma zwiędnąć i upadać w ciemnię?
Słyszcie! jak szydząc, chcę powiadać o tem:
izaliż syny pogwałcę, a rozdzielę?
by z ciał oddawać wieczystą w mrok zapłatę,
miotając dusze — aż kędyś w łzach skrzydlate!

. . . . . .

Gardzę! Niespełne — nie będzie mi wesele!

Chór niewiast.

Zapłakały wnętrzności
płaczem, który nie zaśnie!
Dajem życie w miłości
aby wyszło na jaśnię,
ale oto — śmierć czeka!
Życie k'pełni zrodzone
śmierć przełamie na dwoje:
tutaj ciemność i boje,
a tam kędyś — koronę
po zgwałceniu człowieka!

Chór mężczyzn.

Obudzone jest prawo
i podniosła się skarga,
a tej — ciszy nie będzie!
Od trzew waszych ból krwawo

nasze trzewia zatarga,
nasze wnętrze obsiędzie!
Bowiem z żebra Adama
uczyniona rodząca;
jedna boleść nas strąca,
jedna była nam plama!

Piotr apostoł.

Dziatki! nie gromię, bo ta żałość wasza
smętkiem napełnia me pasterskie serce,
i nad duszami, które są w rozterce
wyciągam dłonie, kładąc krzyż Mesyasza.

Urbanus..

Dusza we mnie stężała,
upadła wierna dusza! —
Nienawidziłem ciała,
a owóż się to wzrusza...
nie wiem, czy ciało, czyli dziw nieznany?
samego siebie rozeznać już nie zdolę,
krwawo się oczom zabarwiają ściany,
krwawe są widma w niepojętem kole...

Wszystek chór wkoło.

Widzim, ojcze, potępienie,
a nie możem! — krew nas woła,
krzyk żywota w zgubę żenie,
klątwa wraca nam do czoła!
Straszna tęskność w przepaść miota
o to życie w jedni dane,
krzywdą śmierci niezłamane,
jeden w spełni ciąg żywota!

Piotr apostoł.

Pomiędzy wami jako matka chodzę,
żałośnie serce moje k'panu krzyczy,
krzyżem was żegnam, rozpłakane w trwodze,
ręką dotykam zroszonych łzą obliczy.

Dziateczki! zimny macie pot na czole,
krzyżem żegnając, nad wami się mozolę...

Głosy zmieszane.

Pali nas, ojcze, święty krzyż i piecze!

. . . . . .

Piotr apostoł.

Stroskany chodzę, bym ujrzał, jak uleczę
was, synaczkowie, z tej okrutnej doli.

Głosy różne.

Boli!
Tak boli!
Kąsaniem śmierci boli!

Piotr apostoł.

Panie! wiesz dobrze: z dawnych lat i młody,
opasowałem się, władając ciałem,
abym wżdy chadzał podług własnej zgody.
Lecz dziś, gdym strudzon jest i zestarzałem,
wyciągnę ręce, a inny mię opasze...
biorąc mię, inny, gdzie nie chcę, poprowadzi...

. . . . . .

Sługam jest, który weselną ma nadzieję;
idę! — w pokorze dla Ciebie krew przeleję,
aleś mię stawił na czele swej czeladzi,
rozkazowałeś przyjść w dziedzictwo nasze.

. . . . . .

Jakoś obiecał nam pokój swój do końca,
prosi cię sługa, a sercem się nie trwoży;
Twojemi słowy do Ciebie, synu Boży,
mówię... i dusza ukrzepia się wierząca, —
za one proszę, aż boleść się ukoi;
zbaw, któreś dał mi, boć są, Panie, Twoi!

. . . . . .

Wziąłeś mię nizko, od padołu ziemi,
a postawiłeś mię na stolcu świata! —

Otom ubogi starzec i obcemi
wiedzion rękami pod zelżywość kata,
otom jest prosty rybak i ubogi,
a przecież moje utwierdziłeś nogi,
że ponad chwałę wielkich — większy stoję
i mam — na czole świata — miejsce Twoje!
(Wznosi ręce i oczy).
Więc, pasterz Twój,
baranki pasę, Chryste;
w miłości wiodę
przez trud i znój —
na łąki te wieczyste
na święte niwy nieuwiędłych traw...
i duszę dam za trzodę,
lecz — Boże, zbaw!

. . . . . .

SCENA XIII.

(Słychać brzęk szczękających łańcuchów; u wejścia za rozchyloną zasłoną migocą hełmy żołnierzy. Po chwili wwiedziony przez nie, a z ciężkim brzękiem wlokących się kajdan, wstępuje Paweł apostoł.

Brzydki jest i wyniszczon bardzo na ciele i na obliczu; gorejący w oczach i dziwny nienazwaną słowem potęgą. Wielkie, żelazne okowy przy każdem ruszeniu głuchy dźwięk za nim czynią).

Paweł (objął oczyma tłum w płaczu zgięty, a spojrzawszy, mówi:)
Kto będzie skarżył na wybrane Boże
i kto potępi one do zniszczenia?
Skarżący jeden — Bóg!

Urbanus (z twarzą w dłoniach ukrytą).
Zgubionym blizkość jest ogniste morze,
piekielne widmo już wkrąg się rozpłomienia,
piekielnych znamię dróg!

Chór (wybucha krzykiem szalejącej rozpaczy).
Byliśmy nędzni długo,
trawieni częstą zmorą,

szkarłatnych przeczuć smugą,
iż w męce ciała zgorą;
nękani częściej trwogą,
że dusze Bożej chwale
spodobać się nie mogą!
A wokrąg nas zuchwale
gorszący bezwstyd świata,
a wewnątrz serc — rozdarcie!
Zwiane jest światło i miłość precz odlata!
a szatan ostał, a trapi nas zażarcie!

Paweł.

Mężowie bracia, nie ujmę, a przyłożę.
K'onej mnogości jeszcze-ć ból przydaję...
Ja służę Panu z wielą łez w pokorze
i z pokus mocą, która wżdy nastaje...

. . . . . .

Otom w niespaniu, oraz często w głodzie,
w lęku od ludu mego i złej braci...
I stróż mi przydan w ciemnej jest postaci,
anioł szatanów, ten me ciało bodzie,
wżdy policzkując, by z objawień Pana
zbytnia wyniosłość mi nie była dana.

. . . . . .

A naostatek wciąż się trapię cały
i wielki smętek noszę bez wesela,
jako żądałem być wytrącon z chwały
za bracią moją... oną z Izraela.
I ustawicznie serce me boleje,
przez one ślepce mając ciężkie rany,
i tym łańcuchem jestem powiązany
za Izraelską braci mych nadzieję.

. . . . . .

Chór.

Przykłada jęk zaiste,
świadczący głos katuszy!

Wszedł bólem w to wieczyste
płakanie ludzkiej duszy,
i rośnie oto z nami,
krwawemi rośnie łzami,
aż kędyś — w słońca kres,
uczynim — morze łez!

Paweł.

Dźwigający okowy,
pomnożyć chcę grzechu brzemię!
Przynoszę grzech wam nie nowy.
Oto klękam na ziemię,
dźwiękły po mnie kajdany.
Mówię.
Panie! grzech Pawłów Tobie przedsię znany;
żem był bluźnierca ongi, wielce łżywy,
i aż do śmierci Twoją Pańską drogę
prześladowałem, siejąc groźby śmiele.
Zboże-m Ci niszczył z onej świętej niwy,
i ledwie na to dzisiaj wspomnieć mogę,
bijałem wierne, włócząc po kościele...

. . . . . .

A przecież Twoje miłosierdzie biorę,
lekarzu wszystkiej ziemi, —
jako przyszedłeś zbawiać grzechem chore,
a jam jest grzesznik pierwszy między złemi...

Feba.

Oczy podnoszę oślepione łzawo;
tenże-li Paweł, który Bożą sprawą
ongi me serce ochrzcił słów nowiną?

Pudencya.

Ten słowosiewca, który mąż nad męże?

Flegontes.

Patrz: łzy nam zbytnio w mętnej fali płyną,
przeto nie rychło cię nasz wzrok dosięże;

Rufes.

Lecz ja w miłości znam —

Persyda.

I jam poznała.

Paweł.

Otom przed wami znowu, — a ten sam,
z drżącą bojaźnią ułomnego ciała...
Otom jest, którym pisał do was listy.
Mówią o listach, iż pełne są potęgi,
że przez nie zda się znak być oczywisty
i wielka moc Pawłowa,...
ale obecność mdlejsza niźli księgi,
słaba obecność i wzgardzona mowa...

. . . . . .

Przetoż się zmagam w utrapionem łonie
z wielą łez, z krzykiem wołającej troski,
abym powiadał do was wyrok Boski,
ściągam w łańcuchy szczękające dłonie...

. . . . . .

Nigdym, o bracia, nie omieszkał chwili;
ale wżdy ucząc w onem wiekuistem
rzeczy pojęciu, aż wy się uczynili
pisaniem mojem i żyjącym listem!...

. . . . . .

Eubulus.

Wymazane pisanie,
strzępami zdarte z serca,
bluzganiem krwi wyciekło!

Urbanus.

Ani nas poznasz, ni będzie znów zaranie!
my lud — ból przeniewierca
płyniemy w piekło!

Chór.

Wstał wiew!...
Byłeś nad nami mocen w każdej sprawie:

w rozterce bratniej,
w szatańskiej matni,
w prośbie o sąd!
Lecz dzisiaj zew
przez tajny ląd
i tajne morze...
Więc kłam odrzucim, który mówił: zbawię!...
Z naszych uczuć przepaści,
z nieświadomej głębiny,
Niesłyszalne — oddycha!
W Niewidzialnem są czyny!
Wola w przyszłość namaści,
w Niepojętość rozgorze!
Nie będziem pić z kielicha!...

. . . . . .

(Niewidzialna chmura przechodzi kędyś w górze. — Słońce ponad «velarium» przygasa.— Czerwony mrok napełnia powietrze. — Po załamach ścian kładą się gęste, ciemno-szkarłatne cienie.

W onym cieniu cała przestrzeń zaokrąglona wydaje się przez chwilę podobna do wnętrza olbrzymiej, krwią nalanej czary).

(Chwila ciszy).

. . . . . .

Paweł.

Zali ty, Cepho, — słyszysz w sercu swojem?

Piotr apostoł.

Kur zapiał.

(znów chwila ciszy).

Chór (porywa się w bólu).

Niemocni!
którzy wywlekli, którzy obudzili!
Z potęgi mroku wzięci my, lecz po co?
błysk jednej chwili!
Oto was słowa druzgocą:
niemocni!
Na rękach waszych byli my wzniesieni,
płonący chwilę, zgasamy znów do cieni!

. . . . . .

Piotr apostoł.

Widzę: noc jest sinawa;
połysk ogniska, sługi ręce grzeją...
Strasznie przed oczy mi ta chwila stawa.
Pytali! w trzykroć zaparłem się koleją...

. . . . . .

A w tem gdzieś górne rozwarły się wierzeje;
Pan spojrzał na mnie. — Pan świadek mój.
Kur pieje.

. . . . . .

Paweł.

Bacz! ci odchodzą, które my związani,
oblubienicą poślubić Chrystusowi.
Bacz! zew jest na nie! idzie krzyk z otchłani.
Zbawmyż!... Nie zbawim, gdy je szatan łowi?...

Chór.

Na białych szatach ponieście
przed Boży tron!
w słonecznem podając mieście
świadczenie od ziemskich stron:
jako tu życie drży
i kona! —
A my się kładziemy
u waszych stóp,
znak odtąd niemy
stygnący trup!
otężała cierpień zasłona
kamienne łzy!

Piotr apostoł.

Zaliż będę opoką
na której łzy kamienieją?...
Przecz ustawiłeś wysoko
na szczycie?...
bym nie był światu nadzieją,
a Tobie — jak świata czoło,

błogosławione sowicie,
schylone w miłosnej wierze?...
O, Panie! —
raną — widnieję za te wszystkie wkoło,
a stare serce lęk ogromny bierze,
pochyla łkanie...

Paweł.

Cepho! szukając, które są szafarze
wierne, a biada, jeśli nie najdzione!
Czas jest! godzina, a tę Pan okaże,
bliższa w szafunku!... I zwieje Pan zasłonę!
Biada nam! straszna głębokość nas przyciska
powrócić one zbłąkane skry w ogniska!

Piotr.

Pan widzi mię; — ja stoję...
Pochylon k'Niemu. — Wiem: baranki moje
poczną odchodzić, jak i ja w dzień męki.
Wtóry raz wielką pokusą się zasmęcę
na przelęknione od wszechmocnej Ręki
umiłowane trzody me dziecięce,
gdy już nie bojaźń jednej Piotra głowy,
lecz chwiać się będzie wszystek Dom Piotrowy!
. . . . . .
I wiem: to chwianie kolebie się przez wieki.
Ale ty patrzysz na mnie; — czas daleki...
Więc oto stoję, jako skała w morzu,
nieporuszona w tych wieków — burz odmęcie;
na fal rozdrożu i na lat rozdrożu
świadczący głaz Twój, ustawiony święcie.
Nad wszystkie czasy i wszechbólów znoje,
Ty widzisz, Panie, — ja przed Tobą stoję!
. . . . . .
A tobie, jeśli dano być z płomienia
językiem Ducha, który żywot wskrzesza, —
czyń; w mroku czasów oto głodna rzesza,
gdy Duch wieczyście Stare w Nowe zmienia.

Paweł.

Anim ja kiedy wziął swą moc od ludzi,
nie brałem z wielu czytanych ksiąg krynicy;
Bóg jest, co we mnie Objawienie budzi,
Chrystus mi słońce zagasił we źrenicy,
potem rozpalił, — lecz z tajemnic rodu,
gdy mówił do mnie, zronionego płodu...
. . . . . .
Więc ja, najmniejszy, stałem się w olbrzyma,
i ja, niegodny, mam nad insze pracę,
czyniąc najwięcej! bowiem gdzie oczyma
sięgnę, i dalej, tam, — gdzie wzrok utracę,
wszystek ogromny świat pogański czeka,
bym, Boga głosząc, obudził w nim — człowieka!

Pudencya.

Jakoż obudzisz nas, umarłe, trupie?

Onezyfor.

Kłam jest, co mówi: pobite... gdzieś odkupię!

Eubulus.

Zali nam duszę zaszczepisz znów do ciała?

Nereus.

Tę odłamaną? bolesną tę? ofiarną?

Urbanus.

Nie zwódź! przegroda po wiek się dokonała!

Lucius.

Rozdział, i smęt jest, i niezgody ziarno!

Paweł.

Nie wiecież, co jest? a kres wam pojednanie!
Maluczko jeszcze i rozdartych dwoje
stworzy się w jedno: człowiek nowy wstanie. —
. . . . . .

Nereus.

Kędyż to będzie? bo się wierzyć boję!

Rufes.

Nie widzim czasu! kędyż to być może?

Herodyon.

Nie widzisz! gdzie jest? żaden znak nie woła!

Eubulus.

Nie wierzym! ciemność kołace nam do czoła.

Tryfena.

Rabbi! przed tobą duszę znów położę!
Mów! jeślić prawda,... wszak dziatki me dożyją?
Mów! dla nich czas ten? i chwila ta liliją
rozkwitnie białą czystym dziatkom moim?

Tryfosa.

Moje pomarły!... Umęczyli kaci...
Ale ty wskrzesisz wonczas, na dzień chwały?
Ty wskrzesisz, Rabbi? dzień za noc zapłaci...
Mów! dla nich świt się rozweseli cały?...

. . . . . .

Paweł.

Nie w mowie będę, ale dzisiaj — w Mocy!
przeto nie troskę na wasz krzyk sierocy,
ani też ręce wam na czoła blade,
jeno — tę wielką do was miłość kładę.

Chór.

Nie pragniem czuć! —
Smętnych nie nękaj! trupie do snu wróć!

Paweł.

Wiedzcież, najmilsi: choćbym imał góry
wiarą, a w mękach był jak zbawca wtóry,
i wydał ciało, mówiąc: za was gorze,
a nie miłował, — wżdy nic mi — nie pomoże!

. . . . . .

Lecz Bóg to widzi, jak miłuję wiele —
gorącem ognia i przepaścią łona; —

przeto gdy kładę wam ten żar na czele,
ufam: wnet skroniom rozpali się korona;
a gdy, aż do stóp czynię z serca chwałę,
ufam: rozkwitną w śnieżyste skrzydła białe.

. . . . . .

Eubulus.

Dokąd porywasz mię przeciwko woli?

Urbanus.

Przecz taką dziwną potrącasz mię potęgą?

Nereus.

Zda się, jakoby jestem w sobie księgą
tajnie otwartą... i karta się poruszą...
Lęk, — wzrok oniemiał; wzrok się cofnął;... boli...
oczekująca we mnie skrzepła dusza...

Tryfena.

W jakąż tajemnic przyoblokłeś szatę?

Feba.

Niepokój trzewia rozerwał i szeleści.

Paweł.

Koronne i skrzydlate
za sobą wiodę te syny mej boleści!
Ażbym uczynił onym wiedzy chrzest:
jako bądź żywot, bądź też zgon człowieczy;
bądź teraźniejszość, bądź przyszłości rzeczy;
wszystko stworzone, — oto wasze jest!

. . . . . .

Feba.

Na skroniach moich wieniec z gwiazd się pali.

Tryfena.

Czoło me dziwne objęły wkrąg płomienie.

Linus.

Stopom szlak słońca ukazany w dali.
Idziem; — wiew niesie, Duch proroctwa żenie.

. . . . . .

Eubulus.

Moje oczy — błyskawice...

Nereus.

Przecinam czas, i możność, i skończoność świata.

Herodion.

Oczyma przestrzeń nasycę.

Eubulus.

Dalej widzę, niż myśl jest... i drżę!—a wzrok dolata!

Chór.

Ogromną widzim, jasną ponad jasność Zorzę!

. . . . . .

Paweł.

Duch jest! — ten mocen dojrzeć głębokości Boże.

. . . . . .

Urbanus.

Oto falami świateł przyszłe wieki płyną.

Herodyon.

Bogactwa wieków przyszłych objawione chwałą.

Onezyfor.

Liczenie lat umilkło i już się dokonało.

Eubulus.

Pojęta Wieczność w sobie, a Spełnia nam dziedziną.

Feba.

Wybuchło Słońce słońca!

Persyda.

Rozlewa się w bezkresy szczęśliwość wciąż rodząca.

Urbanus.

Śród oceanów blasku, jak korona głowy,
wynurza się przed nami Okrąg Ziemi Nowy.

. . . . . .

(Przez chwilę jedną całą przestrzeń zapełnia światłość biaława, jakoby odblask przedziwnie dalekiego słońca.
Twarze i postacie mówiących zdają się przeświecać).

Rufes.

Co dziś rozdarte, — zgojone.

Eubulus.

Co jest po części, — zniszczało.

Nereus.

W Dzień się przelewa zorza.

Lucius.

Odkupion Duch i Ciało.

Linus.

Zupełność Boża!

. . . . . .

Eubulus.

Dziecięciem byłem, widzący przez zasłonę.

Herodyon.

Jeno zadatek na dziedzictwo miałem.

Urbanus.

Lecz wonczas, w Żywot przemieniony z ciałem,
poznam, mąż w Prawdzie, jakom jest poznany.

Chór.

Dziś we zwierciadle nam Twój obraz dany,
lecz wonczas jako?... Boże! Boże nasz!...

Paweł.

A wonczas — twarzą w twarz!

. . . . . .

(Cisza).

(Chór się osuwa twarzą ku ziemi).

. . . . . .

(Po chwili poczynają się zwolna podnosić).

(Odblask odpłynął, mrok jest białawy, twarze gasną).

Chór.

Czego oko znać nie może,
ni słuch ziemski, ni człowiecze
serce wrychle objąć zdoła;
o co gorzko w długie wieki,

przez ciąg tęskny, ciąg daleki,
świat zawoła;
. . . . . .
Ja — sercem śmiałem
przez Łaski pieczę
otwarcie Boże,
widziałem!
. . . . . .

Rea-Maximia.

Któryś to sprawił — i pokazał oną
bezbrzeżną chwałę i niewysłowioną;
któryś tak wielki w miłosierdziu ludzi,
iż żar miłości onej cud obudzi...
teraz potępisz moją głowę smętną!...
. . . . . .
Za krzyk i zew,
bijącej żądzy tętno,
szyderstwo moich słów,
płakanie moich trzew;
za obryzganą w serdecznej krwie niewiarę,
gdy ufać chce
i bluźni znów;
za wszystkie nędze w odnowieniu stare,
wieczyście złe;
opuścisz klątwę na me jasne czoło!
. . . . . .
Kaję się tobie jako łan zbożowy,
przedziwny łan, —
Gdy gromić zejdziesz, oto spojrzysz wkoło
i żal ci dan!
. . . . . .
Bowiem nie snopki złote,
nie błonie to, co się kwieci;
uczynię inną robotę
usypię włosy swych dzieci,
umaję łąkę w one kwietne głowy.
. . . . . .

Głos dzieci.

Matko! matko! zaliż nami
płakać będziesz, jako łzami?

Rea-Maximia.

A naostatek, gdy ci tak poświęcę
jutro żywota przez te łzy dziecięce,
sama płakaniem żałości się pokłonię...

. . . . . .

Cyt! zcichło pole!
świecą dumaniem wód przejrzystych tonie,
żal dziwem szept oniemia...

. . . . . .

Grzech się odzywa,
Mój grzech i moją tu skarżący wolę:
iż — przedsię być szczęśliwa
żądała Matka — Ziemia!

. . . . . .

Paweł apostoł.

Niewiasto! nie jest ci ta żądza winą!
Nie wiesz: — ja wiem.
Aż dotąd smętne dni stworzeniu płyną
w krzywdzie i złem,
aż dotąd wszystko stworzenie wciąż boleje;
lecz słysz! nie jeden odzierżył on Nadzieję
ród synów ludzki, a już dzisiaj, Boży.
Wszystko stworzone kędyś świt otworzy,
gdzie kształt się zmienia.
I ten żywiący wszelki płacz nie mały
wywiedzie od skażenia
na Wolność Chwały!

. . . . . .

Wstań! bije w tobie serce wiecznej woli!

. . . . . .

Ani znasz, kędyś jest z kolebki wzięta,
i kędy jutrznia, która cię okoli,

błogosławiona, a nawpół też — przeklęta!
Nie wiesz, że różnym dał Pan stronom świata
przeróżne dary na Królestwa przyjście:
z rozkwitłych kwiatów stubarwna woń ulata;
drży w tysiąc szmerów na wschód słońca liście.
Wstań! ręce złożę
Na twoje smętne, prześwietlone oczy.
I oto-ć nie zubożę
choć, zda się, chwilę krótką, mrok otoczy.
Wstań! dotknę serca.
I błogosławię mu: niech głośno bije!
Nie będzie tętno Panu serc bluźnierca,
ani tak nabrzmi kiedy serce czyje...

. . . . . .

A teraz z ziemi ku miłości biorę
twoje złociste, pacholęce syny,
podnoszę.
Oto-ć są, które będą dziwnie skore,
zjawione zorze wnet zaklinać w czyny
i niepojęte innym snuć rozkosze.

. . . . . .

Po tych głowach dłonie moje
sieją jakby tajne święto,
brzask od rana:
jakby chwiał się włos u czoła,
postrzyżony spadał złoty.
Wiem! włożone nieukoję;
wstanie wielki ród Tęsknoty,
syny synów, tych nie zdoła
nic ukoić, gdy wskazana
światłość będzie w dal odjętą.
I to im znak jest, a wieczyste chcenie:
spocząć nie zdolą, by i rozgorzało
kędy wzwyż słońce!... One tęskność żenie,
ażby się Światło wszelkie Ciałem stało!

. . . . . .

SCENA XIV.

(Tumult nagły i gwar na zewnątrz, szczękanie tarcz).

Processus.

Panie! czas pono, lecz pozwól, a obronię!

Martynianus.

Daj się osłonić, ą klnę się, że dostoję!

Processus.

Jeślić ukrzywdzą, to po naszym zgonie!

(Żołnierze wchodzą gromadnie, otaczają Piotra i Pawła, aby je uprowadzić... Słychać płacz wiernych: Jezu! Jezu!)

Piotr apostoł.

Dziateczki, żywcie! A mnie przedsię moje
odejście słodkie.

Paweł.

Idąc, rzekę śmiele:
wżdym się potykał i sprawował boje
dobre, a przeto otworzysz mi Wesele...
Iżem dokonał Ci zawodu, Chryste,
ujrzę Twe ognie płonące i wieczyste.

. . . . . .

(Wśród zamieszania nad tłumem widnieją błogosławiące dłonie dwu Apostołów. Gromada żołnierzy w zwartem półkolu wnet odchodzi).

Feba.

Dokąd je wiodą?

Pudencya.

Zali na śmierć już? i na krzyż? na męki?

Tryfena.

Pod topór kata? — A cóż będzie z trzodą
osierociałą bez Pasterskiej Ręki?

(Głośny płacz wkoło).

Nereus.

Jeszcze je widać, jeszcze widać w dali!

Rufes.

Jeszcze nam z oczu nie są całkiem wzięci.

Tryfosa.

Zniknęli oczom. Wżdy niema, niema, niema.

Onezyfor.

A któż nam teraz ognie łask poświęci?

Eubulus.

Zgaśli! Naprożno z wielą łez obiema
je źrenicami ścigam tak uparcie.

Lucius.

Pusto! i tęskno! i sercom jest rozdarcie!

. . . . . .

Rea-Maximia.

Po białej idą drodze.

Persyda.

Mów! gdzież je twoje odnalazły oczy?

Pudencya.

Pokaż! bacz, jako tu bolejem srodze.

Rea-Maximia.

Po gościńcu białym.
A wokół się roztoczy
kłosów szum i śpiewanie ranne świętej ziemi...

Piastunka.

Pani! oczyma spojrzyj przedsię swemi! —
Opadają powieki
O pani! pani! pani!

Rea-Maximia.

Wżdy chwila nie zuboży!
A biorę oto w dani
pod zamkniętą powieką rozgorzałość zorzy.

. . . . . .

Widzę idące; —
w dalekie idą-ć lata i na wschód pod słońce.
A gościniec ów bieży
po pól złotych rubieży,
Po krawędzi falistej zbóż szumiących pieśni.

A potem idą miedzą,
gdzie ciche grusze siedzą,
A potem idą w las.
Świt! zbożny drzewom czas;
przedziera promień te głębie puszcz omszone...
Z wiekowej cisze
bór rozkołysze
swych głów wierzchołki i swych dum koronę...

. . . . . .

I wyszli, gdzie brzeg jeziora.
Nie szemrze woda do buntu fal nieskora,
Otwartą głębią ku niebiosom leży.
Pod wonną lipą — tam chata,
w wieńcu jaskółek pobożna i skrzydlata,
w pieczę oddana świegotów i pacierzy.

. . . . . .

I widzę: wokół pasieka,
pszczółki w powietrzu, złote pszczelne roje.
I słyszę: bocian klekoce.
Długie przepłyną, mnogie dni i noce
ku onej chatce,... a dziś serce moje
zgadło: że kędyś Dola cudu czeka.

. . . . . .

Piastunka.

Racz wejrzeć, proszę! otom ja znękana
niepojęciem słów dziwnych i żałosną trwogą,
dziatki twe ci opieram o biodra i kolana,
dziatek głowy ci tulę, jako sięgnąć mogę...
A gdy cię tak ogarniam wszystką krasą dzieci,
niechże Cię, pani, ze snu jaki bóg oświeci!

Rea-Maximia.

Syny moje miłośne!
i te, i tamtę, a patrzaj, — jako wiele!
Przedziwną urodzę wiosnę,
przedziwne lato się ściele.

. . . . . .

Patrz! znalazły syny moje
gniazdo orłów. Białe pierze.
Każdy skrzydła na się bierze,
szumiące skrzydła na stalową zbroję...

. . . . . .

Bój! — Niejeden! szereg cały...
Szumią chrzęstem piór rumaki,
lecą w ogniu półksiężyce...
Patrzę, patrzę, wzrok nasycę:
dziw rosnący, niejednaki,
coraz wyższy pęd tej chwały!
(mówi ciszej, jakoby upojona).
Zjawienie skrzydlate rycerzy,
płomień wzwyż buchać pragnący.
tej mojej dziatwy słonecznej...
Kraj bardzo polny w świtaniu dum swych leży,
kwietny, jarzący,
miodny i mleczny.

Jadwiga Marcinowska.

KONIEC.

Linie Hofera.

Sen mój kogoś skrzywdził.

Drzewa włoskich cmentarzy, kolczugi liściaste — to nie *ona*, nie *ona*. To — początek wyzwolenia i koniec udręki. Erotyzm senny wciągnął w swoją grę drugą kobietę, do której nic prócz podziwu — dotąd przynajmniej — nie czuję. Snadź kontury *tamtej* już się w bezwiednych warstwach duszy — zatarły, skoro śnię o innej. Jest to szczególny balsam — czuć w swej naturze, że się odwraca, odchyla od dręczącego magnesu, i oczy tęsknoty zwraca w inną stronę, kędy inne majaki płoną.

Już *ona* nie panuje wszechwładnie w instynktach moich. Dzieli magiczną władzę z inną. Ach, nawet zawiele tego podziału! Myśl rozjątrza się nowem marzeniem, zarodkiem, przeczuciem nowych, pewnie nie mniej obłędnych, pożądań.

Mam przytem wrażenie, jakobym wyciągał rękę po cudzą własność. Do tej innej ktoś inny ma wyłączne prawo.

Ażeby rozproszyć do reszty uroki niezdrowe — a może też i żądny sprawdzenia ich — postanawiam iść do niej — do Wandy. Dosyć, abym zobaczył ją na jawie, jej egzaltowane, jasne oczy i posłyszał jej przedziwnie czystą mowę, prostą i szlachetną i nigdy niczem niepobrukaną, ani niedołężnym kobiecym zwrotem, ani banalnością, — a wnet uczuwam w sobie milczący zwykle zdrój świętości.

Tu szedłem zazwyczaj jak na odpoczynek i ukołysanie ducha. Tu szedłem jak na nieziemską, ale i nie zbyt niebiańską muzykę.

Tak myślałem, wchodząc na górę, — może właśnie nastrojony przez melodyę, którą ktoś w najbliższem sąsiedztwie Wandy grał na skrzypcach. Przystaję i słucham. Widzenie Waltera, czysta entuzyastyczna dusza, kołująca nad ziemią irysowymi wieńcami zachwytu i szczęścia. A zarazem — melodya nieszczęsna, do której rozgadany nad miarę geniusz w przystępie złego natchnienia dorobił słowa, a przytem słowa niemocne, bezskrzydłe, uczone, książkowe.

Gra urwała się.

Już mię ogarnia uczucie pozaludzkiej równości usposobienia — jakiegoś szlachetnego rytmu, który nie dopuszcza plebejskich paroksyzmów ani konwulsyi.

Wanda leży na sofce, wpatrzona w sufit, i ćmi papierosa, albo raczej łudzi się sama, że ćmi; należy to do jej ambicyi cygańskich i podrywów męzkości. Palić jednak nie umie, co kilka minut zaczyna świeżego, a po sekundzie zapomina o nim.

— Jakiem prawem śniła mi się pani?—mówię półżartem, jednym rzutem oka ogarnąwszy scenę.

Oczywiście, usposobiona krotochwilnie — nie zmienia pozycyi i odpowiada mi tonem raźnym i przytomnym, jakbym tu był conajmniej od godziny i od godziny z nią rozmawiał.

Nagłe wejście moje nie tknęło jej, nie musnęło nawet.

— A jak się panu śniłam?

— Takie pytanie—niebezpieczne, ryzykowne w ustach panny Wandy.

Poruszyła się zlekka i — zaszeleściła jedwabiami.

— Panna Wanda w jedwabiach?!

Teraz dopiero spostrzegam w niej zmianę. Ma twarz bardziej ożywioną, prawie pałającą i w ruchach pewną swobodę i zdeterminowanie. Chwila — zdumiewam się, że i fizyognomia pokoju zmieniona. Rytm urządzenia zerwany. Dokoła biurka porozrzucane kwiaty, jakby je ktoś zmiął w palcach, lub possał i pogryzł. Na pianinie stosy nut w nieładzie. Szafa mniej szczelnie, niż zwykle, zamknięta ukazuje jakieś biele, szkarłaty i błękity; sprzęty kapryśniej porożstawiane. Jakieś nagłe postanowienie lub zmiana ożywiło ciche dotąd przedmioty. Jakby tu mieszkała nie Wanda—Westalka, ale kobieta gwałtowna, a przynajmniej taka, co niedawno temu bój z sobą stoczyła!

— Czy pani się wybiera w drogę?

— A tak, w drogę — nowego żywota.

Przytrzymała suknię u dołu, ażeby przypadkiem przy podnoszeniu

się nie pokazać bucików o pół cala więcej, — i stanęła wyprostowana i milcząca.

Milczeliśmy oboje, bo skrzypce grały znowu — anim spostrzegł, kiedy zaczęły — i tym razem z wprawą i widocznym rozmachem artysty; widoczna, że przedtem czekano na akompaniatora, a teraz oto—muzyka płynie potokiem. Cieniutki mur zlekka jeno tłumi oba głosy. Z zaczajonego skupienia pierwszych, półsennych frazesów szły coraz mocniej i wezbraniej. Słup uniesienia rósł, piętrzył się aż pod słońce, a chwilami załamywał się i opadał tęczową, kryształową fontanną. Ci co grali, rozumieli dzieło i napawali się szlachetną słodyczą, beznamiętną, bezosobową, do której — mam wiekuisty żal, że taka beznamiętna i bezosobowa...

Patrzyłem na Wandę, zasłuchaną, i na tle tej muzyki zrozumiałem ją lepiej. To nie zadowolona z siebie jutrznia seledynowa, bez purpury, ognia i krwi. To prędzej wschód krwawy, który boi się własnej czerwieni i przesłonił się chmurami...

Była piękniejsza, niż zwykle.

W czarnej jedwabnej bluzce, w czarnej sukni, cieńsza jeszcze w pasie i kształtniejsza. Przepysznie modelowany biust, o liniach bocznych lekko przyokrąglonych, drga z pod materyi dyskretną, świeżą, toczoną falą życia. Dech światowy, niezwykły, w nią wstąpił, śmiała i wyzywająca elegancya ją obtoczyła.

Trzeźwość moja zachwiała się na chwilę. To nie ta sama kobieta! I nie jest przy niej znowu tak bezpiecznie, jak mi się zdawało.

Jeszcze nigdy mi się tak smukłą i słuszną nie wydała. A jej bujne kasztanowate włosy — ogromna, ciężka masa o ciemnych rudawych połyskach, przysłaniająca jasne duże czoło!... Dlaczegom dotąd nie malował jej?...

— Niech mi pani popozuje kilka razy — bajeczną rzecz zrobię. Mirski się nie będzie gniewał. Ale — z obnażonemi ramionami — muszą być wspaniałe, zwłaszcza gdy panią udrapuję czarnym aksamitem.

Nie pierwszy to raz drażniłem ją.

Wiedziałem, że odmówi. Nawet na balach występowała zapięta pod szyję.

— Ażeby pani nie kompromitować, rysy twarzy zmienię. Oczy będą czarne zamiast niebiesko-stalowych, a buziak, śmiesznie mały buziak pani, wiśniowy symbol, że pani nigdy całą, prawdziwą kobietą nie będzie, jeno dziewicą, nazawsze erotycznie niedorozwiniętą i romantycznie kaleką — powiększę w dwójnasób.

— Od mojego buziaka panu wara — a ramiona pozwalam malować.

Udałem, że zataczam się z przerażenia.

Uśmiechnęła się. Przy takim uśmiechu czoło zachowywało zwykle swoją powagę, koniuszczek nosa zlekka spozierał ku ustom, a usta rozchylały się z przedziwną słodyczą i momentalnem rozbawieniem. Ukryta szczerość i kędyś daleko na dno duszy zepchnięta wesołość, a nawet trzpiotowatość — odrazu zjawiały się na wierzchu w chwilach takiego uśmiechu. Potem podłechtywała się już sama do śmiechu jakby z wewnątrz napływającą falą swobody, i była dziwnie wtedy różowa, świeża, promienna, a nawet głośna. Lecz było wtedy w oczach i spojrzeniu coś mistyfikującego, jakaś *za wielka czystość i jasność*, światłość demonstracyjna — czyniła raczej wrażenie maski myślowej, szczelnie i mądrze przykrywającej uczucia, a śród nich buntownicze szemrania namiętności.

— No, cóż się pan gapisz? — zaczepiła, spacerując po przekątni pokoju rezolutnie, jakgdyby dla dodania sobie pewności. Zgadzam się być przez pana pacykowaną.

— Z obnażonemi ramionami?

— A nawet z rozpuszczonymi warkoczami.

— Ależ ja uwiadomię cały naród malarski i rzeźbiarski, żeby przyszedł oglądać takie dziwo.

— Oho, nie waż się pan; ulotniłabym się w oka mgnieniu.

— A jak przywiążę panią warkoczami, to co pani zrobi? Założę je za szyję białemu satyrowi — będzie jeszcze większe — skandaliczne dziwowisko.

— Nędzny pochlebco! Przecież tu, w podłem waszem mieście, warkocze ścieniały mi o połowę. O, spójrz pan!

Wyjęła szpilki z głowy, i spadły dwa lśniące, błagające o pędzel, niezbyt co prawda grube, ale zawsze jeszcze imponujące warkocze, o przedziwnym miąższu, i długie niemal do ziemi samej.

— A wie pani, z czego pani tak włosy wychodzą? To bogini — Westa.

— A wiem, wiem dobrze bez pana.

— Pani, bo klęknę! światło rozumu dzisiaj na panią spadło. Tak mądrych słów jeszcze nie słyszałem z tych ust, komicznie drobnych ust, symbolu wiecznego, niedorozwiniętego erotycznie dziewictwa...

Wie pani, co powiem i co w tej chwili za odkrycie uczyniłem. Mirskiego od kilku tygodni nie widziałem, ale szyję bym dał za to, że ma zamiar puścić panią kantem.

Sponsowiała aż po delikatne konchy uszów, a potem zbladła, — tak zbladła i przezroczystą się stała, żem się przeląkł i pożałował na chwilę swych słów.

— Kto panu to powiedział?

— Pani sama...

Zrozumiała.

— Tylko, czy aby nie zapóźno peruginowska święta zawrócić chce z drogi, wiodącej do królestwa niebieskiego? Mirskiego już do cna miłość zżarła — jest za rycerski i za szlachetny, ażeby odegrać wobec pani rolę samca, — dziś już, kto wie, może zrezygnowany i zamknięty w swej muzyce.

Wie pani, muzyka to niebezpieczna rywalka, ona daje strasznie dużo, tak dużo, że wobec niej szarzeją nawet ramiona z żywego marmuru...

— Sztuka nie zastąpi miłości ani kobiety.

— Muzyka nie jest sztuką. Muzyka to szeroki odpływ dla egzaltacyi gejzerów, dla wszystkich wezbranych a zduszonych pragnień. Niech Mirski skomponuje muzycznie swój żal do pani, a niebawem będzie pocieszony. Będzie go wygrywał tak często i w tylu waryacyach, takie nieskończone konsekwencye nowymi pomysłami rodzić mu się będą, że pani zmaleje do znaczenia przelotnej i już przebrzmiałej może chwili. Gdy tamto, tamto — nieskończoność — wieczność.

Tamto — szerokie wzburzone, rozchłostane wichrem morze; — ambicya, żądza sławy, zaciętość — wątła łódka, która walczyć musi z huraganem i zapomnieć o wszystkiem, o wszystkiem, o wszystkiem, co było, co się kołatało, tam, na lądzie, na brzegu...

— Być może, ale muzyka nie zastąpi kobiety.

— Zastąpi całe haremy.

— To go odzyskam — będę inną.

— Hm, jeśli nie zapóźno. A jeśli zapóźno, to co będzie potem, bez niego? czy Wanda-westalka potrafi kochać jeszcze raz w życiu? — chyba w tem drugiem.

— Wiedział doskonale, że duszę oddałabym na jedno jego skinienie, ale nie mogłam oddać siebie... Do tej ofiary nie dojrzałam.

— Ofiary? Hm, rozumiem... szumne teorye niezależności w kole

inteligentów — a dusza skuta pancerzem, a na pancerzu jeszcze stalowa koszulka. Taką właśnie widziałem panią we śnie — mój sen jest nieomylny. Ofiary! Dziwi mię tylko, że moje linie Hofera nie ułożyły się w deseń ślubnego kobierca dla pani... Ale Mirski na nim stanąć nie powinien; lepiej niech straci panią i spokój życia — zamiast żeby go miał zyskać na łonie rodziny, na łonie — domyślam się zresztą — w głównej swej części bardzo ponętnem... To już lepiej, żeby został organistą przy jakim kościele filjalnym.

— Giano ma prawo bredzić, ale nie wolno mu obrażać mię, nie wolno być cynikiem.

— O, tym będę zawsze, do ostatniego tchnienia... Wspaniały z pani — snob wolności t. j. snob przez *b*.

Sprzeczaliśmy się jeszcze dość długo a potem wyszliśmy na spacer. We wspaniałym wielkim czarnym kapeluszu była nadzwyczajna. Z pod szerokiego ronda i woalki oczy świeciły czujnością i niepokojem, jakby z pieczarnego ukrycia.

Prawiłem jej komplementy — a ona, unikając mego wzroku rumieniła się, jakgdyby pierwszy raz w życiu usłyszała pochwałę. Patrzyłem na nią z ukosa — wyraz niepokoju na twarzy wzrastał, a kiedyśmy bezwiednie wyszli z zaułka na szeroką wielką ulicę, Wanda zaczęła się szybko przeistaczać.

Śmiałość jej i pewność siebie znikły do reszty. Zmalał i wdzięk. Szła — i żywo, bez przerwy, mówiła, ale teraz już zwrócona twarzą do mnie — najwidoczniej bała się spojrzeć na tłum, ażeby i przezeń nie być widzianą. Było to sztuczne interesowanie się moją osobą i strach przed gawiedzią, strach przed znajomymi. Ktoś się ukłonił — nie widziała, tylko rumiana wewnętrznem naprężeniem, z uśmiechem udanej swobody, wciąż mówiła.

Z początku irytowało mię to. Wkrótce jednak niepokój jej udzielił się i mnie. Raz po raz znane twarze. Oto paru urzędników z jakiegoś znajomego biura — hałaśliwe grupy młodzieży w kusych i obcisłych mundurach na modę pruskich lejtnantów; panny na wydaniu, delikatnie łypiące ślepkami, a za niemi okazałe macierze. A dalej już nie rozróż-

niam fizyognomii ani typów. Ścisk coraz większy. Suną tysiączne tłumy szerokim chodnikiem, tłoczą się niby to raźno, ale właściwie gnuśno, wzajem gapiąc się na siebie, to znów zuchwale obrzucając czelnemi spojrzeniami. Z kościołów płyną nowe fale i rozlewają się po cukierniach i salonach sztuk pięknych. (Ciarki mię przeszły, gdym pomyślał, że tam i moje obrazy wiszą, i kto na nie teraz patrzy!). Co chwila rozłączają mię z Wandą i giniemy w czarniawie — milczący i chmurni. W oknach cukierń wstrętne, prawie w szyby wlepione twarze złotych młodzików, reporterów, młodych lekarzy, adwokacików, pośredników miłości, protektorów corps de baletu, graczów wyścigowych. Wszystko to zuchwałe i dumne niedzielą; skromni kupcy i kanceliści, niewiasty pobożne — wszystko to teraz sami królowie i królowe ulicznego deptaku, władcy Niedzieli, w koronach bezmyślności. Chwilami błyska ku mnie jakaś twarz znajoma, którą w zwykłych wypadkach uważam za sympatyczną,—teraz jest to tylko czczy symbol, wyblichowany z wszelkich kolorów duszy i ciała...

Doznaję uczucia czysto fizycznej zawady; odechciewa mi się tłoku, tak jakby mi się odechciewało brnąć przez głęboki sypki piasek lub zaspy śnieżne.

Wanda, raczej wlokąca mnie i siebie, niż towarzyszka, szemrze.

Przeraźliwa, gnębiąca masa szczęścia i promiennej pychy—w obłokach kurzu, w aureoli mdłych perfum i dymu tytuniowego. Straszna potęga, czy inercya, mieszczańskiego tłumu, dziwnie jednolitego wyrazem groźby, tępoty i urągowiska dla każdego, kto w tej chwili myśli, czuje lub smuci się.

W końcu i ja cały spłowiałem od słońca i kurzu i od buchającego zewsząd waru nudy.

Skręciliśmy w bok i poszli jedną z przecznic ku Wiśle i dolnemi ulicami ku Łazienkom.

I tam już pełno, duszno, i dymno, i zabójczo. Wszystkie ławki zajęte, najodleglejsze aleje, zwykle samotne i puste, dzisiaj gwarne.

Przystanęliśmy i spojrzeliśmy sobie w oczy — ja zmęczony i ziewający, ona zgnębiona i prawie zrozpaczona.

— Co się z panią stało, Wando? — zapytuję.

— Widzi pan, to jeno smutne refleksye; co pan czuł tam, w mieście, to ja czuję zawsze, nawet gdy jestem w domu. Ach, to wieczne widmo ulicznego despotyzmu, okrucieństwa! Ja się go boję, boję się szajre ciżby upiorów! Jest między nami instynktowna snadź nienawiść, i nie

zniosłabym, żeby imię moje i błądzące widma moich uczuć dostały się w te tumany plotek, ciekawości i złości, zasnuwające świat.

Pochyliła głowę smutnie, jakby poddając się już teraz bezbronnie i bezobłudnie temu, co w duszy nazywała pewnie małodusznością.

— To kłamstwo, że z postępem wzrasta nasza odwaga! Więcej praw serca? Kłamstwo! Giano, trzeba być kobietą, żeby to rozumieć; wzrasta tłum wścibski, i nieczyste języki lepiej się organizują — ja się ich tak boję! Czem, doprawdy, śmierć, zaraza, wobec dotknięcia tego tłumu, jego strasznej paszczy!... Stawić mu czoło? — z przeczącą zadumą poruszyła głową — ach, nie mogę, nie mogę! To zadługo trwa. Przecie widzę, jak on umie śledzić, umie nawet zgadywać zawczasu, że oto będzie coś do wyśledzenia, że się szykuje dla niego żer, jak płazy wszystkie poruszają się w błocie, jak się błoto chwieje, przewala! Wówczas zdaje mi się, że cały świat jest jedną wielką kałużą bagna, z której wyzierają miliony szyderczych ócz i ohydnych rąk, wyciągniętych w stronę mojej miłości... Tak, jestem tchórzem, ale szczerym, uczciwym tchórzem...

W tej chwili nie mogłem szydzić z niej.

Niedziela toczyła swe olbrzymie i leniwe nurty w dal, ku jakiejś zamiejskiej wystawie.

Wzrok mój nie mógł przebić gęstwiny i zresztą nie próbował, lecz przed oczyma stawał natrętnie ogromny i odpychający obraz. Koryto tej ciężko płynącej rzeki, wązkie, czarne, wciśnięte między dwie wysokie opoki kamienic, rozszerza się hen, w perspektywie, do potwornych rozmiarów — potem rozdziela się, tworzy ogromne delty i wpada do nieprzebranego, strasznego morza ludzi... Niech napotka na swej drodze Duszę, — zdepce ją i stratuje. Tak rozhukane stado bawołów tratuje albo na rogach swych roznosi spotkanego człowieka.

A nad tem niebo, niby błękitne i pogodne — jednak brudne, wypłowiałe, jakby z przekwitłych leśnych, niepachnących fiołków. Rozpięta nad światem niebieska płachta, jak zbrukany płócienny dach nad jarmarczną budą pajaców...

Dopiero po długiem milczeniu zagadnąłem:

— A Mirski co na to?

— O, tego nie zrozumie nikt, nikt. Powiedziałam mu raz, choć

on nie błagał, nie prosił: Weź mię, weź! Ale wiedz, że na progu tego pokoju czeka na mnie śmierć. Nie kłamałam.

— A gdyby przyszedł, gdyby wrócił dzisiaj?... Gdyby odzyskał władzę pożerania pani oczami i pochłaniania tęsknotą — tak jak dawniej?...

Nie odpowiedziała nic. Chwilę popatrzyłem na nią. Usta miała spieczone i czerwieńsze, niż zwykle, krwawo i męcząco czerwone. Oczy już tylko szare, okolone szerokimi i również szarymi dołami, niby dna ogromne czarnych posępnych storczyków, bez blasku, ale z głębią bezdeni spoglądały tą szczególną trwożliwą, smutną szczerością, która płynie ze zrozumienia siebie, swojej bezmocy, z rezygnacyi.

Pożegnaliśmy się. Patrzyłem za nią: szła zwolna, pochylona, i postawa ta, dla mnie jedynie zrozumiała, wzbudzała we mnie bezmierną żałość. Gdzież się podziała jej brawura, szyk, pewność siebie? Ze wszystkiego została tylko czarna jedwabna bluzka, już znacznie gorzej układająca się na ramionach. Wanda-westalka była jak wyciągnięta z kosza, zmięta...

Jeszcze tak niedawno, parę godzin temu, brała nowe śluby z życiem,—teraz zapylona, jakby ze śladami zabłoconych stóp na plecach.

Hm, z taką „siłą“ dobrze, że Mirski nie zawarł przymierza. Byłaby wspaniała wygrana! Zamiast prawowitej żony, nad którą przekłada śmierć, miałby zapewnioną na wieczność płaczkę na pogrzebie cnoty. Boć ta śmierć, którą groziła, a która miała stać na progu, przybrałaby prawdopodobnie postać nie suchego kościotrupa na ostrą krótką chwilę, lecz płaczącej wierzby na zawsze...

I oto stoi nieruchoma, nie może ruszyć się ani wprawo ani wlewo, — zaczarowana, urzeczona przez węża — Świat. Na kochankę za mało odważna, na żonę — za szlachetna; na prozaiczne, niewolnicze Wczoraj — zbyt dumna, na szerokie, wolne Jutro — zbyt wylękła.

Lecz czemuż mię tak obchodzi los tych dwojga? Czuję żałobę za nich i może więcej, niż oni...

Zdaje mi się, że po za ich miłością niema już innej; że wszystkie inne poschły, powiędły, jak liście jesienne, że nastał dla dusz pragnących powszechny cmentarz, że ludzkość składać się będzie odtąd tylko ze stadeł i stad.

Noszę w sobie przeczucie, że ci się nie zejdą więcej. Widzę skon,

zanim się agonia zaczęła. Widzę, jak w nurtach życia coś tonie, coś wielkiego i bujnego tonie...

Nie jedno już tak pochłonęła czarna bezbrzeżna fala. Wierzę, że jestem szczególnem narzędziem w rękach przyrody. Oto kazała mi pilnować, żeby jedyne dusze, które znam, połączyły się największą tajemnicą świata. Ażeby złote szlachetne ziarna, ocalałe z prastarych nadnilowych plonów, znalezione w piramidzie obok złotych naszyjników królewskich i bransolet — nie poszły na marne. Ażeby nie starł ich w swych żarnach na plebejską mąkę młyn świata.

Ale młyn świata mocniejszy ode mnie, mocniejszy...

(d. c. n.) *Jan Zarycz.*

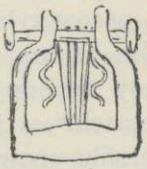

„Próchno" Wacława Berenta.

Kiedym przejeżdżał małym parowczykiem spacerowym przez ciche jezioro Czterech kantonów, towarzystwo obok mnie siedzące zwróciło moją uwagę na mały zameczek, istotnie jak gniazdko uwieszony na skale: „Schloss Hertenstein", a jeden z mężczyzn o bardzo interesującym, bo inteligentnym profilu opowiadał damom zresztą zgoła nie ciekawe szczegóły o posiadaczach zameczku, o dziwactwach starego hrabiego, o prusactwie młodego i t. p. I wtedy uśmiechnąć się musiałem nad tym dysonansem, przypadkowo znów odkrytym, między przemożną rzeczywistością a poezyą najdostojniejszą tej dziwnie melancholicznej figury barona von Hertenstein z groźnej powieści W. Berenta: „Próchno." A asocyacye myślowe szły jedna po drugiej. Z pamięci i opowiadań, z życia i z legend, aż nadto współczesnych, żeby mogły być nie tak tragicznemi, zaczęły mi się wyłaniać Wertherowskie postacie z najmłodszych Niemiec: książę Wrede, książę saski Jerzy Conrad i ten bardzo nieszczęśliwy samobójca Conradi i ten drugi, pan von Stauffern-Bern, i ten „latający Holender Habsburgów" Jan Orth, synowie pierwszych rodów bardzo silnej a dufnej w siebie nacyi, już to i spadkobiercy wielkich fortun, już to obdarzeni wielokrotnymi jakby renesansowymi talentami, a bezpłodni dla społeczeństwa, w sztuce niewypowiedziani, w używaniu życia bankruci, zwolna dogasający w aureolach mytów o rzekomej deprawacyi, jakimi mieszczaństwo zawsze otacza wyjątkowych ludzi, którzy mieli tchórzliwą odwagę absolutnego wycofania się z życia. Patrząc na Anglię przez pryzmat Oskara Wilde, a na Francyę — przez zakopcony

lorgnon Octava Mirbeau, a w Niemczech słysząc smutne opowieści o melancholikach, zaiste jeszcze winszować sobie możemy naszego: próchna. Tam roztoczone od góry do dołu całe drewniane domy organizmów społecznych, tu w plemiennych typach „fosforyzującej zgnilizny“ tyle krwi serdecznej, tyle zdrowia i siły w niby „zdechlakach“ moralnych, tyle tkliwości sumienia i szlachetnej delikatności uczuć, tyle brawurowego pesymizmu, zadatkującego zawsze krzepki idealizm, że tytuł powieści poniekąd wydaje się pretensyonalnym, a rzecz cała mogłaby się dziać może pod banderolą spokojniejszą, np. „Fermenty“, albo „Strachy na Lachy“, gdyby to znowu nie było zanadto groteskowem, a jak wiadomo z groteskowością, jak z Nietzschem, jak ze sztuką Wyspiańskich czy Malczewskich na razie jeszcze nie umiemy sobie poradzić. Istotnie, tu nic nie próchnieje, tu miejsce na staropolskie słowo: szumi, może musuje, a tylko w rozszerzonych źrenicach bardzo przeciętnego współczesnego mogą wybuchać płomienie piekielne z tych scen, mogą wyłaniać się szatańskie maski skazanców kawiarnianych, straszyć w nocy demony nadludzkiego zepsucia. Wiele tu będzie prawdy ale i przesadnie wiele romantyzmu, którego zresztą nigdy nigdzie za wiele; wiele tu cierpienia ale nużąco wiele epilepsyi gestów i dyaboliczności aforyzmów, czasem tak rozkosznie młodzieńczych, że aż śmiać się chce serdecznie. Wiele tu, wiele duszy, bo jej całe otchłanie w światło krytyki spółczesnej rozwarte, całe ciemnie załomów i szczelin jaskrawo oświetlone, zdemaskowanie bezprzykładne, brutalne, bezwzględne, ale i wiele patetyczności za popularnej, aby była wzniosłą, wiele retoryki tendencyjnej; bowiem i rozmyślna wojna z tendencyą, jako propaganda, jest tylko tendencyjnością.

W. Berent poznał siłę magnetyczną jezior Alpejskich. Jest w nich jakiś urok przedziwny, przypisany im przez nieziemskie moce, że na pewne genialne natury działają rozkładowo w psychognostycznem znaczeniu, że przykuwają do swego piękna niewidzialnymi, ale nieubłagalnymi węzłami, ulubieńców swoich hypnotyzują w jakiś wyższy stan duchowy osobistego i wyłącznego przebywania z swem ja, zamknięcia się w swem ja, generalnej rewizyi swej moralnej wartości, jasnowidzącego zapatrzenia się w całe światy zjawisk, których się nigdy nie spodziewało, bratniego panteistycznego obcowania z naturą, w rezultacie spowiedzi generalnej i otwartego wyznania poglądu na świat żywych i życie zaświatowe. Rousseau, Goethe, Słowacki, B. Constant, Krasiński godzinami wpatrywali się w pomarszczone tafle szafirowych głębin, rozmyślali zawrotnie

nad istnością swych predestynowanych na mękę natur i starali się bądź bardzo pięknie, bądź bardzo bezwzględnie szczerze ująć w jakieś pewne kontury tajemnice swych dusz i tajemnicę ducha czasów. Przypominam, jak W. Berent miłośnie stawał nad jeziorami bawarskich Alp; w jedno jezioro kryształnie seledynowe okolone asem, całość jakby wyciętą z marzeń poetycznych Hansa Thomy, wpuściła obrotna chytrość hotelarza Niemca olbrzymią figurę białej drewnianej Syreny. Opuściliśmy obaj wiosła i wpatrzyli się w cudownie przezroczą trzydziesto-metrową głębię: Syrena leżała bez ruchu na piasczystem dnie, a koło niej ze strachem panicznym przemykały rybki wielkie i małe, przerażone zbyt białego jak na ich smak artystyczny potworu. Te jeziora alpejskie, te wieczory nadlemańskie dały W. Berentowi to głębokie przenikliwe spojrzenie w głąb duszy współczesnej, ale może i piękne Risser-See dało mu to mylne omamidło, jakoby na dnie wszelkiej głębi leżało tylko białe ciało kobiety Wszechwładczyni. Tak u niego myślą ci wszyscy pogrobowcy polscy czy nie polscy,—mniejsza o narodowość bowiem na tym stopniu kulturalnego rusztowania,—tak w konsekwencyach przemyśliwa Borowski, tak Jelsky, tak ten arcy-Müller, suchotniczo-poetyczny reprezentant dekadencyi burżuazyjnej. Najwznioślejsze ideały maskują się w nich w najprymitywniejsze przypadkowe czasem instynkta, te zaś przybierają kształt cierpienia na Golgocie i zwolna, w pysznem symfonicznem coda rozpływają się w jakieś urywane melodye nirwaniczne, w znak zapytania. A co więcej jeszcze imponuje, to to impulsywne, dosłowne i czasem nawet za śmieszne branie dźwięków za fakta, ideałów za istotnie doścignione sny, tragedyi romansowych za istotne tragedye życia, problemów literackich za problemy życia ciężkiego. Dla tych, czasem przeraźliwie gadatliwych, przyznajmy, jeszcze zawsze romantyków, każde żelazo rozpala się do czerwoności, każda kwestya staje się piękącą bolącą raną, wszystko rośnie do rozwichrzonych konturów gniotącego w bezsnach koszmaru, a życie trywialne i tragiczne swą codziennością zmienia się w jaskrawą martyrologię ducha, w krzyżowanie, wbijanie na pal bohaterów co moment, co godzina. Próchnieją dusze tylko tym, co, jak stare meble w starych dworach, stoją od zamierzchłych czasów na jednym i tymsamym stopniu cynizmu życiowego, czyli inaczej doświadczenia, jeszcze piękniej: równowagi etycznej, i żadną mocą boskich kataklizmów ni ludzkich rozumowych przemian nie dadzą ruszyć się z miejsca; próchnieją, dalej, dusze tym, co przedwcześnie ze wszystkiego zadowoleni przełacno godzą się z złym rzeczy porządkiem i kakofonią dysonansów uczuciowych, których

nic nie dziwi i nic nie przeraża, a wszystkie problemy i kontrasty układają się w spokojne malowanki, unormowanego życia.

Ale ci?

Próchno to raczej szereg powieści, na które złożyły się pióra różnojęzycznych autorów i to nie drugorzędnych; to bowiem Mereditha egoista Sir Willounghby, to dalej aforysta Sienkiewicza pan Płoszowski, to Bourgeta Armand z Mensognes i antypatyczny Dorsenne z Cosmopolis, to dandysi Wilde'a i d'Annunzia, Weyssenhoffa, Barrésa i te całe gromady sceptycznych dyletantów, katolickich epikurejczyków, salonowych nihilistów, apatycznych impotentów, reprezentujących modną powieść znudzonej burżuazyi. Ci zaś gromowładni melancholicy, radykalni pół-Europejczycy Berenta to raczej pełny płomień ludzkich pożądań i tęsknot metafizycznych, zrywania się orłów spętanych do lotu, desperacya ale pełna temperamentu, deprawacya ale pełna kokieteryi i przelotna, dekadencya na tle przełomowych lat, pełna eksplodujących rakiet aforystycznych, spleenu kawiarnianego i żywiołowego zdrowego hedonizmu inteligentnych muskularnych, ba nawet produktywnych młodzianków. To wielkie miasto niemieckie, które w istocie rzeczy jest szarem rojowiskiem pracy jak każde inne, im wydaje się purpurowem tokowiskiem rozpusty i rozwiązłości, otchłanią zbrodni i krzywd. A że im tak szeroko rozszerzają się źrenice z przerażenia przed krociami krzyżujących się interesów, ogromem cyfr statystycznych i zwykłymi monotonnymi wypadkami z kroniki kryminalistycznej, że w takie rozpaczliwe wpadają giesty przed babylońską wieżą każdego wielkiego miasta, to już najpewniejszy dokument i rękojmia, że czystymi młodziankami wynijdą z tych pieców gorejących, a co krzepsi i tężsi ostoją się i zahartują dla społecznej niewdzięczności, krzywd lub fałszywych laurów współczesnych, dla podręczników narodowych znakomitości. Dlatego cytata z Modrzewskiego, piękny, bo archaiczny pomysł W. Berenta, raczej zastosować da się do może bardzo szerokich już szeregów i warstw próchniejącego w indolencyi ospałej i uporze materyalistycznym społeczeństwa, zwłaszcza, gdy się ma w życiu współczesnem tyle dowodów, że z kawiarnianej wegetacyi i porodowych bólów bezsennych nocy, nihilistycznych debat i dysput i słusznej chyba pogardy do oficyalnego życia narodowego wychodzą w światło dnia umysły i charaktery, nadające ducha i stylu następnym pokoleniom. Moraliści w dziennikach popularnych od czasu do czasu dokumentują swój wzorowy światopogląd oportunistyczny wycieczkami dość nudnemi, więc bardzo czytanemi przeciw temu ogniskowaniu życia artystycznego w spelunkach—kawiarniach; mówi się o wielkościach

kawiarnianych i cytuje się nazwiska, coprawda jedynie interesujące w tych czasach, tak lekkich dla mobu i normalnych pod kreskę egzystencyi; pisze się często o potwornych rekordach w deprawacyi zmysłów, tak jakby czytelnicy byli pokojem dziecinnym, w który bardzo rozsądnie jest od czasu do czasu wprowadzić lub zagrozić wprowadzeniem demonicznego kominiarza. Nie taki dyabeł czarny, jak go malują fejletoniści brukowi, a jeśli już gdzie szukać istotnej Golcondy dla satyrycznego modelunku, to po tamtej stronie społecznego brzegu, gdzie zimują normalni, poprawni, wzorzyści, nędzne monady i lojalne cyfry.

Toczą się od wielu lat spory o hegemonię dwóch różnych moralności, moralności ogółu i moralności wyjątków, a obie strony walczą w przyłbicach z malowanymi jak wrogie rodów herby problemami moralnymi i z zapałem, godnym mądrzejszej sprawy, podczas kiedy wzniosłe cnoty i bezcenne a bezpłatne przymioty coraz niewidoczniejsze po jednej i po drugiej stronie. A za to po stronie spotwarzanej odsłania się nadmierna uczciwość, która zawsze pragnęła być incognito, prastary romantyczny szał, pańskie wydelikacenie życiowych pretensyi, najwyższa możliwa skala smaku, najczystsza możliwa sfera tęsknot, quinta essencya kultury i odwieczna u szlachetniejszego typu ludzi nienawiść tłumu i spraw jego głodu i brzydoty. Po stronie wojujących zaś i zwyciężających (gdyż wulgarność zawsze zwycięża) zawsze ta sama demaskuje się dufna ograniczoność z nieświadomości, umiłowanie tego, co prymitywne i łatwe, i upór stagnacyi kulturalnej. Dyskusye toczą się o to, kto lepszy i godniejszy sympatyi w potomności, podczas gdy toczyć się winny jeszcze o to, dlaczego głupota nie jest karaną pręgierzem i chłostą, lub dlaczego utalentowani ludzie u nas wpadają w taką melancholiczną determinacyę, że delirium tremens lub samobójstwo jeszcze jest dość częstym tego stanu wykładnikiem, dlaczego ci ciekawi goście kawiarniani takim płotem skandalu odgraniczać się muszą od gruboskórności i ciężkich kopyt towarzystwa alias społeczeństwa. Nie potrzeba być apologetą cyganeryi literackiej, ale wystarczy mieć odrazę do tej ohydnej demokratycznej fazy dawnego obcowania w salonach pani Thalien czy Recamier, Espinasse czy na Czwartkach króla Stanisława, aby rozeznać w ciemnościach, że nie na zebraniu bankruckiem jakiegoś towarzystwa spekulacyjno-akcyjnego, ale w obskurnej spelunce, dymnej i przepojonej trucizną absyntu, zbierają się zwykle co najszlachetniejsze typy. Berent tego dowiódł swoją najbezwzględniejszą krytyką moralności panów, królów bez ziemi, mocarzy serdecznie niemocnych, Lachów,

co piersi trocinami europejskiej kultury wypychają. Oto ich cała galerya, bladych a w nocnych dygresyach hektycznie zarumienionych. Pokłośnicy z zgiętym karkiem, co przyjęli w spadku dziedzictwo wtedy nieświadomej siebie a ciężkiej degeneracyi ojców. Na strzaskanych o pierwsze rafy życiowych przeciwności szkutach wałęsają się na falach społecznej wegetacyi bez celu i bez racyi; wieże morskie zapadły się w odmęty bez śladu, pilotami bywają czasem: sumienie społeczne, trywialna chuć sławy, kinkietów i popularności, czasem nawet ideały narodowe, ba nawet ogólno-ludzkie, humanitarne. Co jakiś czas znachodzi się jakiś, co byt tej garstki potępieńców „usprawiedliwia", z rozbitą szkutą osiada na piasku i pracuje z zaparciem się siebie nad kręceniem z tego piasku biczów, budowaniem zamków na lodzie, kwadraturą koła, poprawą społeczeństwa, wieszczeniem narodowi, pieszczeniem narodowych wad i zbrodni.

A ci co zostają czyści, co giną zapomniani, to są te istotne kwiaty złego na bagniskach; ci nieproduktywni artyści to istotne krzyki bólu ludzkiego po nocy, to często głębsze i straszniejsze tragedye od tragedyi na zamkach Szekspirowskich, zwłaszcza gdy zawsze tak ogromnie śmieszne. Wyobraźcież sobie kreacye ludzkie przeważnie z szlachetnego kruszcu które już w rodzinie i w szkole uchodziły za pomazańców i zwiastunów czegoś lepszego w przyszłości, które swój idealizm wiosenny szesnastych lat konserwują upornie i nadal, ba nawet którzy ustawicznie swoje idealistyczne miary i wagi przystawiają do natykanych w życiu faktów i ludzi, i odejmują je z wyrazem istotnej rozpaczy. Wyobraźcież sobie ludzi, poławiających namiętnie z każdego przepływu brudnej fali codzienności ciężkie dezilluzye. Monstrualne te curioza ludzkie, pełne zawsze przesadnego krytycyzmu i zawszę śmiesznej egzaltacyi, ba nawet czasem entuzyazmujące się wogóle jeszcze do czegoś, łamią ręce nad każdem fałszywem kółkiem w zegarku społecznego ładu, nad każdą rdzą. Uginając się pod ciężarem „gangreny dekadenckiej", zdolni są do wybuchowej nienawiści, do zapamiętałego ukochania, nie cofają się przed zbrodnią, nie cofają się przed bezgraniczną abnegacyą światą i poświęceniem, nie naginają się przykładnie do żadnych kompromisów nawet z własnem szczęściem, nadto bez systematycznego programu rzucają czasem w świat fantastyczne ewokacye piękna, dziwaczne, niedzisiejsze, niepotrzebne. Co komu, normalnemu citoyenowi, z tego, że się poematy drukuje, gdy chleb zdrożał? Co całemu społeczeństwu pozytywnego zostaje z jednego genialnego romantyka mniej, z jednego samobójcy więcej? Ci artyści, *rari nantes in gurgite vasto*, frapujący przechodniów swą „inte-

resującą ale smutną“ zgnilizną moralną, jak się okazuje, mają tyle sensytywności w najbłahszych odcieniach sprawiedliwości etycznej, że są czasami aż nieznośni.

Ktoś kogoś zabił, uwiódłszy mu żonę. Zdrowie moralne otoczenia pyta, czy była przystojną i jak się nazywają panowie sekundanci? Genialny „zdechlak“ kawiarniany rozwrzeszczy z tego uwiedzenia zbrodnię, maniakalicznie analizuje winę trojga biednych ludzkich krabów przez cztery wstrząsające akty, wyfantazyuje karę-anankę, której w życiu spokojnego obywatelstwa nigdzie niema. Więc jakżeż się dziwić potem, że zdrowy optymizm bezkarnie uwodzących i zabijających reaguje w konsekwencyach ostro na ten histeryczny pesymizm autora, który piętnuje sodomskiem piętnem porubstwo i cudzołóstwo i zwykłą aferę z sypialni podnosi do rozmiarów praludzkiej klątwy, podczas kiedy jedną wizytą u konfesyonału, lub jednym aforyzmem czy kupletem zyskałby aplauz i sankcyę ogółu? Potępieńcy Berenta wszyscy grzeszą pesymizmem, wszyscy potęgę swych pięciu zmysłów i szóstego zmysłu do... destrukcyi analizują ustawicznie, czasem zgoła jak flagellanci. Jakaż to niemiła kategorya ludzi, żyjących ciągle w superlatywach uczuciowych, trawionych bezprzerwną walką z impulsywnym przemożnym egoizmem, rozpaczających śmiesznie nad brutalną bezmyślnością życia, indywiduów oderwanych od logicznego rozwoju w tem stadyum ewolucyjnem, w którem twórcze podniecenie wszystkich sił uczuciowych dochodzi do eruptywnych momentów. Ci ludzie albo pełni alegrezzy życiowej rzucają się konwulsyjnie, rozbijają sobą ściany i tytanicznym rozmachem usiłują przechylić turbinę kuli ziemskiej, albo wczorajsi barbarzyńcy czy doktrynerzy dziś wpadają w b-mollowy nastrój otępienia i desperacyi, przed przemocą faktów zginają się, łamią i z pierwszym lepszym krzyżem społecznej misyi na plecach idą na swoją kalwaryę. A ci młodzi Słowianie, młodej rasy reprezentanci, toczeni rakiem kultury i włóczący swój przestrach barbarzyński po metropoliach świata, jeszcze dziwniejsi, bo oto swoją *l'animalité primitive*, jędrność zdrowych muskułów, czerstwość i jurność nieskażonych natur łączą z tą Bourgetowską *une mortelle fatigue de vivre*, *une énorme perception de la vanité de tout effort* i kiedy upadają pod ciężarem nikczemności życia, to nie słaniają się jak podcięte storczyki i narcyzy francuskie, lecz walą się jak dęby. Porównajcie tragedyę Bourgetowskiego „Ucznia“, tego pajaca Greslou, cierpiącego tak dekoracyjnie na rozbicie osobowości w dwie istoty, wegetującą bez woli, bez dogmatu, i drugą, świadomie obserwującą

i kontrolującą; porównajcie proces duchowy tego franta katolickiego, klęczącego w angielskim garniturze z książeczką do modlenia i gardenią w butonierce z tym kolosalnym kabotynem z Polski: Borowskim. Oto robaczywa duszyczka z francuskiej zblazowanej episieryi, a oto człowiek, co przy wielkim sercu Chrystusa ma niskie instynkta bestyi ludzkiej, jakiś olbrzym ogromnie ciężki, ogromnie śmieszny, ogromnie marny a tak nieszczęśliwy, że jego polska niedola, położona na jednej szali, przechyli ciężarem swym całe szczęście ludzkości na drugiej szali pokładzione. Przepaść nieszczęścia Borowskiego—to nie Golgota jakiegoś zachodnio-europejskiego anemicznego mózgowca, nie tortura prokrustowa przeczułego neurastenika, nie pamiętnik aforysty warszawskiego bez dogmatu, nie jedna pyszna figura powieściowa mniej lub więcej, ale to on!—człowiek artysta bez jutra, to on, artysta aktor bez sceny, bez publiki, bez rezonansu w całem społeczeństwie, bez tryumfów, płaszcza królewskiego, berła, jabłka...

Niemożność kochania u Borowskiego jest tragiczniejsza o całe piekło od tragizmu niekochanych bohaterów, a jego nienawiść do ukochanej sztuki to istotne męczeństwo bez aureoli, wplecenie Ixyona w fatalne koło, przekleństwo przemożnego talentu, wiecznie prawdziwy obraz człowieka, którego życie na każdym kroku zwycięża, typ, którego w licznych egzemplarzach psychiatryczna krytyka literacka napiętnowała jako neurastenika. Smutna to galerya i może już chyba i skończona. Zaczyna się gdzieś dawniej od „dziecka wieku“ i „bohatera naszych czasów“, od Sternbalda, skreślonego z życia przez Tiecka, od Henryka Ofterdingen—Novalisa, od Adolfa Constanta i Rénégo Chateaubrianda. Powieść rosyjska dała Borowskiemu pokrewnego ducha, Obłomowa Gończarowa i Rudina Turgeniewa, a potem do dziejów martyrologii mocnej indywidualności duszy a słabej mocy woli, weszli i ci posępni wikingowie norwescy, mocarni witezie mózgu, kaleki energii potencyonalnej: Alving Ibsena, Nils Lyhne Jakobsena i Gram Garborga, Glan Hamsuna i wreszcie ten już nawet w sylwecie bliski Borowskiemu Wiliam Hög z powieści Hermana Banga: Beznadziejne rody. Nie traćmyż nadziei, że na tym torsie wpół wykończonym przez świetnego plastyka Berenta skończy się ten szereg pogrobowców, i ta cała ponura i gnębiąca filopatya, i te genialne paszkwile na najlepszych z pośród nas, bo na nas samych, i to szare niebo nad nędzą nowego życia miast, i ta wstrętna wojna duszna z koszmarem dziedziczności. Nie chodzi tu o jakieś zblazowanie się czy znudzenie tem, za często obecnie malowanem i za jaskrawo kolorystycznem i za przedwcześnie potępianem, milieu artystycznem

i jego istotnie jedynie tylko ciekawymi tytanami—kalekami,—jestto jeszcze kopalnia nieprzebrana i podażna, ale chodzi o coś więcej, bo o tę groźną i zastraszające rozmiary przybierającą apologią i fetyszyzmem cierpienia, bólu twórczego, bólu improduktywizmu, bólu we wszystkiem i wszędzie. Ci młodzieńcy Berenta, te intelektualne Sachsengängery o skrzypcowych strunach duszy, o sentymentach tak egzaltowanych, że ich „cynizm“ przypomina raczej determinacyę wajdeloty—proroka Jeremiasza na gruzach Jerozolimy, prowadzą czasem istne dyalogi umarłych, dysputy mumii, mówiących do siebie hieroglifami... (Hertenstein i Müller); zda się wszystkie nici łączące ich z życiem zerwały się, a niechęć do przejasności słońca każe im cierpienia bezbrzeżnego doszukiwać się w zwiędłym kwiecie, milknących tonach Chopinowskich. Oni tak ciągle, tak mozolnie, tak fakirycznie zagłębiają się nad immanentną tragiką wszelkiego bytu, tak szczelnie zamykają wszelkie wrota, któremiby mogli wejść w światło dnia wesołego, na wyżynę Zaratustry, tyle w swej kosmopolitycznej chorobie ukochania cierpienia mają przytem słowiańskiego elementu tęsknoty grobów i żółtej gliny, że zarazą swą zatrućby mogli wszelkie studnie i źródła wesołości, a w potędze ich ewangelii, ewangelii apatyi, samskary, nirwany i t. p. wstrętnych wymysłów tybetańskich głodomorów mieści się ich urok niebezpieczny, ich czary magiczne. Ci bardzo inteligentni marzyciele, uganiając się za rozkoszami i za szczęściem, jak najodleglejszem i tem niby najintensywniejszem, przeganiają je. Dzieje im się, jak temu karłowi z bajki, co porwał księżniczkę. Raz w zamku karzeł zasnął, księżniczka, korzystając z wolności, uciekła, a gdy się rozbudził, przywdział siedmiomilowe buty i ścigał ją. I daleko, daleko w tych butach zabiegł, a księżniczka tymczasem niecałe sześć mil tylko zaszła. I ci upornie nieszczęśliwi filozofowie ciągle tylko w siedmiomilowych butach ścigają niedościgłe fantomy, z żrących a niezdefiniowanych swych upragnień kręcą rzemienne sploty i biczują się nimi aż do stanu kompletnego obezwładnienia wobec życia i, powiedzmy bezwzględnie, majaczeń teozoficznych. Od jakichś przesadnie i prawie melodramatycznie jadowitych rozgrzebywań i rozdrapywań w swoich duszach, od najbrutalniejszych w pogardzie swej wzajemnej dysertacyi, przechodzą w nastroje kompletnej morbidezzy, a plucie i opluwanie staje się u nich rodzajem kąpieli moralnej, z której sami wychodzą rzekomo czyści. W życiu realnem, widomem nam, nawet ślepym z pośród bliźnich, tego tchnienia atmosfera byłaby jeszcze oddechalną chyba przez jedną dobę, czy jeden wieczór, a tymczasem słuszna zachodzi obawa, że czytelnik polski, nb. biorący prawdę drukowaną jeszcze zawsze dosłownie,

nastraszy się tego środowiska, tak fatalnie przezwanego Próchnem, jako przedpiekla, i nad dalszymi losami Turkułła, Jelskyego, Pawluka, Müllera i tego karyerowicza społecznikostwa Kunickiego nakreśli krzyżyk i amen. Tymczasem rzecz się ma znacznie weselej, bo społeczeństwo, zwolna i konsekwentnie deprawując i asymilując, łatwiejsze jednostki anektuje, aby wykorzystać, nagradza nawet specyalnymi jubileuszami itp. upokorzeniami, a tylko istotnie górne i chmurne, dzikie i wyniosłe natury zostają zawsze z tamtej strony marnego zła i taniego dobra. Z tych dusz, które tylko oscylują między twardem kowadłem nauki a lekkim młoteczkiem dziennikarza, wszyscy z czasem dostaną *cor bovis* i staną się oficyalnie sympatycznemi i popularnemi miernotami. W społeczeństwie jeszcze ciągle padają słowa, chwytające niby w lot charakterystykę poszczególnych bohaterów z jednej barwy ich charakteru głównie; tak więc ten jest społecznikiem, ten karyerowiczem, ten dziennikarzem, tamten dekadentem, tak jakby te słowa cokolwiek oznaczały, pan Müller nie był kapitalnym materyałem na dziennikarza radykalnego, pan von Hertenstein nie był społecznikiem *à rebours*, a w panu Jelskym nie rozgrywał się ostatni akt tragedyi urodzonego poety. Zapadły się te czasy, w których poczciwe ludziska były tak jednolite w swej bryle, że równie nieciekawy i jednolity filister powieściopisarz kroił figurki z papieru, pisał im tytuły fachów i charakterów, a kiedy którego bohatera uśmiercał, tylko figurkę chował do szuflady. Tak można nadal pisać ramoty historyczne nawet w wielkim stylu i dla wielkich rzesz narodu. W Berentowym fresku generacyi współczesnej, z tych kilku bardzo zresztą konkretnie malowanych postaci, wywiązuje się z biegiem stronic kombinacya jednego człowieka, współczesnego artysty, która ma coprawda najwięcej Borowszczyny w sobie, ale i całą *misère* Jelskyego i cały patos improduktywa Müllera i cały czar średniowiecznego majestatu Hertensteina. U każdego kiedyś „twórczość była“, z latami każdy „pielęgnuje dowcip“; dowcipem Hertensteina jest jego poza na *arupavacharę* („ci, którzy na najwyższym stopniu czystości wolni są od wszelkich form materyalnych“) i *sarvajnę* (wszystkowiedzącego) i *arahata* (wtajemniczonego kapłana Budhy); dowcipem Müllera—jego erotomania i suchotniczy mysogynizm. U każdego z nich nietzscheański *Patos der Distanz*, t. j. poczucie olbrzymich różnic między psychiką tłumu ludzko-zwierzęcego a przywilejami nadczłowieka, czy królewskiego człowieka, walczył lata całe z wrodzonem a fałszywem chrystyanicznem poczuciem równości wszystkich. U najsilniejszych niektórych kosztem kultury krystalizował się w pogardę samotników i mizantropów, a może żaden z tej „paczki von Hertenstein“ nie wykształcił

w sobie tego arcyremedium *Patos der Resonanz*, t. j. słonecznej radości z echa, jakie nasza istota wywołuje w osobach, rzeczach z otoczenia, ze zmian w universum. Gdyby nieszczęścia i psie dole, poematy i samobójstwa tych niewielu przechodziły bez śladu, jak cienie na piasku, to jedynym godnym stosunkiem artysty do społeczeństwa byłaby pogarda nienawidzącego. Gdy jednakże widać za każdym stąpnięciem naprzód, że w coraz szerszych kręgach społecznych coraz szlachetniejsze kształtują się jednostki, nie należy lamentować nad tymi, co już przygnieceni ciężarem wszechwładnego barbarzyństwa przystali lub legli, ale należy iść na Golgoty z krzyżem, pamiętając, że z Chrystusem na Golgotę bez krzyża szły tylko same łotry. To samo i w wojnie z zmysłami. U każdego z tych neurastenicznych Prokrustów, tembardziej jeszcze w stafażu wielkomiejskim, to, co lemuryczne, reaguje raz absolutnie, raz bardzo cicho i słabo na to, co telluryczne. Po każdem westchnieniu w szlaki niebne i nadniebne następują chytro skrywane trzy oglądnięcia za modną w sylwecie kobietką, która podniosła kaskadę koronek, aby słońce grzało prowokującą bliźnich łydkę. Lata płyną, fata płyną, a *femina* mniej lub więcej wonna i pulchna zawsze będzie najpiękniejszą nagrodą, jaka każdego Herkulesa czeka po dwunastu pracach, każdego Napoleona po stupięćdziesięciu bitwach wygranych, każdego poetę, gdy uznanie głupców już uzyskał. Erotomanizuje w sposób alfonsowy Jelsky, w sposób gimnazyastyczny Müller, kocha się Borowski jak cyklop jednooki, Hertenstein fantazyuje kazirodczo. Po każdym przejdzie ten stan rozpalonych zmysłów jak deszcz ognisty. Dla Jelskyego jak po waterprofie, dla Müllera jak grad, dla Hertensteina jak somnambuliczny jakiś deszcz krwi, a tylko, tylko ten jeden Borowski, Polak, co ma coś z elementów kapłana Asztarothy a coś z norweskich wikingów, odczuje miłość kobiety jak deszcz kamienny i pod strasznem pożądaniem kiedyś, w życiu, poza ostatnią kartą książki ugnie się i padnie. Prawda, że w tej grupie ludzkiej daleko jesteśmy od cyganeryi Murgera, ci ludzie nie traktują kobiet jak pieski szkockie, które się kładzie na poduszki jedwabne i chucha, aby lizały cukier. Przeciwnie, zdawałoby się czasem, że w Yvette Guilbert już widzą kosmiczną z piekła moc, wieszczącą nadejście Antychrysta, niszczącą w rozkoszach, trującą w pieszczotach, sztyletującą kokieteryą bielizny, w sztuce—effeminacyę mężczyzny samca. I ten pogląd historya literatury współczesnej inkasuje w arcydzielnych poematach Przybyszewskiego, dramatach Strindberga, powieściach d'Annunzia, a towarzystwo—czytaj: społeczeństwo—zastraszone może zbyt filozofią deterministów w rzeczach sexus necans, pocieszają przecież

każdej chwili ci znowu dostawcy, którzy w kobiecie widzą kotkę, kucharkę, baletnicę, epizod, czasem nawet matkę Grakchów...

Blednie też i argument iście chińskich ignorantów, jakoby najnowocześniejsze teorematy dreszczu przed płcią i bałwochwalstwa kobiety w konsekwencyach dalszych pociągały za sobą nienawiść do biednego niewinnego społeczeństwa i niespołeczną obojętność wielkich twórców, indywidualistów, egoistów. Każdy Werther, czy każdy kochanek nienawidził burżuazyi w społeczeństwie, tak René Alfreda de Vigny jak Adolf Constanta w początkach XIX w., gdy Nietzsche i Dostojewski jeszcze i nie żyli, i później, gdy nad ludźmi byli i rząd wiedli Bałucki czy Offenbach, a Baudelaire czy Cypryan Norwid byli anomaliami. Indywidualistom z powieści Berenta zakochać się łatwo i poświęcić znów w tym szale wszystko, ale na egoizm zdobywają się z taką trudnością, z takiem ociąganiem się, hałasem i filozoficznem gardłowaniem, że doprawdy czasem aż śmieszni są w porównaniu do tego brutalnego, bezczelnego egoizmu altruistów, pracujących dokoła dla „orki społecznej“, „służby Bożej“, „chwały narodu“. Ci heroldzi egoizmu zostają nadal hołyszami, podczas kiedy obrońcy chrześciańskiej miłości bliźniego budują pałace „secesyjne“ i tyją, ciągle tyją ze wszystkiego, ze zgryzot, z trosk o dobro Ojczyzny, z wrażeń estetycznych, z pogardy dla Sztuki, z wiary w królestwo niebieskie, z grozy przed piekłem... tyją. Bezpretensyonalne mrowiska inteligentne ruchliwe są i zapobiegliwe, ale na wielkim stylu życiowym, wielkiej linii biograficznej nie zależy im wcale; ci egoiści morituri pełni żalu do parszywości karlego otoczenia, pełni wielkich tradycyi biografii geniuszów, ustawicznie żrą się tęsknotą do wielkiego konturu swej ziemskiej wędrówki. A że życie współczesne mało ma buław marszałkowskich do rozdania, więc z ostateczności wpadają w degryngoladę tynglowo-kawiarnianą, czasami jeszcze czystszą od życia w podwórkach burżuazyjnych. A że tem samem gwałcą, bo gardzą przywilejami i przesądami etyki kogucio-kurzej, i że przytem przeważnie za seryo biorą swą rolę elementów negatywnych czy destrukcyjnych, zamiast ze wszystkich przygód życiowych i ze wszystkich dylematów wycofywać się z gracyą, więc społeczeństwo, próżne jak stara kokota, najczęściej mści się na nowożytnych incroyablach w sposób najwyrafinowańszy; dochodzi do tego, że niektórych nawet uwodzi, przytula i pieści. Można ręczyć np., że takiego Jelskyego z czasem utuli i upieści.

Berenta powieść o generacyi, mająca czasem wszelkie znamiona Journal intime artysty czy „dziecka początka wieku", zawarła też w sobie całą polyfonię duchowego życia współczesnego. Dominantą tej księgi jest pesymizm, a zdaje się być i dominantą całej twórczości Berenta, wybuchającej w tej spowiedzi pokolenia z nieprzepartą zjawiskową mocą. Cały zgiełk idei i jarmark dylematów ujął wielki psychognostyczny talent na jedną kanwę kilku nic nieznaczących wypadków i, rozpaliwszy wszystkie światła i pochodnie dokoła, pozwala nam oglądać rzeczy dotąd nieoglądalne. Sensibilitas Berenta nie ma równej w piśmiennictwie europejskiem; to już nie czułkowatość Huysmansa czy Rodenbacha, Levertina czy Wassermanna, to już lusterko, na którem jeszcze nawet ostatnie tchnienie konającego zostawia rozpaczliwy ślad. Te przepyszności analizy, skończone preparata dusz ludzkich, esencye psychozoficzne nadają rzeczy o ludziach nowego ducha z Polski—mocy i wartości nieprzemijającej, dokumentarnej, apologetycznej. Tutaj złączono nowe, na najczulszej newrozie oparte nastroje duszne ludzi, odczuwających misteryum mimicry między zagasającemi melodyami a kolorytem nieba a melancholią chwili—bezpośrednio z wielkim kapitałem poważnego doświadczenia fizyologicznego w jedną całość syntetycznego genialnego utworu, dającego poetyczny wyraz prawie całemu współczesnemu światu uczuć. Zwykłe fakty codziennego życia wobec tego, że to życie dawane jest w najwyższej potędze napięcia, jaskrawieją w tych warunkach i stają się tragicznemi emanacyami niezbadanych potęg w duszy bestyi ludzkiej; na każdej stronie widna przemoc inspiracyi nad autokrytycyzmem, zwycięstwo rzecznika bezwzględnych prawd nagiej duszy nad artystą formalistą. Impulsywne posłannictwo twórcze nie pozwala na żadne konstruowanie całości lub zaokrąglania szczegółów. Wizerunki groźne tych kilku dusz nie przepłaskich—to nie żadna tendencyjna czy arcyelegancka reportage teraźniejszości, to nie powieść etnograficzna czy nieodkryte światy mieszczańskiej zoologii; ani tu niema radości z fabulizowania, z toczenia szklannych kulek i misternego rozwiązywania węzełków, zawiązanych przez marną nikczemność kilku ludzisków sfotografowanych z ordynarnego milieu; ani tu niema tej wielkiej turbiny ukochanych wśród motłochu pisarzy tj. męczeńskiego poszukiwania się dwojga kochanków i Hosanny kopulacyi Numy z Pompiliuszem czy Jagienki ze Zbyszkiem. Formalności estetyczne obraża i lekceważy Berent na każdym kroku, wie, że każda estetyka należy do historyi dnia wczorajszego, a sztuka, jeśli chce być poselstwem duszy, musi być zawsze rewolucyą. Formy artystyczne, wiązadła i spoidła, rytmy i normy—to tylko środki pomocnicze na to, aby sobie dać ra-

dę z spienionem zalewającem (wszystko, co się pisze) życiem. Berent nie kompromisuje ani z czytelnikiem, ani z krytykiem, ani z sobą, więc nie nagina się też do przyjętej architektoniki beletrystycznej, czując, że poprawna równość akcyi, jedność wypadków, cyzelerstwo ludzi i rzeczy byłyby przymiotami i klejnotami dzieła *artystycznego* na koszt pogłębienia *psychologicznego*. Dla tej też może przyczyny, zyskującej mu poklask wszystkich „przyjaciół człowieka“ a obojętność faryzeuszów estetyzmu, nie ekspensuje swego talentu na malowanki kulisów życia, pejzażów, czego takie obfitości w literaturze bezkrwistej o szematycznych ludziach, nie traci czasu i miejsca na doktrynerskie perorowanie i „przedstawianie złych złego skutków“ społeczeństwu, nie sięga po laur pedagoga ani nie narkotyzuje fantomami, ale stwarza, lepi człowieka z gliny i umie tchnąć w niego ducha boskości, aby oto grała się ku pociesze bliźnich wielka komedya bytu nieśmiertelnych czy tylko wezwanych. Dzięki słusznemu lekceważeniu rozumowanej koncentracyi i dyskretnych zalet stonowania wybuchają co chwila na powierzchnię podziemne nurty uczuć, dzięki zupełnie improwizacyjnej technice pisarskiej przechodzimy całą klawiaturę językową, od brutalnego realizmu prozy kawiarnianej aż do archaicznej mozaiki opowieści o księżniczce Bratumile. W krasopisarstwie naszem do wytwornej polychromii kilku, do niezrównanych emocyi językowych Żeromskiego przybywa fascynujący głębią wżarcia się w miąż językowy i porówno aforystyczny styl Berenta, i z tego wielka być winna radość w tych czasach, gdy wszystko, co pisze, ściga się do mety dziennikarskiego prostactwa.

A pretensyonalnego krytyka polskiego, któryby, opierając się na tem „Próchnie“, znów pisał monotonne a pełne patosu próżni refleksye na temat *nowoczesnych* bohaterów neurastenii i dekadencyi, odsyłam na finale tego bezpretensyonalnego szkicu do białego kruka czarnej analizy z XVII wieku do Adama Berndsa: „Bekenntnisse einer schönen Seele“... Wonczas nb. nie było ani neurastenii ani dziennikarskiej moralności.

Adolf Neuwert-Nowaczyński.

KRYTYKA.

KAZIMIERZ PRZERWA TETMAJER. „NA SKALNEM PODHALU.“

W przedmowie autor uprzedza, iż „artystycznem założeniem jego było, aby rzeczy stworzone i opowiadane przezeń wyglądały tak, jakby się stały naprawdę i opowiedziane były przez chłopów“.

Cel osiągnięty w zupełności. Najważniejszą cechą opowieści owych jest to, że wyglądają istotnie, jakoby się urodziły z tych gór i z żywej tradycyi tego skalnego ludu.

Cała książka drga przepysznem odbiciem junackiego żywota, a wokoło i nad nim — owej nieopisanej przyrody: wystrzelonych pod niebo wirchów, stawów dziwnych jako głębokie od ziemi oko, głaźnych rozpadlin śliskich, grzmiącej siklawy i schodzących poniżej smreków — aż do hal zielonych.

Cała książka tchnie owym nieporównanym, ostrym, rzeźwiącym oddechem z królestwa gór. Autor wszędzie opowieść przeprowadza „na tle“ przyrody. Wywołuje ją żywą i każe stać ciągle tuż poza wątkiem powieści; ztąd pochodzi, że czytając odczuwamy nieprzerwanie tę jej obecność i powiew świeży.

Czasem zaś, jak w opowiadaniu p. t. „Halny Gazda“ rozkazał przyrodzie wynijść z tła i brać w wątku bezpośredni udział.

„Idzie Jędrzej, patrzy do światu, noc była jasna, miesiąc wyszedł z za Koszystej; w pełni był. Zajaśnił się na lesie pod Żółtą Turnią i pyta się Jędrzeja:

Ze po co ześ haw prziseł tak nieskoro, Jędrek?

A on mu odpowiedział:

Bo jo jest halny gazda...“

Potem znów o wschodzie dnia wyjechało takie słońce, jakoby się porosiło kasi w dolinak, jakieś mokre, wilgotne; wypłynęło tak do pół z poza turni i pyta się:

Ze po co ześ ty haw prziseł Jędrek tak rano?

A on mu odpowiedział:

Bo jo jest halny gazda.“

Czarny staw gwarzy z Jędrzejem, a „turnie się juz tez pozwydobywały kielo telo ze śniegu, śmiejom się do słonka, jak nowe“.

A dalej „pustkowia zaumarłe napełniły się żywem, ciepłem powietrzem. Zdawało się, że się wzrusza coś w górach. Już nie było zastygłego spokoju zimy, — szła wiosna.“

Wszystko to bardzo proste i prześliczne.

Ton opowieści wszędzie jędrny, zwarty i w tej krzepkości swej spokojny.

Poszczególne postacie występują bardzo plastycznie i wykończone są doskonale.

Taki np. nieporównany Michał Łojas, pijak, który się chce obwiesić.

Nie miałci tej myśli odrazu. Idzie, zatacza się, „cała dolina jego," bo jest mocno pijany. — No, i przychodzą nań różne refleksye: wspomnienia sąsiada, który mu się „woroł", żony, która „kiebyk ino kielisek wypił, już wie," tej ślicznej Bronki Ustupskiej, co to „jej piersi wystrzelą pod koszulą, jak kwiaty na wiosnę."

Różne refleksye.

Bywa też i wesoło.

I tak w pewnej chwili „przechylił głowę w dół, przycisnął kapelusz ręką, tupnął nogą i hyc krzesać drobnego, pięta o piętę, obu piętami w powietrzu."

Potem znowu reakcya i cała, oryginalnie pijacka wędrówka myślowa aż do punktu: „Dyasi mi po takiem gazdowaniu! Heba się obwiesem, abo co?"

„Idzie i kalkuluje, palcami kiwający:
Obwiesem się, — nie obwiesem..."

A naostatek „obejmuje pień drzewa ramionami, przyciska usta do kory i powiada: Moje drzewo kohane! tak se haw bedziemy wroz bidzili. Ino ty ku górze wierhowce, jo zaś ku ziemi piętami. A cobyś mnie nie strzepnon, jaz dojńdem."

Albo taka ciekawa postać Józka Smasia, który „pojechał się wysłuhać", czyli spowiedź odbyć, z muzyką i zbrojno, bo „niekże Mu to (Bogu) nie bedzie krzywo, niekze Mu nie ublizem. A ze to się momy jednać, to muzykę bierem, coby wiedzioł, ze nie załujem na tę zgodę i zapłacem."

Typy niezmiernie oryginalne, ale autor potrafił opowieść swoją uczynić tak bardzo rodzimą z gór, iż poddajemy się łatwo wrażeniu, jako właśnie takie postacie tam są i być powinny. Jest w tem wszystkiem rzetelna artystyczna prawda, jest i odbicie żywiołowej potęgi, nie tylko w postaciach ale i w opisach i w oddaniu tej właściwej miejscu i rasie filozofii zbójeckiej, co to powiada: „dwie śmierci ludzkie miał na *sławie*." Albo „Niek im ta Pon Jezus siedm dwadzieścia ozbitych sklepów i troje śmierci ludzkiej odpuści! Fajne były hłopy!"

Nie brak przeto typów i rysów srogiej dzikości, namiętnego romantyzmu i bujnych zmysłów.

Jest stary zbój Jasica, podpalający chałupę własnych niewdzięcznych dzieci, jest „dziki" juhas, który, zawiedziony w miłości, „kiedy chwyci owcę najbliższą, cisnął w dół! — Latał po upłazie; wyżej trzydziestu owiec zeprał na kupę tak jako z dwóch pięter. Zrobił się wał z tych pobitych owiec."

A potem w lesie „złapie jeden konar, — pociągnie, trzask! ukruszył. Do starych smreków ze zębami skacze, korę wydziera, aż mu krew z pianą z ust bryzga: Hej! lesie, lesie! Abo jo, abo ty!"

Jest rozkochana i rozżalona Krystka; ta rywalce żagwią podpala siwe oczy. „Podpoliłak siwe ocy, jako mek."

W opowiadaniu o Wojtku Chrońcu dzikość nasycona zemstą sama dumnie pożąda kary i przechodzi w jakąś zawrotną tęsknicę:

„Ej wiaterku od pola, wiaterku wirhowy,
„Kie ci sie uhycem, sto buków przeskocem!
„Ej wiaterku od pola, wiaterku z pod turnia,
„Kie mie wisać pudom, postronek mi urwij."

Całą książkę owiewa jedyna w swoim rodzaju skalna *poezya od Tatr*.

J. Mar.

LEOPOLD STAFF. „DZIEŃ DUSZY."

Istnieje w naturze pewne ciekawe zjawisko: niektóre substancye rozpuszczone w płynie, pozostawione na powietrzu, po pewnym czasie krystalizują się w piękne twory o prawidłowej budowie geometrycznej. Zjawisko to w warunkach zwykłych zachodzi bardzo powoli, jeżeli jednak wrzucić w rozczyn jeden utworzony już kryształek, wtedy krystalizacya następuje natychmiastowo. Zdaje mi się, że na dnie psychiki zbiorowej

młodego pokolenia przelewały się już dawno w rozczynie pragnienia, które potrzebowały tylko kontaktu z gotową już (przybyłą z Krakowa) formacyą, ażeby nagle i gromadnie wykrystalizować się w wielką nostalgię światów duszy.

Więc i ostatni tom Staffa jest „Dniem duszy.“

„Dzień duszy“ — a więc wielkie święto — świat „bardziej rzeczywisty niźli rzeczywistość?“ Jakiż jest stosunek poety do tego świata? Proszę posłuchać:

Mrok kocha Dusza... W tajń upowita,
Skarby swe chowa przed blaskiem ranka...
Widziadła nocne nikną, gdy świta —
Nocą swą miłość zdradza kochanka.

W cień się osnuwa, bo cudem żyje,
A cuda dzieją się jeno w mroczy...
Noc ciemna wieńce z gwiazd złotych wije.
Piękniej, niż zdrowe, śnią ślepe oczy i t. d.

A więc znów *mare tenebrarum?*

Umyślnie przytoczyłem wiersz ten, najsłabszy chyba ze wszystkich, jakie Staff napisał, ażeby pokazać, jak obcy jest mu ten aparat modnej mistyczności. To nie jest poezya, ale wierszowanie słynnego artykułu Maeterlinck'a, który od czasu, gdy go Przybyszewski niemal żywcem zapożyczył do swego „Confiteor,“ pokutuje sporadycznie w młodej poezyi. Ta adoracya mroku i nocy nie wytrysła z samorodnego źródła twórczości poety, ale doprowadzona została przez jakieś większe poboczne dopływy: nie dość jest pisać „dusza“ przez wielką literę, ażeby wedrzeć się po za „Święte świętych“ świadomości, nie dość jest zamknąć oczy, ażeby dostrzedz wielką tajemnicę, nie wystarcza oślepnąć, ażeby stać się jasnowidzącym.

Nie w tem jest siła Staffa i nie to „jest z niego.“ Jego talent to pyszny ptak królewski; przesycony jasnością rozsłonecznionej polany życia czasem zbacza na wysokości, które spowija wilgotna gęsta mgła — *refleksya*. Lecz ciasno mu i nieswojo w tej atmosferze — więc wraca ptak królewski na jasną polanę życia, a po drodze ze skrzydeł opadają mu krople przywarłej mgły i unoszą się w słońcu, jako błękitno-złoty, zwiewny rozpar. Ma to swój odrębny, niewysłowiony urok.

Jest że to więc poezya marzenia?

Przypomnijmy jeden z najpiękniejszych wierszy w pierwszym tomie p. t. „Było to dawno,“ gdzie wobec płonącego ognia na kominku przesuwały się przed oczami wyobraźni całe korowody umarłych chwil w cudownie rozechwianym rytmie: rozelkane, rozdarte. Jakże daleki jest od tego tom nowy! Ta dawna *marzeniowość retrospektywna* wypędzona została, zdaje się, bezpowrotnie. Jeżeli nawet w wierszu p. t. „Odjazd w marzenie“ rozkazuje sercu swojemu „dzwonić na odjazd od brzegów“, to czujemy dobrze, że „marzenie — orlica drapieżna“ uniesie w kierunku wprost odwrotnym; niema tu miejsca na roztkliwianie się nad sobą samym, ale jest potężna rimbaud'owska igraszka z rozgranym żywiołem —

Na morze, kędy burza szał swój toczy,
Pędź serce moje, najszczęśliwsze z zbiegów,
W dal, bez powrotu, naprzód, po za oczy!
Tyle cię czeka śródgwiezdnych noclegów!

ukryte pod ziemią — niewidoczne oku kruszce, przez których pokłady przedostawszy się, mętne i zamulone wypływy ziemi wytryskują na światło radosnym srebrnym strumieniem. Są kolorowe witraże kościelne, przez które wpada ostry' krzyczący promień słońca — i kładzie się mistycznem światłem na sklepienia i architrawy. Są przedziwne organizacye poetyckie, jak Staffa, które, przeżywszy w sobie wrażenie przyrody, odrzucają wszystko, co materyalne i przygodne, pozostawiając tylko te, co jest jej duchem. Stąd bezcielesność, aryelowość i jakaś wiekuista wiośnianość takich wierszy, jak „Południe włóczęgi“, „W przededniu“, „Wejmuta“, „Szczęście wiosenne“. Chciałoby się przepisać tutaj wszystkie te słowa słodkie, jak miód, i pachnące, jak opył z kwiatów wiśniowych, ale trzeba by było przepisywać całe stronice. Chciałoby się także dla kontrastu pomówić o innych wierszach tego tomu, których cechą jest skupiona moc a nawet istotna groza, jak „W mroku“, „Matka“, „Drogowskazy“, a przedewszystkiem przepyszne —

słynne już dzisiaj „Pieśni szaleńca“, ale zaprowadziłoby mnie to za daleko.

Ponad wszystkimi bowiem motywami dzwoni w tomie tym najcudniej i najgórniej złota pieśń płodności. Z twórczej głębiny marzenia odrywają się, wzlatują i kołyszą, jak obłoki, jasne widzenia sadów okwitających o wiośnie. Niesłychane baśnie, zrodzone w złotej duszy słońca i modlące się kornie o święty cud macierzyństwa.

Umiłowanie kobiety i umiłowanie natury, mądrość głęboka i pożądanie namiętne, pulsowanie krwi gorącej i rozgwar soków rodzącej ziemi — wybujały tam w jakiś pierwotny, rozkoszny, pieśniowy myt, którego każda strofa dzwoni, jak śpiew skowronka.

Płodność! A więc wszystkie akty wielkiego mysterium, począwszy od pierwszego zapłodnienia „oblubienicy ziemi“ przez „oblubieńca—słońce“ aż do końcowej apoteozy żniwa — uroczystego „dnia pracy“, aż do narodzin tego syna, któremu matka jednego tylko życzy:

„Nie mieć nigdy druha
„I być godnym mieć wielkiego wroga.

Jakże piękną jest pieśń poczęcia, pieśń kwiatów, snujących cicho sny swoich woni, kiedy nagle „w łonie ich drgnął płód“, jaka słodka melancholia tej woni, którą „wygnał sad“ z chwilą, kiedy przekwitła baśń wiśniowa i rozpoczęło się „długie szczęście“ — woni, do której porównywa się sam poeta, tworząc jedną z najszczęśliwszych i najgłębszych metafor poezyi dzisiejszej!

Lecz oddaćby można cały tom za te pięć sonetów, które są pieśnią żniwa i rodzenia („Dzień pracy“). To już nie „sny o potędze“, które raziły często forsownym krzykiem, ale dożynkowa spowiedź duszy twórczej, świadomej swej istotnej skupionej mocy. Jest wielka prostota i dostojność w tem „otwieraniu dla innych zaworów swej chaty“, jest coś ewangielicznego w tej wielkiej rezygnacyi z własnego dobytu, „kiedy Bóg dopuści i grad przyjdzie z tuczą.“

A forma a wpływy? Nie trudno by tu pochwalić się wymienieniem kilku nazwisk swoich i obcych, ale lepiej oszczędzić sobie tej łatwej satysfakcyi. Wiele z tych wierszy rozwija się w sposób zupełnie muzyczny, nie w znaczeniu dźwięczności wiersza i rytmiczności strof, lecz w tem znaczeniu, w jakiem nazwałbym utworem muzycznym takie np. „Dziewice skalne“ d'Annunzia, niektóre hymny Kasprowicza lub „Wiszące ogrody“ Stefana Georgego: falowanie stanów psychicznych w wewnętrznym rytmie.

WŁ. STERLING.

WIKTORYA PRZERADZKA. „FRAGMENT.“

Postać bezdomnego chłopca Józwy z „Fragmentu“, rzuconego z dzikiego środowiska sfer niższych na blade anemiczne tło filisterskiego mieszczaństwa — gdzie jedna tylko Zofia usiłuje szukać siebie, drogi swej i życia — odbija wyraziście. Przyznać trzeba, że malec ten odważnie choć dziko broni swego „ja“ przed zamachami bezmyślnej surowości lub pogardliwego lekceważenia i poza surową nieugiętą siłą nosi w piersi serce wrażliwe i dumne. Jest to urodzony włóczęga i samotnik, jeden z wielu wydziedziczonych a nieuległych, pokrewny z ducha bohaterom Gorkija, tylko że tamci więcej mają inteligencyi i poezyi, a przeto więcej interesują.

Charakterystykę malca autorka przeprowadziła rysami śmiałymi, często brutalnymi, bez zbytniej rozciągłości.

L. CHOR.

ELLEN KEY. „KOBIETA.“ Z CYKLU „SZKICE.“ PRZEKŁAD ADY SILBI.

Wszystko, co jest spotęgowanym wypływem życia wewnętrznego, jednostki, jej gorącej szczerości, wiary, smutku, rozpaczy, radości lub szału — bez względu na to, czy przedmiot, którym się ona w danej chwili zajmuje jest zagadnieniem chwili czy pytaniem odwiecznem—

jest pięknem. Do zakresu piękna zaliczyć wypada studyum Ellen Key, nie ze względu na oryginalną, twórczą pracę myśli — bo tej niema, lecz ze względu na głęboką szczerość i gorącą wiarę, z jaką wypowiada się autorka szwedzka, odsłaniając w ten sposób własną duszę. Jestto dusza wrażliwa i niesłychanie optymistyczna, subtelna i stęskniona, jedna z tych dusz kobiecych, które nie znoszą ciężkiego brzemienia ponurych prawd, a przeto uciekają na samotne wyspy marzenia.

Jądrem szkicu Ellen Key „Kobieta“ jest wrzące przekonanie, że z czasem, pod wpływem pogłębienia duchowego, „zbudzi się w nas poczucie „świętości rodzaju“, takie zrozumienie warunków zdrowia, siły i piękności rodzaju, że wszelkie współżycie małżeńskie, oparte na motywach światowych, czysto zmysłowych, rozumowych lub obowiązkowych, uważanem będzie za występne fałszowanie najwyższych wartości życia, i że wolni od przymusu w znaczeniu prawa lub opinii, zespoleni głęboką a swobodną miłością, mężczyzna i kobieta dadzą ludzkości „religię szczęścia“.

Głos ten szczery i wymowny rozlega się dziś, gdy rozdźwięk między mężczyzną a *kobietą* spotęgował się, a szeroki prąd współczesnej myśli i artyzmu widzi w niej siłę zgubną, wrogą, od mężczyzny — różną, duchowym jego pracom obcą i na nie obojętną. Znamieniem chwili jest pewne rozczarowanie i niechęć względem kobiety, jako wartości psychicznej. Ellen Key z właściwym sobie nieco słodkim optymizmem sądzi, że wrogość płci jest tylko... nieporozumieniem. „Chłopcy i dziewczęta, młodzieńcy i dziewice, mężczyzni i kobiety posiądą dzięki wspólnemu wychowaniu, pracy wspólnej i koleżeńskiemu ze sobą przestawaniu wzajemne zrozumienie się, a to wytępi wrogość stosunków płci obojga“.

Sylwetką kobiety przyszłości kończy Ellen Key swe poetyczne studyum. (Nawiasem mówiąc, sylwetka ta tchnie tak dalece duchem Maeterlincka, że jest niemal parafrazą jego myśli „O kobietach“ z cyklu „Le trésor des Humbles“).

Kobieta przyszłości dzięki swej zagadkowej i bezpośredniej, żywiołowej i pełnej przeczuć naturze, uchroni ludzkość od niebezpieczeństwa hyperkultury. Wbrew wiedzy będzie ona obstawać przy tem, co niepoznawalne, wbrew logice—przy uczuciu, wbrew faktom — przy możliwościach, wbrew analizie — przy intuicyi. Kobieta przyczyni się przedewszystkiem do wzrostu duszy, podczas gdy mężczyzna — do wzrostu inteligencyi. Ona powinna rozszerzyć sferę przeczucia, on — sferę rozumu, ona — miłość urzeczywistniać, on — sprawiedliwość; ona zwycięża przez fantazyę, on — odwagą.

L. CHOR.

W. PRESSER. „STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI,“ STUDYUM LITERACKIE.

Pojmowanie sztuki przez Przybyszewskiego i jej przedmiot; dusza artysty, posiadająca świadomość absolutną czyli transcendentalną; stany, w których przejawia się świadomość absolutna (ekstazy, przeczucia, miłość, zachwyt, wizye, somnambulizm...), przeciwstawność świadomości zmysłowej i absolutnej; pojęcie nagiej duszy, jako zespołu objawów niezależnych od woli, sumienia i logiki — oto zasadnicze kwestye, o których autor w studyum swem mówi źwięźle i zrozumiale. Jestto najlepsza część pracy, rozpraszająca mgłę, którą dla ogółu przesłonione jest credo filozoficzne Przybyszewskiego. Następnie krytyk zastanawia się nad genezą twórczości dni dzisiejszych, do której pobudką były nowe odkrycia w dziedzinie psychologii, fizyologii i antropologii, nad stosunkiem Przybyszewskiego do Nietzschego, Szopena, Oli Hansona i innych duchów pokrewnych. Zestawienie Przybyszewskiego z Nietzschem nasuwa mi myśl, jak niejednolitą, rozłamaną wewnętrznie i nielogiczną jest artystyczna natura Przybyszewskiego w porównaniu z tężyzną Nietzschego, który miał w sobie dość

gwałtownego, ognia aby stopić w jedną świetną bryłę sprzeczne pierwiastki duchowe. Przybyszewski—uznając, że naga dusza nie działa według własnej woli, że staje się igraszką i narzędziem strasznych demonów i niszczących sił — każe jednak swym bohaterom straszliwie pokutować za winy popełniane w chwili, kiedy wola ich została zabita a mózg puszczony «w niesłychanie szybki obrót około swej osi». Nietzsche—uznając w sobie bolesną rozterkę człowieka dzisiejszego i jego bezradność—wzniósł się do marzenia o przyszłości. Przybyszewski odtwarza zgrozę dnia dzisiejszego — jest głębokim Halistą. Tragizm jego bohaterów—to tragizm istot wtłoczonych między żywiołowe potęgi a sumienie.

Dokładne streszczenie utworów beletrystycznych, poematów i dramatów Przybyszewskiego jest niepoślednią zaletą studyum p. P., lecz poglądy jego i ich uzasadnienie są chwiejne i mało przekonywające w skutek tego, że nie ma on ani temperamentu ani silnej, skupionej indywidualności artystycznej. To zgadza się z teoryą Przybyszewskiego co do stanów, w których «ja» zdławione zostaje przez siły żywiołowe, to wyraża się o tej hypotezie z niesmaczną żartobliwością. [«Falk systematycznie dążył do tego, aby Marytę zniszczyć — przepraszam, to nie on, lecz ta nieuczciwa natura, co w nim siedziała, do tego dążyła, czemu on nie mógł przeszkodzić. str. 81]. To zdaje się pamiętać o tem, co mówi bohater «Mszy pogrzebowej»: «Nie znam nic prócz swoich wrażeń, a przedewszystkiem nie znam żadnej przyczynowości, tylko nieskończoną ciągłość wrażeń — a czy pasmo tej ciągłości logicznie się rozwija, czy nie, to również mnie nic nie obchodzi»; to znów żąda od owego bohatera logiczności i konsekwencyi, a nie znajdując ich, mówi: «...z bredniami bohatera «Mszy Pogrzebowej» wcale liczyć się ani trzeba, ani można». O Gordonie z «Dzieci Szatana» wyraża się, że «nieumotywowana żądza zniszczenia przyczyniła się do obniżenia artystycznej wartości tej postaci». Jeśli tak, jeśli popęd żywiołowy, nielogiczny obniża wartość artystyczną postaci, to wszyscy bohaterowie Przybyszewskiego są mało warci i jego pojmowanie sztuki jest zgoła błędne, czemu znów przeczą inne sądy, w książce tej wypowiedziane. Wogóle, zdarzają się w niej surowe sprzeczności, tkwiące w niedość sharmonizowanej i jednolitej osobistości krytyka.

Streszczając się krótko, powiem:

Studyum p. Pressera jest rodzajem pożytecznego podręcznika dla osób, które same rozejrzeć się w labiryncie twórczym Przybyszewskiego nie potrafią, lecz nie jest dziełem *krytyki artystycznej*.

L. CHOR.

SEWER. «MICHAŁ KOPEĆ. W LESIE. Z KRAKOWA DO MEDYOLANU».

Z pisarzy starszego pokolenia zmarły niedawno Sewer jako osobistość artystyczna ma swój wybitny wyraz i wartość. Sewer — to słoneczna jasność, pogoda, uśmiech, szczerość, żywy, kipiący temperament, barwność... Nie należy wymagać od natury tak lotnej i zwiewnej poważnego skupienia, upartego a głębokiego wglądania w głąb rzeczy, w tragizm losów ludzkich, w zagadkę życia. Sewer ślizga się po powierzchni, ale z wdziękiem i poczuciem smaku.

Ruch jego jest wytworny, pojęcia, dzięki żywej a zdrowej naturze, dalekie od tkliwej obłudy lub ciężkości. Atmosferę jego przesyca słońce i zapach kwiatów. Nie opuszcza go bogini lekkomyślnych — wiecznie uśmiechniona nadzieja.

Za dowód tych uwag służyć może „Michał Kopeć.“ Temat opowiadania z natury dość posępny: bieda chłopska i emigracya do Ameryki. Pod piórem Sewera przetwarza się rzecz cała w pełną chłopskiego hartu i śpiewek wyprawę po złote runo. Niema ani roztkliwienia nad chłopem, ani lamentu nad obywatelem ziemskim. Najbardziej uderza Sewera moc chłopa i jego niespożyta wytrwałość, a emigracya

w oświetleniu autora jest zjawiskiem normalnem i zdrowem, jako kulturalny popęd do dobrobytu.

«W lesie» — lekko zarysowany zatarg między słabym z charakteru dziedzicem Będzina a tęskniącą do życia inteligentną Hanią — nie posiada żywszych zalet ani w charakterystyce postaci nieco wymuszonych i przesadnych, ani w pogłębieniu i szczerości zasadniczego tonu.

W opisie wrażeń z podróży «Z Krakowa do Medyolanu» występuje znów Sewer w czystości swych rysów charakterystycznych. Szlachetna wrażliwość na krzywdy, których żywioł słowiański doznaje pod panowaniem Węgrów, i na piękno artystyczne Włoch — oto dwa zasadnicze tony w kalejdoskopie żywego opowiadania turysty.

L. CHOR.

Kronika Sztuki.

TEATR.

„PROTESILAS I LAODAMIA“ STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO NA SCENIE KRAKOWSKIEJ.

...Nowa idea artystyczna o teatrze, nowa forma, w której sztuka dramatyczna wyrażać się będzie mogła... Oto zasadnicze wrażenie, z jakiem się teatr opuszcza po przedstawieniu „Protesilasa i Laodamii“. I wrażenie to bynajmniej nie przesadne, nie zrodzone z bezkrytycznego tylko entuzyazmu; przeciwnie, sądzę, że kto widział na scenie „Warszawiankę“, „Wesele“, „Wyzwolenie“, „Bolesława Smiałego“, przedewszystkiem „Protesilasa i Laodamię,“ jeśli tylko utwory te odczuł, zrozumiał, nimi się przejął, zgodzi się bez wahania na to, że pierwszym prawdziwym reformatorem teatru w kierunku istotnego, celowego piękna stał się u nas dopiero Stanisław Wyspiański.

Na czemże ta reforma polega? W czem wyraża się nowa idea artystyczna, nowe (nie znajduję skromniejszego wyrażenia) objawienie w sztuce dramatycznej? Do czego zmierza, do czego dąży ten „Teatr nowy“, o którym z takiem utęsknieniem mówi Konrad w „Wyzwoleniu“? Odpowiedź prosta, jak zawsze, gdy idzie o rzeczy istotnie artystyczne, istotnie twórcze. A więc: „na scenie strona zewnętrzna nie mniej jest ważna, jak wewnętrzna; poezya pociągnąć musi do współpracownictwa inne sztuki piękne, by dopiero przez współdziałanie – w danym wypadku słowa i obrazu – wytworzyć nastrój całkowity, zupełny, estetyczny“. Myśl głęboka i przy całej swej prostocie bardzo daleko idąca: oto teatr, martwiejący w rutynie dawno przeżytych środków artystycznych, dążyć ma do tego, by ze syntezy kilku sztuk wydobyć – szczere, czyste piękno. A więc *całość* przedstawienia scenicznego mieć musi charakter artystyczny. Dekoracye, kostyumy, *mise en scéne*, ugrupowanie aktorów, gesta, ruchy, *ensemble* zbiorowy, muzyka międzyaktowa, – wszystkie te czynniki rzeczy jednej i nierozdzielnej, zmierzać muszą w harmonijnem współdziałaniu do stworzenia wrażenia estetycznego. Ustąpić musi dawna konwencya, zniknąć muszą banalne szablony, z którymi teatr zrósł się i zżył oddawna na istotną szkodę dzieł wystawia-

nych. W wykonaniu i doskonaleniu tego dążenia leży przyszłość teatru, leży nadzieja ponownego zwrócenia sceny, służącej dziś samozwańczej sztuce „popularnej“ — na te szlaki i drogi, któremi idzie i rozwija się sztuka prawdziwa.

Tylko tyle? — zapytać kto może. — Bardzo dobrze i pięknie — ale myśl tę dawno już rzucono, dawno wprowadzono w czyn w Europie. Wypowiedział ją przed laty Ryszard Wagner „największy poeta dramatyczny epoki jeszcze współczesnej i najznamienitszy w Niemczech znawca sceny“. Wszak już oddawna poezya, muzyka, malarstwo, — *die drei Schwesterkünste* — w twórczej działalności Wagnera połączyły się w jedno: tam więc, u Wagnera, szukać należy inicyatywy, tam trysnęły źródła odrodzenia.

Bezwątpienia. Idea Wagnera i idea Wyspiańskiego są sobie bliskie i pokrewne. Pokrewieństwo to jednak nie wyklucza zupełnej samodzielności Wyspiańskiego, nie wyklucza tego naocznego faktu, że twórczość Wyspiańskiego, do tego samego może zmierzając celu, idzie drogami zupełnie innemi, drogami własnemi i niezależnemi. Idea Wagnera w ogólnym zarysie zdaje się być szerszą i wszechstronniejszą: w teatrze Wyspiańskiego muzyka istnieje tylko w melodyi i rytmiczności wiersza — wyraża się słowem a instrumentem jej mowa ludzka; u Wagnera muzyka, pomimo wszystko, jest jednak podstawą, artystycznym fundamentem całości. Za to u Wyspiańskiego widzimy najściślejsze zespolenie poezyi i malarstwa, zespolenie tak zupełne, że podobnego przykładu u innego artysty szukalibyśmy napróżno. W teatrze Wyspiańskiego — jak na to wskazują wszystkie dotychczas grane jego utwory — strona malarska i tekst poetyczny stanowią jedną nierozdzielną całość: dopełniają się wzajem, łączą ze sobą, wypływają ze siebie. A więc ani obraz sceniczny nie jest li tylko ilustracyą tekstu, ani tekst nie jest rodzajem jakby *libretta* do żywego obrazu: nie — obraz i tekst są jedną artystyczną całością. Tam gdzie usiłowanie twórcze zostało uwieńczone rezultatem, gdzie pomysł się nie wykoleił, niema przewagi jednej sztuki nad drugą, niema przez to dysonansu. W niejednej scenie teatru Wyspiańskiego harmonia artystyczna stanęła na wysokim stopniu doskonałości.

A dalej rzecz druga: twórczość Wyspiańskiego bojowniczo wprost zdobywa scenę dla wielu takich pomysłów, wobec których scena dawniej niewolniczo wyrażała swą bezsilność. Chwilami zdaje się, że Wyspiański pokazał i dowiódł, jakoby nie było, „rzeczy niescenicznych“, jakoby nie było takiego artystycznego pomysłu, któryby się nie dał dramatycznie wyrazić. W akcie drugim „Wyzwolenia“ — Konrad walkę toczy wewnętrzną z myślą swą własną i myślami cudzemi, które, nalatując natrętnie, duszę mu chcą osłabić, zgiąć, złamać. I oto scena teatralna pomysłowi prawie nieuchwytnemu — za natchnieniem artysty-plastyka — nadaje silny wyraz dramatyczny: rzecz w czytaniu nużąca, dziwnie pokombinowana, zawiła, na scenie staje się żywą. Akt 3-ci „Bolesława Śmiałego“ jest udramatyzowaną wizyą, idącą przez stulecia; widmowy sen królewskiej umęczonej duszy działa intensywną, plastyczną realnością. Świetnie ta „nowa“ twórczość poety objawiła się także, gdy inscenizował „Dziady“ Mickiewicza. Przykładów podobnych z dzieł Wyspiańskiego przytoczyćby można wiele. Dowiódł, że „scena teatralna jest szersza, niż się pozornie wydaje“, dowiódł, że mieścić w sobie ona może zwycięsko najbardziej różnolite rodzaje twórczości.

Życie duszy — życie w osławionym „czwartym wymiarze“ — życie snu i cudowności,

życie jawy, przechodzącej w marzenie, w którem czas i przestrzeń nie są już jedyną formą ludzkiej myśli i ludzkiego odczuwania—życie więc pełniejsze i bogatsze, za jego sprawą pokazało się na scenie jako stworzona niemal nowa forma dramatu. I to jest właśnie „zdobycz" poety, to jest jego próba wypowiedzenia „wielkiego, nowego słowa."

I czy tej próbie teatr ze swymi różnorodnymi środkami i swą bogatą, giętką skalą wypowiedzenia się, podołać może? Niewątpliwie. Inna sprawa: czy dziś już podołał? czy cel osiągnął? Choćbyśmy jednak teatr Wyspiańskiego w tej formie, w jakiej dziś istnieje, uważać mogli tylko za szukanie dopiero drogi nowej, choćbyśmy przyznać musieli, że „typ dramatu idealistycznego" w całej, bezwzględnej doskonałości stworzony jeszcze nie został—w każdym razie zaprzeczyć nie będziemy mogli, że w usiłowaniu artystycznem tego i może dziś tylko tego poety — leży nadzieja „wyzwolenia" teatru i odrodzenia go w pięknie wieczystem, w pięknie dla samego piękna istniejącem. Dotychczasowa twórczość Wyspiańskiego zbyt wiele jeszcze posiada nierówności, zbyt często jeszcze mąci się nerwowym niepokojem, byśmy ją przyjąć mogli za ostateczną sankcyę samego artystycznego dążenia. Sankcyę tę dać może tylko arcydzieło skończone. I oto drogi toruje Wyspiański temu arcydziełu, które napisze on sam, albo ktoś inny—*peu importe*, byle ono powstało!

❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀ ❀

Wróćmy do *Protesilasa i Laodamii*. Tragedya ta napisana została i ogłoszona drukiem w r. 1899. Jako rzecz literacka, powinna więc być oddawna dobrze znana i jest zapewne znana ludziom, którzy się sztuką zajmują. Nie będę wiec tu podnosił piękności jej wiersza, nie będę przypominał, jak dziwnie, jak artystycznie, łączy się w niej u Wyspiańskiego przedziwny liryzm serca czysty, niezmysłowy, platoński, z namiętnością cielesną wprost wybuchową, trawiącą jak ogień, silną i przejmującą jak błyskawica, wyprzedająca uderzenie gromu. Myślę, że są w „Protesilasie i Laodamii" tony tak głębokie, tak bezpośrednie, tak „metafizycznie" zmysłowe, iż w polskiej twórczości jeden tylko Przybyszewski w „Wigiliach" na ten sam wyraz artystyczny tęskniącej miłości zdobyć się umiał. A wyraża się ta tęsknota w formie niesłychanie prostej, słodkiej, usypiającej czarem szczerości. Pisał przed kilku laty Kazimierz Tetmajer studyum o Wyspiańskim (nad wszelką miarę entuzyastyczne), w którem zupełnie słusznie do niektórych ustępów wiersza „Laodamii" zastosował słowa, które niegdyś o Słowackim wypowiedział Zygmunt Krasiński.

Bo jest istotnie „przedziwnością języka polskiego" wiersz taki:

Byłeś mi jak ten dzień i płomień,
ja w twych ramionach byłam róża;
czemuż się wprędce dzień zachmurza,
czemuż Amorów zgasa płomień?
Precz cię odemnie żenie burza,
a róża twoja zwiędła zsycha; —
za cóż mi Orkus cię porywa;

rany to duszy mej najkrwawsze,
dusza do twojej tęskna wzdycha, —
tyś mnie stracony na zawsze.
Płomienne ramion twych uściski
w mych snach mię dzierżą, gonią;
namiętne w oczach żary, błyski
w mych snach me lica płonią; —
wróć do mnie, wróć, — choć jedną chwilę, —
niech będę z tobą zespolona;
wróć do mnie, wróć, — choć jedną chwilę, —
niech nieszczęśliwa, zszczęśliwiona
rozkoszy zaznam ja wzgardzona,
która samotna legam w łożu; —
za cóż mi Orkus cię porywa,
nie będąż bogi mnie łaskawsze,
dusza ku twojej gna w przestworzu:
na puszcz piekielnych gna bezdroże...

I oto w ten sposób tęskni, płacze, żali się i skarży Laodamia, królowa samotna,— tęskni za mężem bohaterem, który zginął na wyprawie przeciw Trojanom. Zginął, bo się poświęcił za swych towarzyszy; zginął, bo przeniósł sławę we wieki potomną nad najdroższy dar miłości; zginął, bo w żyłach mu płynęła krew ta sama, co Kodrusa rzuciła na oszczepy wrogów, a Leonidasa „trup nagi“ w Termopylach otoczyła aureolą wiecznego bohaterstwa. Zginął, choć w domu żona pieszczotą go zatrzymała, zginął, choć „dopiero życia się zaczęła snować nić; jeszcze jej Kloto nie ujęła z krążla wić.“ Pozostała po nim wdowa samotna, piękna, młoda, pozostała w zamyślonej krainie wspomnień utraconego szczęścia.

Wznosi się kurtyna: Portyk kolumnowy; w głębi za kolumnami widać gaj cyprysów, w pośrodku gaju białą stelę grobowcową; tłem — skały nadmorskie i złote niebo zachodu. Tak chce informacya poety: mamy przed sobą widok, zdawna nie oglądany w teatrze; kołysze on duszę w czar dziwnej kontemplacyi i zamyślenia. I oto wiemy teraz i wierzymy, że na tle tego spokoju, tej powagi i tego piękna, do którego poeta przyniewolił teatr — będziemy mogli artystycznie rozpamiętywać i artystycznie odczuwać jego dzieło.

Ten sam zmysł malarsko-estetyczny widnieje i w figuralnych kompozycyach tragedyi. Chór dziewcząt służebnych, śpiewak Aoides, wielbiący przed Laodamią bohaterski zgon jej męża, postacie fantastyczne doskonale zestrojone są z myślą przewodnią poety i doskonale jej celom służą. Zwłaszcza w postaciach fantastycznych wyobraźnia Wyspiańskiego roztacza dziwne bogactwo twórczych pomysłów. A więc na pierwszem miejscu Nuda — „w sukniach czarnych, w białe obręcze naszywanych; kamienna, posągowa, leniwa,“ obok Laodamii „usiada milcząca i mówi długie powieści milczeniem: powieści ciche,

które snuje z marzeń ciągłe i niezmienne" — Nuda, siostra i pani przemożna nad Laodamią. A potem Sen, „mający skrzydła młodzieniec, w szacie przejrzystej na ciało nagie, marmurowe; głowa młodego chłopca utrefiona w lokach złotych; mieni się cały po swych szatach barwami, które się co chwila zaćmiewają" — przychodzi uśpić Laodamię „szumem i gwarem wód." Ona powolną ku niemu chyli głowę; dotyka jej tajemnych sił wysłaniec, w ręku jego „makowe badyle i główki owocu dostałe, zeschłe." Za snem wnet zbiega z powietrza Zmora „w postaci straszydła o barwach szarych; ze skrzydłami błoniastemi ćmy puszystej, strojnej dziwnymi zygzaki; z wielką maską ćmy na głowie i latającemi białemi oczyma; wzdłuż peplosu purpurowe pręgi."

Oto królewska iście fantazya, oto istotny twórczy dar przedstawienia realnego tych światów, które w duszy ludzkiej drzemią utajone, nieznane, a tak ogromnie piękne!

Po pierwszem zaraz przedstawieniu „Laodamii" dały się słyszeć zarzuty, że jednak w tragedyi tej element malarski przeważa nad poetyckim, że wskutek tej widocznej przewagi, dzieło całe na scenie robi wrażenie pantomimiczne. Zarzut ten wydaje mi się usprawiedliwionym. A właściwej przyczyny dysonansu upatrywać by można zapewne w nadużyciu czysto malarskiej strony obrazów: niektóre motywa powtarzają się, a tem samem nużą, w niektórych mechanika sceniczna płoszy wrażenie brutalnością. Przytem w teatrze i z innych jeszcze przyczyn wrażenie samo przez się silne, niezależnie od woli i dobrych chęci widza, słabnąć może i niknąć. Tragedya Wyspiańskiego, jak wspomniałem, usposabia przedewszystkiem kontemplacyjnie, bo jest utworem *par excellence* pełnym zamyśleń i suggestyi. Otóż niewielu ludzi posiada organizacyę zdolną do kontemplatywnego odczuwania: tym wszystkim wydawać się zawsze będzie, że w „Laodamii" są ustępy niedopowiedziane, czy niewyrażone. Na to niema rady. Z drugiej strony, na jednostkę nadmiernie nawet wrażliwą — oddziaływać musi w teatrze psychologia tłumu — publiczności. Stąd utwór, w którym to wszystko, co jest dramatem, wyraża się przedewszystkiem obrazowo, pełne wrażenie w teatrze dawać może: albo wtedy gdy publiczność do nowej formy się już przyzwyczai, albo gdy się przeprowadzi ściślejszy *census*.

Nie śmiałbym twierdzić, że tragedya to doskonała, pozbawiona usterek i braków. Wydaje mi się raczej w twórczości Wyspiańskiego jednym z pierwszych etapów poety na drodze do doskonałego piękna, do którego ustawicznie i wytrwale, a coraz skutecznie zmierza.

KRAKÓW. KONRAD RAKOWSKI.

„SAMSON I DALILA," OPERA W III-ech AKTACH. LIBRETTO F. LEMAIRE'A; MUZYKA SAINT-SAËNSA.

Saint-Saëns jest jednym z najosobliwszych typów kompozytora epoki ubiegłej; osobliwość ta nie leży jednak bynajmniej w jego dziełach, lecz w jedynej w swoim rodzaju karyerze muzycznej.

W kompozycyi równie płodny jak niewybredny – chwile prawdziwego natchnienia miewał rzadko; — miewał je jednak i dzięki temu stanął o tyle wyżej od współczesnych sobie „vielschreiberów“ muzycznych – jak Schumann nazywał swych łatwo i byle pisać nuty komponujących kolegów.

Nie opuścił ani jednej gałęzi twórczości muzycznej, a więc pisał według potrzeby: sola skrzypcowe – wiolonczelowe – „kawałki na fortepian“ – symfonie – utwory na organy – balety – msze – kwartety – fantazye z oper na 4 ręce etc., a nadto skomponował do dziś dnia osiem oper, których objętość jednak nie zostaje w prostym stosunku do wartości. Ani „Le timbre d'argent,“ ani „La princesse jaune,“ ani „Etienne Marcel,“ ani „Henri VIII,“ ani „Proserpina,“ „Ascanio“ lub „Fryne“ – nie utrzymały się dłużej na repertuarze scen nawet francuskich. Jedyna opera, od 25 lat dawana stale — to „Samson i Dalila.“

Miał Saint-Saëns jedną szczęśliwą epokę w życiu – epokę, kiedy tworzył swe poemata symfoniczne „Danse macabre,“ „Jeunesse d'Hercule,“ „Phaeton“ i „Rouet d'Omphale“; w dziełach tych nie zbyt głęboki, był przynajmniej niepodzielnie sobą – miał swój styl; w dziełach późniejszych owa indywidualność pokazuje się rzadziej – ustępując w ostatnich zwłaszcza rzeczach suchej, mechanicznej, choć mistrzostwa pełnej robocie mózgu.

„Samson i Dalila“ łączy w sobie wszystkie przymioty i wady twórczości Saint-Saënsa. Są w tej muzyce miejsca bez polotu, suche i blade, są i momenta natchnione o pięknej, choć ckliwej trochę melodyjnej linii.

Saint-Saëns, muzyk starej daty, nie wdawał się w problem dramatu muzycznego; to też niepodobna sądzić dzieł jego ze stanowiska seryo dramatycznego; p. Lemaire napisał sobie libretto, zbudowane według pewnego scenicznego umiejętnego zresztą szablonu, na to tylko, ażeby pod nie podłożono melodye—i bez oglądania się na dramatyczność, której odbiciem i tłomaczeniem byłaby muzyka. Zresztą nie wymagał tego zgoła i sam kompozytor, który chciał mieć przedewszystkiem tekst ułożony w ten sposób, aby mieć pole popisu dla wszystkich czynników, w grę wchodzących, a więc chórów, baletu, a najgłówniej oczywiście solistów. Ci jednak nie śpiewają już tercetów i kwartetów na włosko-meyerbeerowską modłę, lecz poprzestają jedynie na duetach.

W pierwszym okresie odbywa się nieproporcyonalnie dużo akcyi (cała działalność powstańcza Samsona – jego zwycięstwo nad Filistynami oraz poznanie z witającą go – jako bohatera — Dalilą). Nagromadzenie takiej ilości zdarzeń w jednym rozdziale jest istotnie możliwem jedynie — w operze, i świadczy dostatecznie, że nie mamy do czynienia z na seryo pomyślaną pracą literacką. Akt drugi i trzeci nieco lepsze. Drugi przedstawia zdradę, uknutą przez Dalilę i arcykapłana, której ofiarą pada wódz Izraela, pokonany odurzającymi wdziękami córy filistyńskiej.

Akt III-ci to ekspiacya czynu. Przykuty do żaren (dlaczego na scenie nie jest istotnie przykuty?), Samson biada nad swym czynem i losem i błaga Jehowę o siłę, aby mógł wybawić swój lud i naprawić krzywdę, którą mu uczynił przez swój upadek.

W ostatniej odsłonie, której część pierwszą wypełnia tańczona „Bachanalja“, wśród tłumów zebranych w świątyni Dagona zjawia się ślepy Samson, prowadzony przez chłopca. Wyszydzany przez lud, arcykapłana i samą Dalilę, przypominającą mu cynicznie chwile rozkoszy, wśród gorących modłów czuje w sobie powracającą moc; poprowadzony

na urągowisko, aby hołd złożył Dagonowi, wstrząśnieniem kolumny obala świątynię i grzebie lud cały wraz z sobą pod gruzami.

Muzycznie najlepszym jest akt drugi, u Dalili, ze swą znaną (na estradach koncertowych często śpiewaną) aryą: „mon coeur s'ouvre à ta voix", dającą świetne pole do popisu dla mezzo-sopranu. W pierwszym akcie muzycznie interesujące są chóry początkowe (z fugą) — dosyć oryginalny i wcale ładny taniec kapłanek (tańczony zbyt skocznie i banalnie; samo tempo i charakter muzyki prosi o więcej spokojną linię ruchów) — oraz bardzo udaną końcową aryę Dalili: „Printemps qui commence—portant l'espérance."

Drugi, prawie cały, z wyjątkiem wstępu, brzmiącego chudo i bezbarwnie, jest ładny—choć po za znaną aryą nigdzie nie porywa; w trzecim wcale niezła jest muzyka baletowa — oraz silnem dosyć zakończenie. Zato modlitwa Filistynów do Dagona — wprost słaba i zamiast podnosić obniża pod koniec wrażenie, uratowane dopiero ostatnimi kilkudziesięcioma taktami: wezwania Samsona i zburzenia świątyni.

Role tytułowe spoczywały w rękach włoskich gości: panny Pozzi i p. Cosentino. Oboje posiadają dużo zalet wokalnych—ale nie wiele ponadto. Aryę w II-gim akcie śpiewała panna Pozzi bardzo porządnie, acz bez należytego temperamentu; pan Cosentino, któremu brak warunków fizycznych, a przedewszystkiem okazałego wzrostu, posiada głos niezły i artystycznie owładnął partyą. (Resztę ról objęli pp. Grąbczewski—bardzo dobry jako arcykapłan—Sillich, jako stary żyd—Dyliński, jako satrapa Gazy Abimelech, który w I-ym akcie ginie z ręki Samsona).

Przygotowanie chórów zasługuje na wielką pochwałę—zwłaszcza podkreślić należy chór żeński w I-szym akcie.

Balet miał przed sobą wdzięczne zadanie, ale nie wywiązał się z niego ani pod względem kostyumów, ani co do układu tańców. Banalność i szablonowość ruchów, złe nawet w „Przebudzeniu się Flory" lub „Ewie", powinny ustąpić miejsca jakimś artystycznym pomysłom. Dobrą do tego sposobnością jest taniec kapłanek starożytnych, posiadający muzykę bądź co bądź nastrojową. W miejsce jedwabnych w kwiatki sukienek z gorsetami i zawsze powtarzających się *pas* kankanowych — szaty powłóczyste, ruchy, wystudyowane z jakichś starożytnych fryzów, poczucie piękna, stylu i linii nadałyby całemu przedstawieniu cechę kunsztowną. Ale cóż, kiedy rozstrzygającymi czynnikami przy wystawieniu opery są i będą u nas: pomysłowość teatralnego dekoratora, rutyna baletmistrza i doświadczenie teatralnego krawca. W teatrze krakowskim, nie posiadającym ani środków materyalnych ani sił wybitnych, artystyczne i stylowe wskazówki pochodzą od ludzi, mających poczucie stylu; Wyspiański przy wystawianiu swoich sztuk walczy o drobiazgi z krawcem teatralnym, póki nie postawi na swojem, a rad udzielają i Wyczółkowski, i Włodzimierz Tetmajer, i inni powołani.

Dzisiejsze wymagania estetyczne wobec teatru są tego rodzaju, że rutyną obejść się ich nie da, a rada i zdanie artysty fachowca lub kogoś, mającego wykwintne zrozumienie stylu, byłoby bardzo na miejscu. Są to pobożne życzenia, które się budzą w sercu na przedstawieniach w teatrze wielkim.

H. OPIEŃSKI.

TEKA TOWARZYSTWA GRAFIKÓW. CIĄGLIŃSKI. SZYMANOWSKI. PANKIEWICZ.

W Salonie Krywulta przez krótki czas wystawiany był na widok publiczny pierwszy większy zbiór autolitografii, wydanych u nas—właściwie zaś w Krakowie. Litografie te w połączeniu z oryginalnemi akwafortami Pankiewicza i Łopieńskiego, fluorofortą Wyspiańskiego oraz oryginalnym drzeworytem Procajłowicza tworzą razem tekę; litografii dostarczyli Wyczółkowski, Malczewski, Chełmoński, Mehoffer, Weiss, Aksentowicz, Stanisławski, Ruszczyc, Tichy, Trojanowski. Cała teka jest wydawnictwem towarzystwa „Grafików," założonego staraniem F. Jasieńskiego. Na początek parę słów objaśnień. Autolitografia tem się różni od litografii, że w pierwszej rysunek artysty odbija się wprost na papier, podczas gdy w zwyczajnej litografii artysta daje oryginał, który następnie przez specyalnych rysowników-litografów zostaje skopiowany na kamieniu i odbity. Litografia zwyczajna jest zatem *kopią* oryginału, podczas gdy autolitografia jest *oryginałem*, wykonanym przez samego artystę bez pośrednictwa obcej, rzemieślniczej ręki. Autodrzeworyt—to drzeworyt, wycięty przez samego artystę, nie zaś przez drzeworytnika podług rysunku artysty. Akwaforta—to rysunek oryginalny, przez samego artystę wytrawiony na miedzi i następnie odbity na papierze. Jeżeli jest wyrytowany rylcem—nazywa się miedziorytem, jeżeli robiony jest igłą—nosi nazwę „pointe seche"—suchej igły. Fluoroforta jest to akwaforta, wykonana na szkle, przytem zamiast kwasu saletrzanego (aqua fortis) używa się kwasu fluorowodornego, który szkło nadgryza (rozpuszcza). Fluoroforta – to najnowszy wynalazek w dziedzinie grafiki. Przyszłości wielkiej nie ma: kwas fluorowodorny jest bardzo niebezpieczny w użyciu, szkło łatwo pęka, środków innych, niż miedź, nie da. Wyspiański dał skromny rysunek, wykonany tą metodą: główkę, która niestety niczem szczególnem się nie odznacza. Ma przyjemny wyraz—inna jest, niż zwykle jego głowy. Gdyby nie podpis, możnaby go w niej nie poznać. Malczewskiego dwa rysunki – głowy, wykonane jednym kolorem, są dosyć słabe, twarde, pobieżne, mało nadające się do wystawienia. Za to bardzo miłe, chociaż skromne, sympatyczne są dwie litografie Chełmońskiego—który niestety tak rzadko ma sposobność wystąpić jako rysownik, pomimo tego, że tyle ma danych w tym kierunku. Gdyby p. Jasieński nie zrażał się byle czem, za maksymę wziął sobie raczej: „wielu nieprzyjaciół—wiele honoru," gdyby chciał popracować nad tem, aby jedną z przyszłych tek całkowicie poświęcić Chełmońskiemu, a wydostał od niego cykl rysunków takich, jak dawniejsze, wspaniałe ilustracye do Rzepowej—przysłużył by się znowu sztuce. Obecna teka, mówiąc o niej w dalszym ciągu, to pierwsza próba autografiki—rozkrzewienia jej u nas w tym stopniu, jak zagranicą. Wyłączywszy Pankiewicza i Łopieńskiego, którzy wyrobili już swoje środki w akwaforcie, oraz Wyczółkowskiego i Stanisławskiego, którzy już przedtem robili próby w autolitografii, dla pozostałych jest ona nowością. Wogóle wziąwszy, środki litografii współczesnej u nikogo z przyjmujących udział nie są wyzyskane dostatecznie, szczególniej efekty koloru i technik. Większość dała jednokolorowe rysunki: Mehoffer anioła—silnego w wyrazie, Tichy zręcznie naznaczoną sylwetę architektury, Weiss bardzo dobre dwa rysunki, szczególniej pejzaż, pełen nastroju i światła. Kolorem robili: jak zawsze energicznie, żywo Wyczółkowski, Sta-

nisławski (trochę przebarwiony), Axentowicz, Trojanowski, Ruszczyc (zakolorowanie niezdecydowane, chociaż sam motyw rysunkowy przyjemny); Procajłowicza autodrzeworyt trochę za bardzo przypomina styl znany z „Jugend." Wogóle całą tekę należy dotychczas uważać za pierwszą próbę szczęśliwą. Litografia, łatwo dostępna dla szerszej publiczności, jest doskonałym środkiem wypowiadania się dla tych artystów, którzy tworzą łatwo, mają dużo do powiedzenia nie tylko w malarstwie, ale i za jego pomocą. Wobec zastoju, konserwatyzmu naszych pism obrazkowych – litografia, akwaforta mogą mieć u nas duże znaczenie, przedewszystkiem może przyczynią się do zmniejszenia produkcyi i popytu na mate, tanie, tandetne „obrazki" oryginalne (?), których u nas sprzedaje się i wyrabia aż nadto dużo: dobra oryginalna litografia, akwaforta przystępnością ceny może pobić tanie obrazki, co sztuce na pewno tylko na dobre wyjść może.

W Towarzystwie Zachęty w tym sezonie ruch bardzo duży: po wystawach okrężnej, po „Sztuce," po wystawie „konkursowej," przyszła kolej na specyalną wystawę Szymanowskiego. Jednocześnie Pankiewicz i Ciągliński wystawili większą ilość prac. O kilkudziesięciu obrazach Ciąglińskiego nie wiele można powiedzieć: zapowiadał się przed laty dobrze; obecne prace, niestety, nie świadczą o rozwoju – przeciwnie: z wyjątkiem dawniejszego kościoła Marka w Wenecyi inne są pobieżne, niedociągnięte do jakiegoś zdecydowanego efektu, czy to w kolorze, w świetle, czy w rysunku, plastyce, treści, kompozycyi, technice, bodaj w zręcznym, harmonijnym rozkładzie plam lub w ich kolorze. Jest w nich bardzo śmiałe rozmazywanie farby na płótnie, bardzo energiczne rzuty pędzla – niestety, osiągające bardzo nie wiele. Szkice ze wschodu są dosyć jednostajne: ani piękności architektury tamecznej, ani pejzaż, ani ich charakter nie są wydobyte. Mają one ogólną jasność—raczej rozbielenie, przyjęte wogóle przy malowaniu słonecznego południa, szablonowe. Po za tem bardzo nie wiele. Portrety, figury pozostawiają pod wielu względami dosyć dużo do życzenia. Wystawa obecna panu Ciąglińskiemu imienia nie robi. Wolałbym jeden obraz, w którym skupił by on całą swą umiejętność, aniżeli te kilkadziesiąt płócien, na krórych tułają się, przebłyskują tu i owdzie rozbite szczątki talentu kolorysty, szukającego po błędnych drogach czegoś, czego nie zgubił wcale. Poszukiwania, eksperymenty, zapewne, – to piękna rzecz. Niestety, i do tego trzeba mieć dane nawet wtedy, kiedy przeznaczone jest szukać i nie znaleźć nic nigdy.

Szymanowski należy do malarzy starszej generacyi. Do rzeźby wziął się stosunkowo niedawno. Obecna wystawa jego w Salonie Zachęty pozwala go poznać i ocenić. Rzeźby są zapewne nowszej doby; natomiast obrazy są z różnych czasów, poczynając od r. 1881. Brak „Kłótni Huculów" (jest tylko jej powtórzenie czy pierwowzór), brak „Pierrotki," brak „Modlitwy," jest tylko mały szkic do niej. „Znój," „Wiosna" były wystawione dawniej. Poza tem jest parę pejzaży, parę studjów. Wogóle niewiele. Rzeźb jest kikanaście—wszystko to rozstawione, rozwieszone wśród, mówiąc nawiasem, zbyt wielkiej ilości roślin, które trochę rozrywają salę.

Przy ocenianiu Szymanowskiego nie można być zupełnie berstronnym, tak jak np. przy ocenianiu Pankiewicza, nie można stać tylko na stanowisku czystej sztuki, bo pan Szymanowski jest nie tylko artystą, lecz oprócz tego akcyonaryuszem „Kuryera Warszawskiego," najpoczytniejszego u nas pisma, człowiekiem bardzo ustosunkowanym w sferach Warszawy, mających wpływ na koleje, któremi u nas chodzą sztuka i artyści w zwykłem codziennem życiu. Ile razy pomyślę np. o Chełmońskim, to przypominają mi się przedewszystkiem jego obrazy. Tymczasem, najzupełniej nie z mojej winy, przy nazwisku: W. Szymanowski powstają przedewszystkiem sążniste artykuły i korespondencye o nim, o jego rzeźbach, obrazach, o jego powodzeniach za granicą, umieszczane w jego własnym kuryerze, wzmianki, pochlebstwa, pisane tam dla niego. Na te korespondencye i artykuły narzekają wogóle wszyscy. Czy pan Szymanowski ich wymaga – nie wiem; wogóle mają mu tylko to za złe, że na nie pozwala. Nie jest to obojętny szczegół prywatnej natury. Próżno na szpaltach kuryera podnoszą oryginalność kompozycyi w pomniku Grottgera, odsłoniętym obecnie w Krakowie. Półokrągła ławka z biustem na piedestale w środku: takich ławek jest cała aleja w Berlinie, nie szukając daleko. Kompozycya jest banalna. Płaskorzeźba umieszczona na dole – wystawiona obecnie w odlewie gipsowym: naturalnej wielkości dwa akty – nie jest mocna. Pogięte, źle skrócone, z tanim naturalizmem w wyrazie twarzy trupa czy zemdlonego, nie mają w sobie nic, co by wyrażało Grottgera, nic, co kwalifikowałoby ową rzeźbę, jako ozdobę dla pomnika; widać usiłowania zrobienia nagiego ciała ludzkiego w pewnej pozie, nadania mu wyrazu tragizmu: studyum trupa w twarzy, pognieceniе skóry, mięśni i szkieletu, wreszcie wywrócona poza – to jedyne oznaki owego tragizmu. Ducha – ani śladu. Niema go i we wszystkich innych pracach. W swoim czasie przy wystawieniu wielkiego obrazu „Modlitwa" próbowano go nadać, ustawiając za obrazem organy, na których grano utwory kościelne, i nic to obrazowi nie pomogło: pozostał zimny, surowy, bez nastroju, niedołężny, jako całość – tak jak i obecny szkic, wystawiony w Zachęcie. Pierwsze jego studyum z roku 1881 – „Dziewczyna w chacie" – wyraża całą indywidualność Szymanowskiego: duże zalety rysunku, plastyki, ubóstwo koloru i suchość treści. Takim i pozostał. Skutkiem słabości koloru obrazy jego są jako malarstwo mało interesujące – trzymają się głównie rysunkiem; treść ich niewielka, chłodna, zdradzająca nie zbyt bogatą wyobraźnię malarską, brak uczuć. „Zaloty Hucuła" mają być idyllą; niestety, są tylko zamiarem jej, bo ani pozy, ani wyrazy twarzy obu kochanków nie wywołują wzruszenia. Malowanie bezkolorowe, suche; pejzaż ma więcej poezyi. Wogóle jest to najlepszy obraz Szymanowskiego z wystawionych obecnie w Zachęcie – i niezły obraz wogóle, chociaż za bardzo przypominający Bastian-Lepage'a.

Wielki obraz „Znój" jest skutkiem tych braków bardzo przykry. Olbrzymia figura chłopa wali się z obrazu na widza; głowa i piersi jego są co najmniej na kilka łokci przed nogami, pejzaż czarny. W twarzy i w pozie jest wyraz zmęczenia pracą i gorącem. Ale ileż reminiscencyi robotników, chłopów Milleta, Meuniera i t. p. Do najlepszych, bądź co bądź, obrazów należała owa „Kłótnia Huculów" (naturalnej wielkości, której niema na wystawie); ona zrobiła Szymanowskiemu rozgłos; był w niej rozmach młodzieńczy, temperament. W wystawionem obecnie powtórzeniu mniejszem tego niema: są pozy, kolor przykry, monachijczyznę, Claus-Meyer'ów czuć za bardzo.

Sądząc z obrazów, z ich zalet rysunku i plastyki, można było się domyśleć, że Szymanowski będzie daleko lepszym rzeźbiarzem, niż malarzem. I tak jest istotnie. „Macierzyństwo“ (w całej figurze i we fragmencie), „Ciężar,“ „Wiatr,“ „Kosiarz,“ „Śmiejąca się fala,“ „Leśna dziewczyna,“ „Popiersie kobiety“ – wszystko to dobre rzeźby, jako modelacya, jako ciało, ruch, poza. Ale i w nich Szymanowski nie pozbył się suchości, braku poezyi, braku silniejszej wyobraźni, które miał, jako malarz. Przeniosła się ona na rzeźbę. Skutkiem tego tam, gdzie chce wzruszyć się lub porwać, tam talent go zawodzi. Tak jest w płaskorzeźbie do pomnika Grottgera, tak jest i w grupie martwego czy zemdlonego poety: ręka modelowana doskonale; Rodin'owskie, majaczące postacie w głowach poety, całość, jako bryły, są dobre. Ale jako treść?–jest w niej trochę komizmu, w obec którego rzeźba najzupełniej chybia celu. Te rzeźby, które nie mają zbyt wielkiej literackiej treści, są najlepsze. Szczególniej „Macierzyństwo,“ gdyby w kompozycyi nie przypominało znany obraz „Maternité“ Cariera. Dwie głowy trytonów mówią nam o Szymanowskim, jako dekoratorze–niestety, mówią nie wiele. Pomimo tego jest to artysta poważny. W swoim talencie ma on nie wiele: silne poczucie kształtu w naturze, ale ma je w dobrym gatunku. Na tem jednem można już oprzeć sztukę–byleby mieć tyle siły, aby nie dać się pchnąć otoczeniu na drogi, na których zbraknie środków tworzenia. Nie było artysty, który byłby wszystkiem. Niech robi jedno dobrze, niech je rozwija, doskonali stale, niech się nie da pociągnąć fałszywym chęciom lub ludziom: może być pewny, że po pewnym przeciągu czasu i sobie życie sztuką wypełni i wypełni je innym, spełniając w ten sposób przeznaczenie swoje, jako artysty.

Pankiewicz wystawił nowe swoje prace. Jest to malarz, który w ostatnich czasach niekiedy obrazy swoje techniką psuje. Do takich przeciążonych wiedzą, szukaniem, ilością środków, należą niektóre obrazy ostatnie. Daje to powagę, niestety odbiera wdzięk, nastrój jego obrazów i portretów dawniejszych. Do najbardziej wysilonych – skutkiem tego przerysowanych i przemalowanych prac–należą szczególniej portret pana O. i portret panny O. W mniejszym stopniu, ale–bądź co bądź–dosyć wyraźnie czuje się to w innych–nawet akwarelach, w których za wiele jest techniki. Sama przez się owa robota, jak zwykle u Pankiewicza, jest interesującą; bywały obrazy, w których kładł on w nie więcej sztuki, więcej swej inteligencyi artystycznej, więcej talentu, aniżeli w treść samą. Ale–bądź co bądź–chciało by się pod tym względem więcej równowagi, wysunięcia treści a schowania środków tak, jak w jego „Łabędziach,“ „Barbarce,“ „Wspomnieniu,“ „w portrecie pani O.,“ w „Brzasku,“ „Szarym pejzażu“ i innych. Pomimo tego przeciążenia techniką, widok na Sekwanę i mosty Paryża wieczorem, podczas zachodu słońca, jest doskonały. Gra blasków gorącej zorzy wieczornej na chmurach, w powietrzu, na budynkach, w oddaleniu, mięszanie się jej z pierwszemi światłami latarń gazowych, ruch uliczny wielkiego miasta, tchnienie Paryża, wibrują w tym obrazie ogromnie intensywnie. Wnętrze katedry w Chartr

z witrażami w głębi jest bardzo mocne w kolorze, okna błyszczą barwnie i tajemniczo; w obrazie tym byłoby może więcej nastroju mistycznego wielkiej gotyckiej katedry, gdyby więcej tłumaczyła się głębia, gdyby architektura była pewniej zrobiona. Podwójny portret pp. P. jest bardzo dobry, dyskretny, szlachetny w kolorze, jak zresztą wogóle portrety tego artysty. Dwie akwarele – właściwie rysunki kolorowe pędzlem wilgotnym, bo wody w tych akwarelach artysta używał bardzo niewiele – kilka akwafort dopełniają wystawy wogóle bardzo poważnej i interesującej. W akwafortach chciało by się więcej poetyckiej i malarskiej treści – nie sprowadzenia wszystkiego li tylko do motywu czysto rysunkowego. Lecz od artysty właściwie wymagać można tylko tego, co on daje, ciągnąć go w kierunku, w którym on sam nie idzie – jest prawie zawsze niebezpieczne, chyba że jest się najzupełniej przekonanym, iż kierunek ów zrobi artyście dobrze.

F. JABŁCZYŃSKI.

NIKISCH. – ORKIESTRA CYGAŃSKA. – LEONCAVALLO. – ŚLIWIŃSKI.

„Nikisch gra na orkiestrze, tak jak na instrumencie," – powtarzają ci, którzy go słyszeli. Naturalnie, że zdanie to jest słuszne, ale można to powiedzieć o każdym kapelmistrzu, który na prawdę prowadzi orkiestrę, a nie orkiestra jego. Dla każdego dobrego dyrygenta orkiestra jest instrumentem, na którym wykonywa on utwory cudze lub własne podług tego, jak je pojmuje. Ale tylko do pewnych granic: orkiestra – bądź co bądź – tylko w przenośni może być nazwana instrumentem. Jest ona kompletem ludzi. Żaden instrument nie pozwala z sobą robić wszystkiego, co się grającemu podoba, przeciwnie, każdy stawia swoje warunki, ma swój opór właściwy, swoje wymagania – a tym bardziej złożony z żywych ludzi. Stosunek Nikischa do orkiestry może jest inny, niż wirtuoza do instrumentu: Nikisch urodził się na Węgrzech, był skrzypkiem. Kiedyś, przed kilkunastu laty, w jednej z knajp warszawskich krótko, bo zaledwie przez tydzień, wieczorami grywała prawdziwa, autentyczna cygańska kapela. Pamiętam ich muzykę. Było ich pięciu – cymbalista, trzech skrzypków i wiolonczella: czarni, charakterystyczni, typowe cygańsko-węgierskie gęby, zaroślnięte, oczy jak głownie, białka sine, zęby białe. W kostjumach, z szamerunkami srebrnymi, guzami; premier – młody, smagły dwudziestokilkoletni skrzypek, typowy południowiec, z parą oczu znużonych i jednocześnie pełnych ognia – miał być podobno jakimś książęciem cygańskim – tak mówiono. Grali tylko pieśni, tańce węgierskie, jakieś rapsodye swoje – muzyka ich była niby nieustannem graniem wiatrów na stepie, wzmagających się, cichnących, nie milknących nigdy, wyciągających w nieustannych improwizacyach jakieś tematy długie, jęczące, namiętne, pieszczące, to wybuchające w namiętnych fortissimach, zcichające do szeptu; każdy z instrumentów był solowym – wszystkie grały, i to nieustanne splatanie się i rozplata-

nie, przelewanie się smyczków na tle nieustających passaży, trylów i tremola cymbałów bez rytmu, bez taktu, stwarzało coś, co do klasycznej muzyki stoi w takim stosunku, jak dzika puszcza do angielskiego parku. W Nikischu znać te tradycye cygańskiej orkiestry. Dowiódł on tego w „Szmerze lasu“ Wagnera, w jego „Wejściu bogów do Walhalli,“ w ostatniej części patetycznej symfonii Czajkowskiego (pierwszych nie słyszałem), wyciągając z orkiestry barwy, charakter, które przypominały mi owych pięciu cyganów z przed laty. Nikisch nie dyryguje — a gra razem z orkiestrą, pozostawiając jej dużą swobodę — i pod tym względem przypomina premiera cygańskiej orkiestry, który jest tylko pierwszym solistą w rzędzie innych, a nie dyrektorem, do którego się inni niewolniczo stosować muszą. Ten stosunek porozumienia z współgrającymi, to dyrygowanie oczami, ta wyrazistość ruchów — to nie są tradycye niemieckiej orkiestry, opartej na wielu próbach, przedwstępnych objaśnieniach, studyach etc. To tradycya orkiestry cygańskiej — niewielkiego kompletu ludzi dobranych, wirtuozów, improwizatorów, którzy grają razem, cznją się jednem ciałem, jedną duszą, wsłuchują się w siebie, odgadują wzajemnie. Jest to gra improwizatorska, bezpośrednia, bez nut. Nikisch ma ogromną intuicyę, ogromne dane na kapelmistrza, wielką znajomość orkiestry i muzyki — ale krew węgierska, która w nim płynie, nadała grze jego to, co go od innych różni. W rzeczach klasycznych jest on klasyczny — na odczucie stylów wystarcza mu jego intuicya muzyczna. Ale tam, gdzie muzyka w orkiestrze może się lać, przelewać, masy instrumentów splatać, gdzie jest dużo tematów, dotego szerokich, namiętnych, jęczących, tam gdzie można grać całą duszą — tam w Nikischu odzywa się Węgier: orkiestra obraca się w ogromnej skali barw i siły, wznosi się do takiej potęgi, jakiej nikt inny z orkiestry wydobyć nie potrafi. „Znawcy“ podkreślają za bardzo to ten, to ów szczegół, który Nikisch „wynalazł“ w partycyi, że ten lub ów frazes zagrał tak, jak nikt inny. Zapewne, że i to zasługa, i nie każdy się na to zdobyć potrafi. Ale naturalnie nie to jest punktem ciężkości jego gry, lecz ogół wykonania, który właśnie tem się może różni od innych, że niema w nim szczegółów, — tak jak np. u Rysz. Straussa, — a jest jedna wielka całość, pełna treści. Jego trzeci występ w tym sezonie potwierdził to, co mówiłem z powodu zeszłego koncertu. Nikischa znaczenie i wartość, jako kapelmistrza, zjawia się wyraźniej dopiero wtedy, kiedy działa on stale w jednym miejscu i ma swoją orkiestrę, z którą może stworzyć jedną całość, być jej premierem, a nie dyrektorem. Niestety, orkiestra Filharmonii, chociaż dobra, nie jest jego własną — czuć to było na poprzednim koncercie; czuć było, niestety, i na ostatnim, chociaż może mniej trochę. „Gdyby tak Nikischa można było sprowadzać częściej, chociaż raz na miesiąc“ — mówił mi ktoś z prawdziwie muzykalnych.

Zdaje się, że było to na koncercie kompozytorskim Leoncavalla — autora „Pajaców.“ Po co sprowadzano tego? „Pajace“ jest to opera repertuarowa — dla śpiewaków dobra, zawiera kilka ustępów, efektownie dla głosu napisanych, ma sceniczność, treść w miarę głupią; muzyka jej to szczęśliwe połączenie włoskiej śpiewności z nowoczesnemi, powagnerowskiemi,

wymaganiami co do melodyi, harmonii, instrumentacyi, ekspresyi, realizmu etc. Utwór w tym kierunku udany, który zrobił autorowi rozgłos. Bywają tacy twórcy, których stać tylko na jedno dzieło: ekspensują się w niem całkowicie; pozostałe są albo próbą powtórzenia go w inny sposób, albo próżnem poszukiwaniem czegoś nowego. Leoncovallo po za „Pajacami“ nic nie stworzył i nic nie stworzy. Jego „Medyceusze,“ „Serafitus-Serafita“ etc. — są to utwory młode, słabe; wyprowadził je na świat rozgłos „Pajaców.“ Nic w nich niema prócz reminiscencyi Berlioza, Wagnera, Schumanna, trochę włochów dawniejszych i pretensyi. Utwory lżejsze (Suita np.) są prawie trywialne, nie kwalifikujące się do koncertów symfonicznych — czasami prędzej do cyrku, jako akompaniament do ćwiczeń na trapezie, albo popisów końskich. Sam Leoncavallo, jako dyrektor orkiestry, mało ciekawy: krótka, gruba figura, z wąsami jak wiechcie — gdyby mu przypasać biały fartuch, nikt by go nie odróżnił od właściciela trattoryi gdzieś we Włoszech północnych. Koncertem znudził publiczność, której było dosyć mało. Nie pomógł nic nawet Kaschman, który dotego, zdaje się, nie był zbyt dysponowany. Czy zamiast Leoncavalla nie lepszym byłby Nikisch? Chyba mało kto o tem wątpi?

J. Śliwiński dał trzeci koncert przy zapełnionej sali. Pisałem już o nim. Obecnie nastręczają mi się jeszcze uwagi. Przedewszystkiem co do programu: Śliwiński, jak i ogromna większość wirtuozów, trzyma się utartego starego szablonu, który mniej więcej przedstawia się w następujący sposób: Bach, Händel — „ciężcy, nudni“ kompozytorowie, rozpoczynają koncert. Środek pozostawiony jest dla właściwej treści programu. Na zakończenie Liszt, Thausig — utwory brawurowe, słabe. Co do rozpoczynania koncertu przez Bacha — nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby nie to, że początek koncertu nie jest momentem zbyt dobrym ani dla słuchających, ani dla wirtuoza: ten nie jest jeszcze rozegrany, publiczność rozsłuchana — u jednych i drugich rozpraszają się jeszcze przedkoncertowe wrażenia. Na tem naturalnie traci Bach, którego w interpretacyi dobrej można słuchać nie tylko jako wstęp do koncertu — o tem chyba nikt nie wątpi. Gorzej jednak z kończeniem koncertu utworami słabymi, takimi, jak nudne, banalne „Tańce“ Tausiga. Koncertant i publiczność już jest zmęczona? Więc skrócić program! Po co psuć wrażenie całego wieczoru kompozycyą podobnego rodzaju? Rzecz dobrą można wysłuchać bez przykrości, będąc sytym: ale w takich warunkach rzecz nudna męczy — jest przedewszystkiem zupełnie zbyteczna, potrzebna chyba tylko dla tych, którzy wartość koncertu mierzą jego długością. Ja, gdybym był Śliwińskim, rozpocząłbym koncert Lisztem — etiudą na rozegranie się, na rozsłuchanie sali — czemś lżejszem, a kończył bym może nie Bachem, ale np. Balladą Szopena, a na bis nie dawałbym nic, tak jak Nikisch, odzwyczajając w ten sposób publiczność od eksploatowania grzeczności, słabości, próżności artysty. Odzwyczaiłbym może w ten sposób pewną część naszej publiczności od przerywania gry brawami, bardzo często dawanemi nie w porę, w środku utworu. Jest to stanowczo zbytni entuzyazm — da-

leko większy, niż muzykalność. Wirtuozi – artyści mogą go zupełnie bezkarnie lekceważyć, bo ani im, ani publiczności zaszczytu on nie przynosi. Oklaskiwane są *zawsze, bez wyjątku*, najsłabsze części programu: gdyby publiczność wiedziała, jak bardzo tem zdradza się – byłaby może powściągliwszą.

Śliwiński w ostatnim, trzecim, koncercie był takim samym, jak poprzednio: przewaga wielkiej, wspaniałej techniki, przewaga roboty ponad bezpośredniem wypowiadaniem się była jeszcze widoczniejszą, stwarzając tam pewien chłód w grze, gdzie on był najzupełniej niepotrzebny. Ballada Szopena (op. 23) i teraz była najlepszym ustępem koncertu. Śliwiński rozpoczął go wspaniałemi warjacjami Brahmsa na temat Haendla – włożył w nie całą swoją technikę, pomysłowość, inteligencyę, intuicyę artystyczną, całe bogactwo swoich środków. Utwór sam, pełen pomysłów, bardzo często wywodzących się od Schumana, daje wielkie pole popisu dla takiego wirtuoza, jak Śliwiński. Zdawałoby się, że po takim wstępie już można pozwolić sobie nawet na pewne zaniedbania tam, gdzie zbytnia dokładność, jasność nie licuje z charakterem kompozycyi, jak np. w Fantasiestücke Schumana. Tymczasem wszystkie one, nie wyłączając „Warum?", były zagrane w zbyt szybkim tempie, za rytmicznie. Szczególniej straciły na tem „Ende des Liedes," traktowane skutkiem tego za mało szeroko; w „des Abends" za mało czuć było wieczoru. Stracił na tem Szopen w Impromptus i w Walcu, zagranych stanowczo za szybko. Było to tempo szalonego oberka, nie walca. Co jeszcze zauważyć się daje w dzisiejszej grze Śliwińskiego oprócz przeciążenia techniką, – to zbytni może pietyzm dla wielkich imion, traktowanie ich za poważne, za stylowe. I oni są żywi jeszcze. Skutkiem tego, rzecz dziwna, dopiero w Liszcie (Sonet Petrarki, op. 23) Śliwiński pozbył się zupełnie skrępowania, sztywności i począł śpiewać żywo i swobodnie. Czy nie możnaby tego samego zrobić i w Impromptus i Walcu, mając taką technikę, i nie robić z nich etiudy? W Balladzie był najswobodniejszy. Ale mógłby być i w „Fantasiestücke" Schumana. I tu są trudności techniczne, któremi popisać się można: ale czy warto? czy nie stokroć większy jest nastrój wieczoru z „des Abends," szeroki tragizm w „Ende des Liedes," cicha, głęboko tłumiona rozpacz w „Warum?" Od biegłości czy nie większa sztuka – wydobycie ich z utworu?

Wielkie nazwisko, wielkie dzieła bardzo łatwo obniżyć można... stawiając je zbyt wysoko. Najżywsze, największe dzieła zbyt oczyszczane, zbyt okomentowane, obrobione tracą: nabierają muzealno-bibliotecznego smutku, nudy, sztywności. „Das ist klassisch, meine Herrn, das muss langweilig gespielt werden" – dowodził jakiś dyrektor orkiestry swoim muzykom, którzy w Beethovena chcieli włożyć więcej krwi i nerwów. Zbytni pietyzm dla wielkich dzieł narzuca podobne wyobrażenia, pokrywa je werniksem muzealnym, odbierając im część życia.

Jestem przekonany, że Śliwiński pozbędzie się tego werniksu w rzeczach wielkich i będzie grał zawsze Szopena, Schumana tak samo swobodnie i żywo, jak obecnie gra Liszta, *jak ich grał dawniej.*

F. JABŁCZYŃSKI.

Przegląd miesięczny.

POSIEDZENIE AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

Dnia 26 marca 1903 r. odbyło się w Krakowie posiedzenie Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce pod przewodnictwem prof. Maryana Sokołowskiego, z którego następujące sprawozdanie przesyła nam Akademia Umiejętności.

P. Tomkowicz streścił najprzód ostatnią część sprawozdania swego z wycieczki do Królestwa polskiego, w lecie r. 1902 odbytej.

W powiecie proszowskim zwiedził referent Hebdów. Tamtejszy kościół parafialny łączy w sobie trzy różnorodne style. I tak nawa główna jest barokową, dawne presbiteryum gotyckie, w przedłużeniu zaś jego dobudowano w w. XVIII kaplicę, stanowiącą dzisiaj presbiteryum. Zewnątrz kościoła uderza rzeźbiony portal z XVII w. z herbem Suche Komnaty, fundacya opata Jana Ludwika Stępkowskiego, wewnątrz wielki, nieznany dotąd pomnik opata hebdowskiego Olszewskiego z marmuru brunatno-czerwonego z XVII w. oraz nagrobek Michała Józefa Wilkowskiego († 1727) h. Ślepowron, podawany dotychczas mylnie za pomnik Witkowskiego.

W Wawrzyńcycach niedaleko Igołomii kościół przedstawia się jako budynek barokowy na planie gotyckim. Na zewnątrz zachował się pięknie rzeźbiony portal z herbem Korab, fundacya biskupa Zadzika. Jedynym śladem szczegółów gotyckich są odrzwia kamienne, prowadzące z kościoła do zakrystyi. Z pomiędzy zabytków kościelnych na uwagę zasługują *antependia* z *cuir de Cordoue* z XVIII w., w składzie zaś, za zakrystyą zachował się tron biskupi z XVI w. z misternemi intarsyami i inkrustacyami.

W Końskiem zbadał p. Tomkowicz kościół późno-gotycki z początku XVI w. Znajdujący się nad bocznem południowem wejściem pod romańskim tympanonem renesansowy napis: *Ecclesia S. Nicolai de novo restaurata 1120* pozwalał wnosić, że budowa jest dawną. Tak jednak nie jest; datę bowiem powyższą,—prostą pomyłkę kamieniarza—sprostować należy na 1520, a wskutek tego budowę uważać za znacznie późniejszą. Z dawnego

kościoła romańskiego zachował się tylko tympanon i jeden kamień — z gotyckiego zaś fragmenta, dzisiaj przed kościołem porzucone; kiedy w XVI w. stawiano dzisiejszy kościół, użyto do tej nowej budowy dawne romańskie części. Wewnątrz mieści się nagrobek Hieronima Konieckiego († 1564) oraz piękne, z czarnego marmuru epitaphium kanclerza Małachowskiego († 1762).

W zakrystyi uderza barokowy, emaliowany kielich, na zewnątrz, wreszcie, kilka w ciosach samego kościoła wykutych epitaphiów z XVIII w.

Barokowy kościół w Kazanowie posiada na sklepieniu interesujące malowania z XVIII wieku oraz piękny ołtarz z tejże samej epoki. W Modliszewicach zwiedził referent ruiny bardzo ozdobnego, jednopiętrowego pałacyku. Ceglana ta, z użyciem ciosu budowa, wznosząca się na wyspie stawem oblanej, służyła w XVII w. za letnią rezydencyę arcybiskupowi Lipskiemu, o czem świadczy nad bramą wjazdową umieszczony herb Łada z pastorałem i infułą.

Gołęcki kościół w Chlewiskach posiada kilka interesujących nagrobków Odrowążów-Chlewickich z XVII w. W ołtarzu obraz Nawiedzenia N. P. Maryi pędzla Smuglewicza (?). Dwór chlewicki jest dawnym gotyckim zamkiem, stojącym na platformie ściętej, piramidalnej góry. Zniszczony zębem czasu zamek przyprowadził do ładu w r. 1605 Wawrzyniec Chlewicki, o czem mówi nam napis tablicy, w ściany jego wmurowanej. Olbrzymia ruina zamku w Szydłowcu, wznosząca się za miastem na wyspie wśród wielkiego stawu, zachowała tylko pewne części gotyckie, zresztą jest budową barokową, a fundacyą księcia Alberta Radziwiłła. Z dawnych malowań niema śladu — nic również nie przypomina pierwotnych właścicieli, Szydłowieckich.

Kościół w Petrykozach, który z kolei referent opisał, jest, zdaniem Sobieszczańskiego, dziełem Kamsetzera, który jest także twórcą wewnętrznej jego dekoracyi. Do wieku również XVIII odnieść należy piękny pałac w Sterdyni oraz znajdujące się w nim trzy portrety Ossolińskich, zdaniem p. Tomkowicza, pędzla Czechowicza.

W dyskusyi nad sprawozdaniem p. Tomkowicza zauważył p. Swieykowski, że *antependia* z Wawrzyńcyc pochodzą zapewne z ostatniego 25-lecia XVII w., za którą to determinacyą przemawia charakterystyczna dla tej epoki stylizacya pokrywających je roślin i figur, p. Cercha zaś przedstawił szereg rysunków ojca swego, p. Maksymiliana Cerchy, odnoszące się do pomników w Końskiem i Modliszewicach.

P. Emanuel Swieykowski przedstawił następnie zdjęcia i opis pięciu dział z zamku krystynopolskiego, znajdujących się obecnie w Łańcucie. Są to armaty przeszło dwumetrowej długości z końca XVIII w. Najstarsza z herbem Lubomirskich i datą 1634 ma 4.18 m. długości. Pochodzi jeszcze z czasów Szczęsnego Kazimierza Potockiego, założyciela Krystynopola. Na dwóch następnych widzimy Piławę, a napisy świadczą, że w 1681 i 1740 r. odlane zostały z polecenia Andrzeja kaszt. krak. hetm. pol. kor. i Józefa hetm. wiel. kor. dla twierdzy w Stanisławowie. Ostatnie dwie prócz herbów nie noszą żadnych dat lub napisów. W związku z Krystynopolem pozostaje armata wałowa w Peczarze u hr. Konstantego Potockiego, pozostałość z bateryi 24 dział ofiarowanej Rzeczypospolitej przez Stanisława Szczęsnego Potockiego, wojewodę ruskiego. Na dochowanym egzemplarzu znajdujemy prócz herbów liczbę porządkową 13 i stempel artyleryi koronnej oraz dookoła

wylotu napis: *Joh. Eurenfried fudit me Warsawia 1788.* Dookoła Piławy w otoku napis: *Stanislaus Potocki Palat. Russiae.* Na tylcu działa: *A. E. Brühl Rei. Tor. Summus Pref.* Działo to zachowało lawetę z całym przyrządem do kierowania i ustalania strzałów, jest więc cennym zabytkiem dla dziejów wojska polskiego. Pozostała również w Peczarze chorągiew tej bateryi wałowej czerwona, z białym szlakiem dookoła, cała jedwabiem haftowana. W jej tle widzimy wzlatującego Orła białego nad trofeum wojennem, w którem na pierwszem miejscu odtworzono jedną z owych 24 armat wojewody ruskiego. Na niej widnieje wstęga z napisem *Civis patriae suae obtulit 1784.* Na szlaku białym dookoła chorągwi piękny motyw liści wawrzynu, w narożnikach cyfry Stanisława Augusta. Na armacie wyhaftowane herby państwowe oraz Piława z napisem w otoku: *Stanislaus Potocki Palat. Rus.* Chorągiew ma 1.60 m. w kwadracie.

W drugim referacie przedstawił p. Swieykowski inwentarz kasztelana czerskiego Michała Daniela Suffczyńskiego, który protestując przeciw rozbiorowi w 1772 na stałe Polskę opuścił i zamieszkał w Monachium. Inwentarz ten zawarty jest w obszernym rękopisie kasztelana czerskiego, w którym zachowała się również cenna korespondencya jego z królem, wiele mów politycznych i ustępów oryginalnych treści dyplomatycznej. Inwentarz spisany w r. 1778 podaje wszystkie stroje kasztelana, 23 delii i futer, 86 sukien wiosennych, letnich, zimowych i żałobnych, oczywiście tylko same żupany i kontusze o najróżniejszym doborze barw i odcieni, 36 pasów polskich, mnóstwo broni, karabel, strzelb, książki, porcelany, statki domowe, dalej 56 większych a 28 mniejszych obrazów olejnych, wśród których wylicza wiele portretów znakomitych osobistości, wreszcie całe umeblowanie, lustra, zwierciadła, kanapy i krzesła, oraz inne przedmioty, jak srebra stołowe, bielizna, biura, szafy i stoły. Inwentarz ów jest obrazem życia właściciela tych przeróżnych sprzętów i przenosi nas w epokę rozbiorową, dając nam bliżej poznać tego pierwszego może z naszych emigrantów.

SZTUKA STOSOWANA A ROZWÓJ GOSPODARCZY.

Piękno nie zniża się ku ziemi. Ci — jak grecy mawiali — ἄνθρωποι ἄμουσοι tworzą jedynie podglebie, na którem pomimo przeciwieństw i dzięki przeciwieństwom rozwija się nieliczna Elita pojmujących, odczuwających, tworzących. Kontemplatorzy piękna we wszystkich jego przejawach — bo piękno tkwi nawet w harmonijnie pomyślanej i kopułą hypotez uwieńczonej budowie logicznej — pojmują piękno i odczuwają bez zapędów komentatorskich, bez świętokradzkich rękoczynów i niedyskrecyi mikroskopowych. Twórcy piękna, we wszystkich jego przejawach, ożywieni są żrącym duszę ogniem czynu, żądzą ujęcia rzeczy wiekuistych w zaklęte i przeklęte formy: to już działalność czynna, najsłodsze, bolesne napięcie strun duszy.

Piękno nie zniża się ku ziemi, bo Elita tworząca i odczuwająca — to niby drobne wysepki, raczej punkciki, rozsiane po trzęsawiskach codziennego bytowania tłumów. Nieliczna rzesza wybrańców ducha, tak strasznie i boleśnie osamotniona w deptaku codziennych brudów i mydlin, tworzy sobie ewangelię wyższości, panowania i przewagi. Jej wytworem jest owa legenda, tchnąca tęsknotą nieświadomą i buntem tłumionym, legenda o jasnowłosej bestyi, nadczłowieku-mesjaszu, zwiastunie dokonanych przenicowań moralnych. Gdy rozpocznie się panowanie, panowanie ducha, któremu z zewnątrz nic i nikt zapór nie stawia, a który swoim własnym — w poczuciu swej siły — jest prawodawcą, tedy ruszą tamy, wstrzymujące żywiołowy pęd Piękna, wtedy twórczość i kontemplacya twórczości będzie najpiękniejszem zadaniem już nie bezcelowego bytowania. Pocóż tłum wtedy? Tłumu nie będzie.

Tymczasem — tłum istnieje. Mgławicowe pojęcie „tłumu"! Pochodzą zeń wybrani — i działają nań wybrani: działają, choćby trzykroć razy po trzykroć wyrzekali się tego, choćby bakalarskie, czy inne akcesorya w najgłębszej, może uprawnionej zresztą, mieli pogardzie. Mniejsza o to, czy działanie owo wywołuje poklask, czy pogardę i oślizgło — zimną obojętność, małpie naśladowanie, czy bezmyślny grymas nierozumienia. Dość, że ustawicznie i coraz bardziej, z dnia na dzień — powiem nawet — działanie to wzrasta, wraz szersze zataczając kręgi. Ktoś rzec mógłby, że poruszenie sennych wód bagniska, kędy zaciszne gniazdo mieć mogą jedynie ropuchy i zielono-zgniłe wodorosty snują wegetacyjne sny, nie jest potężną pieśnią wolnych oceanów, to cichą, to burzliwą, peanowo wielką, żywiołowo zachłanną. Bez wątpienia. Ale gdy wiatr wody bagniska poruszył? Gdy życie z dawnych, patryarchalnie spokojnych torów wykolejone ku nieznanym rwie się ścieżkom?

Gdy tchnienie Piękna — powoli, ustawicznie i może zbyt powoli — budzi śpiące królewny i głupkowatych pastuszków?

Może kiedyś (ale czy nie jedno tysiącolecie tymczasem przejdzie?) baśń-legenda o mesjaszu nadczłowieku stanie się zdobyczą tłumu, gdy tłum właśnie wraz z wybranymi, z zatraceniem dzisiejszych, tak dla nas ponętnych różnic — nadczłowieczeństwo posiądzie?

Pociągające dla fantastów widnokręgi przyszłości! „Wieści znikąd" Williama Morrisa. To nie najrozmaitszymi „izmami" upstrzone fantasmagorye poczciwych filantropów, którzy ludzkość chcieliby ulokować w ciepłej stajence, w wygodnych przegródkach z centralnem ogrzewaniem, światłem elektrycznem, kanalizacyą i spłukiwaniem wodą destylowaną. Nie — to utopie estetyzujące...

Sztuka, która początek swój czerpie w głębi wybranych dusz indywidualnych i która do głębin dusz tych sięga, nie zatracając tego pierwotnego, koniecznego warunku, działać poczyna, że tak powiem, „wszerz". Rozlewna fala sztuki sięga — nizin. Ubodzy, przeważnie ubodzy duchem, poczynają rozumieć, odczuwać, wsłuchiwać się w nieznane poszmery. Samowładztwo artystów, którzy okruchy piękna tłumom rzucać raczyli, zainicyowało nową erę. Widzimy dopiero początek — a z tendencyi rozwojowych wnioskując, piękny przebieg tym zapoczątkowaniom wróżyć można.

Bo sztuka, aczkolwiek u wyżyn swych ostatnich najbardziej od odmętów życiowych oderwana, tysiącem nici i niteczek z podłożem rozwojowem jest złączona. To truizm ogromnie pospolity, ale też ogromnie prawdziwy. Siły wytwórcze — wszystko to, co jednym

terminem ochrzczone nosi miano gospodarki społecznej, kształtuje sztukę — pomimo naszej woli i bez względu na prometeuszową nawet opozycyę. I twierdzenie tej zasady pozwoli uzasadnić wyniki, do których współczesne tendencye dążą. Rozwój gospodarki pieniężnej, gromadzenie kapitałów, podział tych bardziej intensywny, ustawiczna demokratyzacya — oto podłoże realne, na którem rozwinęła się sztuka stosowana, kult piękna, dostępny wszystkim mniej więcej, nie jak w wiekach średnich — dla garstki znawców i smakoszów estetycznych. I stąd — par ricochet — kształcenie się smaku, wydelikacenie konsumcyi, jak to pięknie jeden z najznakomitszych ekonomistów niemieckich, Sombart, określił. Piękno zagarnia sfery życiowe, które ongi tyle z niem miały wspólnego, ile turkot pociągu z fugą Bacha. „Żyć pięknie" — staje się hasłem. Mieszkanie piękne, meble nie byle jakie, lecz ową zasadą piękna przesiąknięte, ów nalot estetyczny na gmachach publicznych, a nawet we wstrętnych każdemu prawowitemu satyrykowi-artyście wielkich bazarach (w tych brak największy, bo obrazy mistrzów sprzedawane bywają pod jednym dachem — z flanelką i garnkami); więc, dalej, piękno wszędzie w odzieży, tak, aby nawet tandeta przez tę przymieszkę mogła być uszlachcona, w sprzętach, w narzędziach, książkach, plakatach, wystawach sklepowych, parkach miejskich, kwietnikach, alejach — wszędzie, wszędzie bez końca. I ten wpływ sztuki stosowanej, (pod którą kryje się zresztą dość często banalność i ohyda), sięga coraz dalej i sięgać będzie coraz dalej, dzięki owej współczesnej nam demokratyzacyi, przy wzrastającem bogactwie jednostek i społeczności, które superfluum swej kabzy chętnie na cele sztuki poświęcają. Myśl nie zła — i zresztą nie pomoże krytyka, wobec istnienia takiej tendencyi.

Czasy nowe wytworzyły sztukę stosowaną — demokratyczną, dostępną mniej więcej dla wszystkich; wytworzyły artykuły potrzeb estetycznych en masse — a więc estetykę pro usu publico i dla wszystkich. Tkwi w tem pewna praca kulturalna, przezwyciężenie tej epoki rozwoju kapitalistycznego, w której produkcya sztuki stosowanej zupełnie zależną była od potrzeb rynku. Rynek nie troszczy się o piękno: chodzi mu jedynie o zaspokojenie popytu. Popyt zaś był na czas ów — prostacki, nieogładzony, parwenjuszowski: nowe pokolenia konkwistadorów z fabryk, z poza lad sklepowych i z innych mniej lub więcej pięknych miejsc, mydlarze, rzeźnicy, wszystko to zbogacone, ale bez tradycyi, bez smaku, utażsamiające piękno z blaskiem i szychem. Przedmioty, których wyrób w pewnej części dziś znajduje się pod bezpośrednim wpływem artystów, wtedy wyrabiane były na jedno kopyto, według „Musterbuch'u" fabrycznego, z zatraceniem wszelakiego poczucia estetycznego, z parodyą oryginalności, z babilońskiem pomięszaniem stylów. I nawet wtedy, gdy sfery bardziej pod względem smaku wykształcone odwoływały się do artystów, rzucał się w oczy blask zbytni, rażący — formy krzykliwe, style dziwaczne: cóż za doskonały odpowiednik parwenjuszostwa owa epoka Makartów i Strousbergów, epoka, o której przed ćwierćwiekiem pisał znakomity estetyk Vischer: „zdaje się, że kultura i piękno w ciągłej pozostawać będą walce; zdaje się, że każdy krok postępu jest śmiercią dla kwiatów naiwnego piękna."

I musiał dopiero ów rozwój kapitalistyczny okrzepnąć należycie, musiało powstać drugie, trzecie pokolenie nabywców, którym znane już były kastalskie źródła piękna. Inne zapotrzebowania opanowują rynek — poddają im się chętnie przedsiębiorcy, rozumiejąc doskonale interes własny. W Niemczech coraz bardziej odczuwać się daje — w sensie dodatnim,

rzecz jasna – dyktatura artystyczna, która skrę sztuki stosowanej powoli zagarnia. Dość rzucić okiem na wystawy mebli i urządzeń mieszkaniowych, wystawy, urządzane od czasu u Kellera i Reinera lub u Wertheima, plany i pierwowzory urządzeń, ażeby znaleźć nazwiska najbardziej znane; pomijam już specyalistów, którzy rzucili paletę i dłuto, a oddali się zupełnie stosowanej sztuce *sensu lato*. I zagarnęli wszystko: od ornamentów ściennych — do szyb okien, od popielniczek i przyrządów pisarskich, od waz i bibelot's do mebli, szaf, stołów, krzeseł, bibliotek i t. d. Wydelikacenie smaku wywołuje zapotrzebowanie odpowiednie: mieszczaństwo – mowa o mieszczaństwie bogatem – różniczkuje się powoli. Wielkie magazyny, wielkie przedsiębiorstwa, uważnie wsłuchane w puls tłumu-nabywcy, prześcigające się w pomysłach wobec szalonego rozwydrzenia współzawodnictwa, chwytają chętnie te pomysły nowe, oddają się bez namysłu w ręce prowodyrów-artystów, aby nowe potrzeby zaspakajać i nieznany dopływ dochodów znaleźć.

Oczywiście, że nie podobna uniknąć przy tem zatracenia częściowego sztuki rzeczywistej, prawdziwej i promiennej: wzór, który w chwili natchnienia artystycznego powstał, wzór, uosabiający nowy pomysł, dziewiczy zapał intuicyi artystycznej, staje się artykułem zbytu gromadnego. Zatraca tak drogocenną cechę rzadkości, staje się kopią, wędrującą w milionach egzemplarzy, w naśladownictwach, w robocie z gorszego, tandetnego materyału.

Wodzowie całego owego ruchu – niezapomniany Ruskin i romantyzujący Morris — chcieli piękna w życiu powszedniem: chcieli rozpędowe koło rozwoju historycznego wstrzymać w ruchu, aby obwieścić powrót do innego życia. Natura, wieś, rzemiosło! precz z fabrykami, z kominami – drapaczami nieba, precz ze zwyrodnieniem wielkomiejskiem, niewolnictwem konwenansów! Powrót do naiwności dawnej, do rękodzieł artystycznych, do wypieszczonych pod ręką mistrzów tworów natchnienia. Te zapoczątkowania złożyły się na rozwój sztuki stosowanej, lecz *idée-maîtresse* poetyzujących proroków pozostała złudzeniem. Bo sztuka stosowana nagięła się zupełnie pod wymogi kapitału, wielkiej produkcyi i zbytu masowego; bo inaczej w czasach naszych proces ten odbyć się nie mógł.

Sombart – jedyny może z ekonomistów współczesnych, który kwestyę tę wyczerpującemu badaniu poddał, wykazał dowodnie, że sztuka stosowana nie powróci do tradycyj średniowiecznego rzemiosła artystycznego. I powrócić nie może, chociaż byśmy tysiąc razy powtarzali oklepany – acz popłatny – frazes o „renesansie współczesnym". Czasy, w których artysta jednocześnie był rzemieślnikiem i w nielicznem gronie uczniów lata całe pracował nad osobistem wykonaniem dzieła czy arcydzieła, minęły bezpowrotnie. Zmieniła się technika, zmieniły się warunki pracy. Produkcyi maszynowej, specyalizacyi przerafinowanej urągać mogą jedynie *laudatores temporis acti*. Artysta staje się jedynie „dawcą pomysłów" – rzuca natchnienie na papier, modeluje wzór, kieruje pracą robotników, wyszkolonych w danej gałęzi – ale sam pracy koło wykonania, jak to dawniej bywało, nie ima się wcale. Rzecz oczywista, że *to* możliwe jest jedynie w sferze sztuki stosowanej: gdy chodzi o model świecznika

o wzór fotelu, o rysunek na witrażu mieszkania, lub ornamenty obić. Gdzie zaś utwór ma być ściśle indywidualnym, gdzie ujawnić się chce *dusza* artysty – tam wykluczyć należy pomoc obcą i rękę nawet najposłuszniejszą. Tam pracuje artysta sam. Klingerowski Beethoven nie powstał według naszkicowanego modelu i według detalicznych wskazówek, czy planów...

Sombart wróży sztuce stosowanej przyszłość świetlaną – przez połączenie się i zgodę z wymogami współczesnej techniki. Przypuszcza nawet, że technika wywołać może nowe kategorye „piękna“: chociażby maszynowa produkcya mebli, usposabiająca do linii prostych, gładkich, sharmonizowanych, w przeciwieństwie do snycerskiej i przeładowanej ornamentami i ornamencikami robót rzemieślniczych. Technika, komfort, piękno, – oto trzy stopnie, coraz wyżej prowadzące.

Czy zawsze – co do tego innego jesteśmy mniemania.

Boć owa technika poddać może sztukę pod władzę przedsiębiorcy zupełnie. Wyobraźcie sobie artystę w roli niewolnika jakiegoś Waarenhaus'u! Rozczulający z punktu widzenia teoryi ekonomicznych widok! Wprawdzie dziś widzimy jeszcze dyktaturę artystów w sztuce stosowanej. Wprawdzie możliwe są przedsiębiorstwa, nawet nie przez zrzeszenia artystów prowadzone (jak np. monachijskie i drezdeńskie „Vereinigte Werkstätten für Kunst im Handwerk“), które kierować się będą zawsze smakiem i artystycznej miary z oczu nie stracą. Ale czyż inaczej być nie może? Sztuka stosowana, wydana na pastwę zmiennej mody! Moda w okresie rozwoju kapitalistycznego tylko zmienną być może, kapryśną, podatną na najrozmaitsze zachcenia bez tężyzny i życia. I czy los taki współczesnej stosowanej sztuki nie spotka? Widzieliśmy już przecież, jak w ten i ów sposób najrozmaitsi płatni „artyści“ prostytuowali w tej dziedzinie t. zw. styl secesyjny!

Postawmy więc przy pochwałach rozwoju współczesnego wcale uprawniony znak zapytania. Czy rzeczywiście pokolenie przyszłości będzie gromadą na życie estetyczne – w pięknie i w odczuwaniu – wrażliwą coraz bardziej? Czy zbliżają się naprawdę zwiastuny „estetycznych światopoglądów“? Mówiliśmy już poprzednio, że „tłum“ się różniczkuje, uszlachetnia, pojmuje, że pomocną mu być winna w tej pracy „elita“, ale czy to naprawdę doprowadzi do *integracyi estetycznej?*

Ot, dostała się sztuka stosowana w rwący prąd rozwoju kapitalistycznego: jak zwykle ma to strony dobre, ale ileż złych! Ileż w tej t. zw. sztuce bywa przesady, barw krzyczących, modnego małpowania. I zawsze – w najlepszych swych przejawach dostępna tylko przez los w złoto obdarowanym – dla tłumu płodzi artykuły masowe. Wtedy mamy handel stosowany, fabrykacyę stosowaną – ale gdzie pozostała sztuka?

Rozziew między wybrańcami a tłumem nie rychło daje się zapełnić. Samooszukiwaniem się byłoby twierdzenie, na wzór Sombarta, że sztuka stosowana będzie złotym mostem. Może blady cień – ale tylko cień – piękna wstąpi w progi, w których nie bywał jeszcze; odblaski tylko...

S. ERNSTEN.

Berlin, w kwietniu.

MISCELLANEA.

RUJA I PORUBSTWO W ŚWIETLE HISTORYI.

Szczytowy punkt współczesnej reakcyi polega na tem, że znieprawiona inteligencya sama podsuwa rządom rozmaite *Leges Heintze*, w Niemczech, Belgii, Francyi. Jestto ruch równoległy z wzrostem jezuityzmu oficyalnego i ochotniczego. Opierając się między innemi na pysznym artykule *Remy de Gourmont'a* w *Mercure de France*, posłuchajmy, co uczą dzieje religii.

Historycznie stwierdzonym faktem jest, że dwa najstarsze i najuniwersalniejsze kulty religijne polegały na czci dla gwiazd z jednej, a czci dla emblematów płciowych z drugiej strony. Gwiazdy – najabstrakcyjniejsze, najbardziej odległe i najuniwersalniejsze z objawów, symbole niezmiennych praw i nieskończoności, wobec których ludzka wola i ludzkie namiętności zapadają w nicość; płeć – ognisko żądz i porywów, gorejące ostrze chęci do życia. Pomiędzy tymi dwoma biegunami duch człowieczy miotał się od niepamiętnych czasów.

Z tymi wczesnymi rytuałami splotły się następne religie w jeden nierozwikłany i znaczący węzeł, oto naprzykład: Śledząc za rozwojem świąt wielkiejnocy, od egipskiego *passah* począwszy, aż do utożsamienia z germańską Osterą, widzimy analogię ścisłą z obchodami porównań dnia z nocą i z przejściem słońca przez równik, co przed 3000 laty miało miejsce w chwili, gdy słońce w znak barana wstępowało. Baranek tedy został symbolem młodocianego, zwycięskiego boga. Symbol matki z dziecięciem na ręku odnajdujemy w Izydzie z Horusem i jeszcze dalej na sklepieniu niebieskiem w postaci dziewicy z dzieciątkiem. W świątyni egipskiej Denderah dziewica wyobrażona jest przez maleńki wizerunek Izydy, a w epoce tegoż samego znaku ustanowioną jest uroczystość Wniebowstąpienia – czyli 15 Sierpnia. Z ksiąg biblijnych dowiedzieć się można, że Mojżesz wprowadził kult miłości drzew i węży, że Salomon od fenicyan przyjął dwa falijskie, granatami uwieńczone słupy, zwane *Jachim i Boas*, stawiając je przed swoją świątynią.

Kwiat lilii, wzięty przez pierwszych chrześcijan od Egipcyan, a wyobrażający również miłosne zespolenie, wetkany jest w ornamenta szat duchownych i w serwety ołtarzowe, tak samo jak symbole astronomiczne w kalendarze, i wszystkie razem pojawiają się znowu w architektonice kościołów i katedr.

Jakiś cynik wyraził się kiedyś, że dwiema panującemi siłami w ludzkości są sprośność i zabobon. Wyraziwszy to w mniej paradoksalnej formie, a mianowicie, że najpotężniejszymi motorami są miłość i wiara w siły niewidzialne, uczynimy poprzednią hypotezę bardziej przypuszczalną. Dla pogańskich ras Europy i małej Azyi w czasach przedchrześcijańskich kult płciowości był charakterystycznym, dla chrześcijańskich zaś — ubóstwianie śmierci i zaświatowości. Dziwnym, ale nietylko w chrześcijańskich kultach napotykanym objawem jest askeza: popęd opanowania zmysłów. Wyniesiony on został przez mistyków i purytanów do godności cnoty najwyższej i wyrodził pojęcia, które z biegiem czasu dzięki tysiącom sprzyjających okoliczności wybujały nadmiernie, tworząc jakąś lokalną, relatywną normę moralności i obyczajności. W prawodawstwie obecnem pojawiają się obficie nowe lexy, obostrzenia, przepisy. Podobnie jak osławione lex Heinze, nowe prawo Bérangera we Francyi zamierza głównie przeciwko obrazom sprośnym i nieobyczajnym, niezapominając o współwinnych autorach, poetach, zagrożonych tąż policyjną zagładą. A tymczasem, cóż to jest właściwie ta sprośność, albo lepiej, cóż to są dobre lub też złe obyczaje? Tego pytania żaden senator nie jest w stanie rozwiązać. Celem rozsądzenia, co jest dozwolonem, a co zdrożnem w kwestyi płciowej, napisano już setki infolio wręcz sobie sprzecznych.

Liguori uznaje, co potępia *Escobar*, surowemu zaś *Ta* przeczy łagodny *Sauchez*, obojętny *Soto*, ironiczny *Carammel*. U nich przynajmniej można się czegoś nauczyć, albowiem dysputują; świadomy swej odpowiedzialności kazuistyk oniemal wszystkie swe dowodzenia kończy wątpliwością: bierze w rachubę okoliczności, obyczaje miejscowe, mody panujące, fizyologię ras.

Wobec ujednostajnienia chrystyanizmu wszyscy zginają czoła przed jednem pojęciem o dobrych i złych obyczajach. Wszyscy porządni ludzie jednomyślnie zapatrują się, skoro idzie o zaduszenie swobody. W tej chwili zachodzi jednak pytanie: Co to jest sprośność?

Japońskie dziewczęta podają do stołu rodzinnego ciastka własnego wypieku w kształcie falusów. Rzymskie patrycyuszki ubierały się w naszyjniki falijskie; *lingnam* jest przedmiotem czci religijnej w Indyach, kult Pryjapa został przez religię zachowany i uświęcony.

Całe życie mężczyzn i kobiet, we wszystkich warunkach, obraca się około miłosnych lub pseudo-miłosnych związków lub połączeń, jak dokoła osi. Nie poddawać się żądzom jest troską tych, którzy pragną pozostać czystymi, i samo to pragnienie zniewala ich myśleć więcej o miłości, aniżeli to czynią niewstrzemięźliwi. Aluzye, gesty prowokujące, spojrzenia, pieszczoty od uścisku ręki aż do objęcia, muskania, pocałunki — oto literatura — sztuka. Moraliści czuwają nad obyczajnością tych przedstawień, lecz ażeby narysować granice przystojności, trzeba wciąż mieć na oku nieprzystojność.

sami tedy wchodzą w „penetrale“ i ze środka zamykają drzwi przed nosem profana. Wszystkie tańce salonowe są tylko stylizowanem wyobrażeniem gier miłosnych.

W ślubnych uroczystościach wyobrażenie ucieleśnia się wyraźnie. Patrząc na pannę młodą, każdy widzi łożnicę ślubną. Welon w tym wypadku przezroczyście jedynie podkreśla nagość. Z wielkiem zadowoleniem matrony śledzą ruchy młodych małżonków, gorsząc się natomiast najmniejszym znakiem porozumienia, danym sobie przez kochanków. Widome następstwa miłości, jak np. ciążę, dziś ukrywa się starannie: nigdy w romansie angielskim niema mowy o „posiadaniu“, tylko o „pocałunkach“, podobnych do pocałunku lilii i motyla. Trochę znajomości nauk przyrodzonych objaśniło by może dokładniej czytelniczkę eteryczną o funkcyach bezwiednych owadów, zmiatających pyły z kwieci.)

Na całej drabinie społecznej krajów, otynkowanych na świeżo po ruinie pogaństwa, spotykamy podwójne dążenie: myśleć jak najwięcej o akcie miłosnym, do niego przygotowywać się od rana do wieczora — i jednocześnie udawać zupełną nieświadomość co do istnienia tej przewodniej myśli, co do znaczenia tej wiecznej komedyi. Łatwo pojąć wściekłość takiego obłudnika, gdy jakiś nierozważny szaleniec wypowie głośno starannie ukrywane słowo zagadki.

Wiekom średnim, nie znającym wstydliwości, obcą naturalnie była „sprośność“. W sztuce plastycznej i poezyi panuje naiwny realizm, podtrzymywany przez Ojców kościoła.

Klemens Aleksandryjski mawiał: „Dla czegóż miałbym się wstydzić wymieniać te jczęści ciała, których Pan Bóg nie wstydził się stworzyć?“

W wyrobach z kości słoniowej, drzewa płeć kobieca starannie jest odtworzoną, w Luwrze przykucnięta dziewczynka z terrakoty, dzieło Clodiona, stanowi dowód najoczywistszy braku skrupułów autora.

Kiedy powstała „sprośność“? Niewiadomo. Można przecież genezę tego pojęcia do pewnego stopnia wyjaśnić. Przyjętą jest rzeczą, że akt t. z. miłosny jest tylko fizyologiczną hypotezą; odnosimy się do niego albo naukowo, albo żartobliwie. Żartując, składa się dowód, że się do tych rzeczy żadnej wagi nie przywiązuje, że to są bagatelki, nie zajmujące ludzi poważnych, tem samem dla nich obce, o których się słyszało coś niejasnego, co dziwi i w dobry humor wprowadza. Wszyscy natomiast gniewają się i buntują, gdy jakiś źle wychowany człowiek poczyna mówić poważnie o „świństwach.“ „Sprośność“ jestto poważne traktowanie rzeczy płciowych.

Łatwiej daleko wyjaśnić „sprośność“ słowną, to jest proskrypcyę pewnych wyrażeń i słów. Wydają się one sprośne, bo są rzadkie, są rzadkie, bo nie zachodzi potrzeba mianowania dziedzin anatomicznych zewnętrznych, pokrytych odzieżą. Zresztą, dzieje się tu, jak wyżej powiedziano. Dziecię ma pół-ciałka różowe, pulchne. Panna żadnych nie ma: podobna w tem do królowej hiszpańskiej, próżnej pod sutemi „paniers“. Ale wolno jej mieć *biodra*, jakkolwiek one wyrazem swym obejmują i przyległości, przez co ich znaczenie rozszerzyło się ostatnimi czasy. Nazwy innych wdzięków nie są tak ściśle określone, jakby się zdawać powinno: dużo tu prześlizgiwań.

Użytek określa wyrazy, określa on też czyny i przedstawienia estetyczne. W krajach kalwińskich nagi marmur jest sprośnym. Obraz, na widok którego zadrży rodzina prowincyonalna, nie zatrzyma ani na chwilę ciekawego spojrzenia paryżanki. Pospolicie

znanym jest fakt, że istnieje ścisły związek pomiędzy miejscem, porą roku, godziną i strojem kobiecym; bal, miejsca kąpielowe uświęcają obnażania, których nie dopuszczają inne warunki.

Kobiety, chełpiące się wstydliwością, w istocie zaś pozbawione jej, ulegają posłuszne i pokazują lub ukrywają ramiona, nogi, kolana, łona według przykazań mody. Gdyby ta ostatnia wydała rozporządzenie rajskiej nagości, z pewnością nie wywołałaby oporu. Wreszcie, to, o czem mówić nie wypada, symuluje się i potęguje w postaci turniur i innych fałszywych uzupełniań. Podczas Dyrektoryatu suknie były zupełnie przezroczyste, w XVIII wieku łona ofiarowywano na widok publiczny. Moda rządzi sztukami plastycznemi, malarstwem.

Z tysiąca obrazów przekonywamy się, że wobec piękna, żadna poza, żaden ruch sprosnemi, brzydkiemi być nie mogą.

Cóż więc jest sprośność? jakaś fikcya ulotna, zmienna, jak moralność sama, jak ona modzie podległa.

Obok *loi Béranger*, protest wywołało też loi *Woeste* w Brukseli, otwierając obszerną ankietę w szpaltach pisma *Ideé libre*. Najznakomitsi pisarze i artyści, jak jeden mąż, powstali przeciwko prawu, które wkrótce większością klerykalną zatwierdzonem zostanie.

Oto kilka zdań:

Edmond Picard: Nie wolno nazwać pornograficznem dzieła wielkiego artysty.

Amedeusz Lymen w sposób humorystyczny objaśnia różnicę pomiędzy sztuką a pornografią. Pan Woeste zupełnie nagi służyłby może za model na świętego, zależy to od sentymentu, włożonego w dzieło przez artystę, lecz tenże pan Woeste fotografowany bez kostyumu jest nieprzyzwoitym i ohydnym.

Leon Suguenet, poeta ironista: Przypuściwszy, że istnieje jakaś granica pomiędzy sztuką a pornografią, odmawiam jej wskazania, nie należę do ajentów śledczych.

Emile Verhaeren: Jestem wrogiem każdemu prawu, ograniczającemu dziedzinę literacką. Kończy się ona tam, gdzie się kończy siła twórcza artysty.

Albert Mockel: Przed urządzeniem głosowania, pan Woeste mógłby się przejechać do Włoch, celem powzięcia maleńkich informacyi. W bibliotece katedry Sieny znajdzie sposobność podziwiania zuchwałego plafonu, którym Papież Pius III kazał świątynię na chwałę domu wspaniale przyozdobić. Otóż Pius nie miał za złe Penturicchiemu motywów jego, również jak dzisiejszy Leon XIII mało się wzrusza pryjapejskiemi ozdobami Wazonu greckiego w Watykanie.

BIBLIOGRAFIA.

KSIĄŻKI I WYDAWNICTWA NADESŁANE.

Ludwik Stasiak: «Pieniądz», powieść. Lwów. Ksiegarnia Polska (B. Połoniecki). Warszawa. F. Wende i S-ka. 1902.

Marya Karzecka: «Kędy milczy słońce». Lwów. Księgarnia Polska (B. Połoniecki). Warszawa. E. Wende i S-ka. 1903.

Maryusz Zaruski: «Sonety morskie» i «Sonety północne». Kraków 1902. Skład główny w księgarni Gebethnera i S-ki. Warszawa Gebethner i Wolff.

Ellen Key: «Kobieta». Przekład Ady Tilbi. Z cyklu «Szkice». Wydawnictwo Władysława Okręta 1903.

Wacław Berent: «Próchno», powieść współczesna. Ozdoby Maryana Wawrzenieckiego. Warszawa, 1903. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

Wacław Berent: «Fachowiec», powieść współczesna. Wydanie drugie. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka. 1903.

Multatuli: «Wybór pism». Przełożyła i zaopatrzyła przedmową Malwina Posner-Garfeinowa. 1903. Nakł. Księgarni Naukowej.

Feliks Brodowski: «Chwile», fantazye, nowele, obrazy natury. Z przedmową Stanisława Krzemińskiego. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków. G. Gebethner i S-ka.

Wiktor Gomulicki: «Miecz i łokieć», powieść z wieku XVII. Tom I, II. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903.

Aleksandra Łapińska: «Z ludzkich dróg». Warszawa. E. Wende i S-ka. 1903.

Aleksandra Łuszczyńska: «Mefisto», powieść współczesna. Warszawa. Nakładem księgarni S. Sadowskiego. 1903.

Jerzy Orwicz: «Błyski». Warszawa. Skład główny w księgarni S. Dembego. 1903.

Julja Terpiłowska: «Przystań», powieść współczesna. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1903.

Henryk Sienkiewicz: Pisma, tom LIII. «Krzyżacy», cz. V. Bezpłatny dodatek do Tygodnika Illustrowanego. Warszawa 1903.

Grosse: «Początki sztuki» ark. 1—4. **Esmein**: «Prawo konstytucyjne» ark. 1—4. Dodatek kwartalny «Ogniwa», 1903 kw. I.

Dr. Zygmunt Balicki: «Metody nauk społecznych i ich rozwój w XIX stuleciu». Warszawa. Nakładem księgarni F. Wende i S-ka 1903.

Sprawozdanie zarządu Muzeum Narodowego Polskiego w Rapperswylu za rok 1902. Paryż, 1903.

Dr. Karol Zaleski: «Alkohol a miłość». Odbitka z «Przewodnika Zdrowia». Berlin 1903. Nakładem «Przewodnika Zdrowia».

Dr. Jan Rozwadowski: «Parcelacya wielkiej własności w świetle postępowania pruskich instytucyi pośredniczących». Lwów. Księgarnia Polska (B. Połoniecki). Nakładem autora—1903.

Ignacy Popiel: «Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Królestwie Polskiem». Kilka uwag zebrał... Zeszyt II. Skład główny: Księgarnia Warszawska. Warszawa. 1903.

Karol Goering: «Pojęcie doświadczeuia». **Filozofja Nowokrytyczna**. Tom I, zeszyt II.

Album Kobiece: Warszawa, 1903. Poezya i proza. Darwid (Helena Zawadzka) «Wstęp». Konopnicka Marya «Z listów Swiętej Katarzyny». Deotyma «Przed ołtarzem» (z poematu «Sobieski pod Wiedniem»). Orzeszkowa Eliza „W rocznicę". Arnsztajnowa F. „Piołuny". Bukowiecka Zofia „Z badań Starego Miasta". Bandrowska A. „Nie na lamach srebrem tkanych (kolenda), „O! kędy idziesz Mistrzu?". Bęczkowska—Grot Wanda „***". Bożymir „Ducha nie gaście". Biernacka Poraj Celesta. „Koronacya cudownej statuy w Laghet". Duchińska Seweryna „Jan z Czarnolasu". Esteja „A będzie wam dane". Hajota „Na drodze" (bajka). Hartingh baronowa Zofia „***" Janowska Natalia „Nie ma szczęścia". Juljan z Poradowa „Wytłumacz...". Krassowska Zofia „Śpij". Liliana „Dwa listy" (obrazek z początku wieku) oraz „Piosenka". Marrené Morzkowska Walerya „Nie sądź". Mellerowa Zofia „Odnośny paragraf". Miles „Dzień dzisiejszy". Morzkowska Antonina „W wiosenny dzień". Neumanowa Anna „Z prześnionych godzin". Orwicz Jerzy „Trzy sztandary". Orsza H. „Popularyzatorki". Parczewska Melania „Kobieta polska na Górnym Szląsku". Prażmowska Teresa „Missa est.,." Rodziewicz Marya „Bajka o głupim Marcinie". Ronikierowa hr. Adamowa „Z fantazyi". Sokołowska Zofia „Najlepsza opieka". Seidlerowa Zofia „Z prawdziwego zdarzenia". Sobolewska Marya „Jasnotka" (obrazek z życia). Szczepańska Marya „Mamut" (obrazek z życia wiejskiego). Warnkówna Jadwiga „Błędne ogniki". Walewska hr. Marya „Czemu?" Walewska Colonna Marya (hr. Wielopolska) „Urywek z fragmentu powieściowego p. t. „Pan Wojewodzic Sandomierski". Zakrzewska Helena „Smutne oczy". Zofia z Pustelnika (Zofia Witkowska) „Warunki szczęścia". Zapolska Gabryela „Nieporozumienie" (fragment z nieznanej dotąd sztuki w czterech aktach).—Aforyzmy.—Rysunki M. Słupskiej, Zofji Stankiewiczówny, Laury Siemieńskiej, Maryi Wiesiołowskiej, Janiny Betleyówny i in.

Louis Bourdel: «Le lit amoureux». Avec une préface de Mécislas Golberg et trois hors-texte par Henry de Groux et Ardengo Soffici da Rignano. Paris. Librairie de la Plume. MCMIII.

René Ghil: »Le Pantoun des Pantouns», poéme Javanais. Paris & Batavia.

CZASOPISMA ARTYSTYCZNE I NAUKOWE.

Przegląd filozoficzny. Zeszyt II, rok 1903. Prof. Dr. P. Chmielowski „Przyczynek do życiorysu i działalności Józefa Gołuchowskiego".—Dr. J. Łukasiewicz „Indukcya jako inwer-

sya dedukcyi".—Prof. Dr. J. Baudouin de Courtenay „O psychicznych podstawach zjawisk językowych". — Prof. Dr. H. Struve „O najwyższej zasadzie postępowania etycznego". — Przegląd systematów współczesnych: Stanisław Brzozowski „System filozofii Cohena".—Przegląd nauk poszczególnych: Prof. Dr. L. Silberstein „Związek zjawisk w czasie". — R. Nusbaumowa „Teorya mechaniczna w świetle krytyki Stalla.

Poradnik językowy. Nr. 1, rok 1903. „Z psychologii języka polskiego" przez Dr. Stanisława Dobrzyckiego.—Zapytania i odpowiedzi.—Roztrząsania.—Krotochwile językowe.

Poradnik językowy. Nr. 2, rok 1903. „Z psychologii języka polskiego" przez Dr. Stanisława Dobrzyckiego.—„O czasie zaprzeszłym w języku polskim" przez ks. Rom. Koppens T. J.—Roztrząsania.—Wyrazy obce.

Poradnik językowy. Nr. 3, rok 1903. „O czasie zaprzeszłym w języku polskim" przez ks. R. Koppens T. J.—W sprawie pisowni nazwisk cudzoziemskich.

Poradnik językowy. Nr. 4, rok 1903. „O używaniu i nadużywaniu przyimków" przez Ignacego Steina.—Wyrazy obce.—W sprawie pisowni nazwisk cudzoziemskich.

Krytyka. Zeszyt V, Maj 1903.—(t). „Ptaki, co własne kalają gniazdo". T. Miciński „Tak mi ojczyzny mojej żal".—Prof. L. Gumplowicz „Socyologia XX wieku. — T. Prawdzicki „P. Chmielowskiego: Historya krytyki literackiej".—A. Niemojewski „H. Heinego: Dysputa".—Dr. W. G. „Filozofia optymizmu".—Prof. J. Baudoin de Courtenay „Kaprysy tłumicieli myśli ludzkiej".—Marya Wolska (D-mol) „Z wichrem".

Wiadomości społeczno-ekonomiczne. Zeszyt 1. Styczeń 1903. Do czytelników.—Teofil Rozmarynowicz „Ideał społeczny". — Ludwik Kulczycki „Poglądy socyologiczne Adolfa Coste'a",—J, G. Odrowąż „Kilka słów o stanowisku społecznem lekarzy w Austryi".

Hlidka. Maj 1903. H. Dlouhý „Moderni mystik".—Aug. Vrzal „Maxim Gorký".—Jan Oliva „Jak zjednodušiti a prohloubiti vyučovàni theologické?"—Lev Solc „O Gundulićově Osmanu". Dr. Alois Musil „Bible nebo Babel?"—Dr. Alois Musil „Zákonnik Hammurabiho." —Fr. Snopek „K opravám diplomatáře moravského",—Dr. Jaroslav Stastný „Josefa Františka Smetany korrespondence".

Moderni Revue. Nr. 8, 1903.—Tomislaw Krizman „Domy nad Plitvickými jezery" (drzeworyt).—Otokar Březina „Gigantské stiny", „Hlubiny bolesti".—Miloš Marten „Pražské výstavy" (Manes—Krasoumná jednota).—Viktor Dyk „Nová česká poesie" (Rokyta—Heyduk—Kyselý—Psohlavý—Skampa—Maršik—Sis Tengler—Neklan—Blanický—Holý). —Karel Toman „Ztlumeně", „Kdysi večer", „Pisen cizi bolesti".—Jiři Karàsek ze Lvovic „Nové české překlady" (Meredith—Raffi—Potapenko—Cechov—Przerwa Tetmajer).—Joséphin Péladan „Citové zasvěceni".—Viktor Dyk „Kuplet didaktický", „Pisen lovců".—F. K. Hodáč, Josef Holý, J. Hilbert „Glossy".

La Revue. Nr. 9, 1 Mai 1903.—J. Novicow „L'Alsace—Lorraine et la Paix". — Emile Faguet „De Vigny intime".—Max Nordau „Panna" (nouvelle).—Hayashi „Une Première de Shakespeare au Japon".—Maurice Bouchor „A la Recherche d'un Juste" (Mystère laïque et social).—B. Karageorgevitch „L.—L. Dhurmer" (z ilustracyami).—A. Retté „La Poésie Française en 1902—1903".—Comte Tolstoï „Fragments inédits du Journal intime".—Nozière„Romans de Femmes".—Professeur A. Vambéry „La Turquie moderne et le Sultan."—Henry Paris et J. de Coussanges „Mouvement des livres à l'Etranger".—Gabriel Trarieux „Le Théâtre et la Vie".—Chronique artistique et littéraire etc.

La Revue. Nr. 10, 15 Mai 1903.—Octave Depont „Les Confréries musulmanes".—Prof. Dr. Cesare Lombroso „Les Vices du Système pénitentiare".—J. Novicow „L'Alsace—Lorraine et la Paix (II)".—Ph. de Barjeau „Un Coin de Gascogne à la fin du XVIIe siècle" (Documents inédits). Dr. Félix Regnault „Influence du moral sur le physique".—Max Nordau „Panna" (Nouvele). —

A. Retté „La poèsie française en 1902—1903".—Frédéric Loliée „La psychologie d'un journaliste".—Nozière „Romans de femmes".—Gabriel Trarieux „Le Théâtre et la Vie".

Mercure de France, Mai 1903.—Loyson - Bridet „Origines du Journal. L'Ile des Diurnales".—Paul Claudel „Développement de l'Eglise".—Marius-Ary Leblond „Francis Jammes".—Marie Dauguet „Les Cantiques à la Lune".—Remy de Gourmont „Héliogabale".—Yvonne Vernon „Spleens" (contes).—Jules de Gaultier „La Métaphore universelle.—Charles Morice „Le XIX Salon des Indépendants".—H. G. Wells (Henry D. Davray trad.) „L'Amour et M. Lewisham" roman.—Revue du mois.

L'Humanité Nouvelle. Mai 1903. Dora—B. Montefiore „L'Indépendace économique de la Femme au XX siècle".—Paul-Hyacinthe Loyson „Le Droit des Vierges" (pièce en trois actes).—Pr. Paul Girod „L'Art pendant l'âge du Renne" — Sébastien-Charles Leconte „L'Oeuvre humaine" (vers).—Albert Lantoine „Emile Zola devant les „Cannibales".

OMYŁKI DRUKU.

Zeszyt III str. 122 wiersz 4 od dołu oraz str. 123 wiersz 2 od góry zamiast *Van Dyck* powinno być *Van Eyck*.